



PO ZA KRAJEM.

SKRÓT.

ADAM MORAWSKI.

były Żnaw Ojca Św. Pijusa IX.

*Z listem T. E. ks. Wierzebleńskiego, i Arcybiskupa
lwowskiego, o. t. do autora.*

WYDANIE DRUGIE.

W KRAKOWIE.

NAKŁADEM KSIĘGARNI KATOLICKIEJ

Dra Władysława Miłkowskiego.

1878.



Cześć I.



ROZDZIAŁ I.

Rok 1863 na zawsze w dziejach ojczyzny naszej pamiętny, stanowił jedną z tych epok opatrnościowych, w których to Bóg i Stwórca wszystkiego, wstrząsa drętwiącą żywotność narodu naszego, by nie zginął na zawsze.

I powstała Polska wznosząc ku niebu ręce obciążone kajdanami, dzierżąc krzyż, godło przenajświętsze zmartwychwstania i zwycięstwa, dźwignęła się z upadku, otrząsała z niemocy odrętwienia, i pieśń dziękczynna, uroczysta, święta, zabrzmiała; i odgłos jej wznosił się przed tron Najwyższego.

I powstał wierni synowie Matki Polskiej. — Rosły, wzmagały się co chwila jej

zbrojne zastępy. I zadzwoniły orężem w obronie Wiary i Ojczyzny.

Lecz szatan niszczyciel, widząc Polskę lśniąca cnotami bohaterskimi, któremi się podźwignąć usiłowała — przeląkł się. Przeląkł się jej cnót chrześcijańskich, a których przykładem będąc wolną mogłaby złych i zbłąkanych doprowadzić do opamiętania, do poprawy i wskazać że tylko z Bogiem mogą narody żyć w prawdziwym szczęściu i pokoju. Ale szatan w postaci Rewolucyi niechętny szczęściu ludów, rzekł przewodzcom naszym:

„We mnie uwierzcie, a zwyciężycie!”

Uwierzili mu, i... zginęli!

A Polska święta jęła taką boleścią, że ją najodleglejsze krańce świata usłyszały. Na jej łono opadły kiry żałoby. Krew jej potoczyła się strumieniem. A łzy jej pociekły nurtem.

I tą krwią i łzami trysnęła na serca zbłąkanych synów swoich, żeby w nich od ogni-stego tchnienia Rewolucyi źródło wiary nie wyschło: i uleciała do Boga.

Owóż roku tego znalazłem się w szeregach tej młodzi, co się wyrzekła najdroższych stosunków, najpowabniejszych nadziei, dla

krwawej walki za wiarę świętą, za Polskę ukochaną.

Tarczą piersi moich był wizerunek poświęcony Częstochowskiej Boga-Rodzicy.

I była Ona zawsze obroną moją! moją pociechą i siłą! Czy to w bojowej wrzawie a później w światowym tłumie, albo pośród burz Oceanu, i w śniegowej alpejskiej zamieci.

Zacytuję tu jedno z kilku zdarzeń, w których byłem przez N. Pannę ocalony.

W miesiącu listopadzie owego roku, wysłał mię mój pułkownik z depeszą pod Warszawę. Uzbrojony, nadto ufny w opiekę Maryi, przywiązawszy mego wierzchowca do bryczki, zdążyłem do celu szybko i bez wyczerpania.

Przejechawszy powiat N. ¹⁾ zauważyłem, że konie już były tak zmęczone, iż nie było sposobu użyć ich do dalszej drogi. Wziąłem wtedy we wsi C. inne, zkąd zmierzałem do wioski Z. oddalonej o mil trzy.

Do razu biegły konie rażno ale w połowie drogi przystawały już nieustannie, i do

¹⁾ Dla słusznych przyczyn nawet pierwsze litery miejsc, przez które przejeżdżałem, zmieniam.

tego stopnia, że zmuszony byłem wysiadać po kilkakroć z woźnicą, aby je zmusić do ruszenia z miejsca, co wiele zajęło czasu i wprowadziło mnie w zły humor. Tak usposobiony przybyłem do wspomnianej wioski. Tu oświadczył mi szanowny pan X. właściciel téjże wioski, że gdybym był nadjechał pół godziny wcześniej, byłbym zastał dwa szwadrony ułanów rosyjskich, którzy tu bawili blisko dwie godziny.

Domyślałem się zaraz, dla czego wcześniej nie mogłem przyjechać, i kto mnie zachował od tego wcale nieprzyjemnego spotkania. A przeto podziękowawszy Boga-Rodzicy i zmieniwszy konie pojechałem dalej.

Późno już wieczorem przybyłem do wsi K. gdzie postanowiłem zanoćować, a następnie, jako już bliżej Warszawy, poinformować się względem pewniejszej drogi, abym mógł poselstwo moje skutecznie jak najrychlej i jak najlepiej.

W kilkanaście minut po mnie nadjechał szanowny ksiądz H... kapelan; a którego już miałem przyjemność poznać dawniej.

Po serdecznem powitaniu i opowiedzeniu wzajemnem niektórych szczegółów kampanii,

wypiwszy razem herbatę, poleciwszy się Opatrzności, udaliśmy się na spoczynek do jednego pokoju. Około północy gdyśmy już zaczęli zasypiać doszedł do uszów moich, jakiś tenent przytłumiony, a czasem dał się słyszeć brzęk i szmer...

Zastanowiło mnie to bardzo a zarazem zdziwiło, gdy usłyszałem wyraźnie marsz miarowy; — w téjże chwili ksiądz, którego łóżko stało bliżej okna, cichym głosem odezwał się do mnie: „Panie poruczniku!—Moskale. Widzę ich dobrze przez okno.“

Zerwałem się z posłania, pobiegłem do okna aby się przekonać. — Księżyc świecił w pełni, i spostrzegłem piechotę rosyjską stojącą w szyku bojowym frontem do dworku, i oficerów uwijających się przed tymże, a zdala nadciągających ułanów i kozaków. W tem kłamką u drzwi ktoś poruszył...

Porwałem za rewolwer, w drugą rękę chwyciłem szablę, i w jednej chwili stanąłem o kilka kroków od drzwi, które zwolna się otworzyły, a padający promień księżyca przez okno, oświecił wchodzącego, w którym poznałem miejscowego lokaja, bladego i nadzwyczaj pomieszanego. — „Panie — rzekł drżą-

cym głosam, — Moskale przyszliz z miasta S... i otoczyli dworek, aby w nim zrobić rewizję, bo ktoś doniósł, że tu jest główna stacya przejeżdżających agentów rządu narodowego.“

Poznałem, iż położenie wcale przyjemnem nie jest, bądź co bądź atoli postanowiłem sprzedać drogo życie moje, raport zwinąłem w jak najmniejszy pakiecik i włożyłem w usta, aby w ostatecznym razie połknąć.

Nic więc nie odpowiedziawszy lokajowi stoję w miejscu, z okiem wyteżonem w pół uchylone drzwi, ale po chwili pomyślałem — co się stanie z biednym księdzem, i ze służbą? (właściciel był wyjechał) którzy za zabicie kilku czy kilkunastu a nawet za jeden strzał dany przeze mnie, zginą wszyscy, od żołdactwa, i dom będzie spalony. Pobiegłem więc po obrazek Matki Boskiej, który zawsze miałem na piersiach, ale wtedy właśnie leżał na stoliku. Ukląkłem i zacząłem mówić z całą ufnością: Kto się w Opiekę odda Pannie Świętej itd. I gdy już miałem kończyć, usłyszałem kilka głosów donośniejszych komendy. Hałas się zwiększył lecz zawsze przytłumiony, i całe rotę żołnierzy pospiesznym krokiem zaczęły defilować przed oknami, a za niemi kozacy i ułani.

Cienie fantastycznych kształtów przesuwały się poważnie na ścianie ponad stolikiem, przed którym klęczałem.

Przeszli — wstałem. — Zbliżyłem się do okna, wzruszony. Wtém wpada służący i zawołał: Panie! Księżę dobrodzieju! już poszli i to z takim pośpiechem, że zostawili dwie kibitki; być może, że wrócą jeszcze.“ — W tym momencie kilku jeszcze kozaków opóźnionych przegalopowało przez dziedziniec. — Hałas coraz mniejszym się stawał, coraz mniej dolaływał — coraz słabiej — w końcu wszystko ucichło...

Czyby ich jakiś oddział powstańców zaalarmował? Czy też rozkaz otrzymali przeciwny? Jest to tajemnicą dla mnie do dnia dzisiejszego, to wiem tylko, że kibitki zostawione, zabrali nasi w kilka dni później, a Moskale nigdy się o nie nie upomnieli.

Padliśmy na kolana wszyscy, a podziękowawszy Bogu i N. P. Maryi, zaraz wybrałem się w drogę.

W kilkanaście minut wjechaliśmy w las, przez który wypadła nam droga jako najbliższa. Noc była jasna. Nad ranem stanąłem na miejscu mego przeznaczenia.

Sprawiwszy się, zrzuciłem ze siebie ubiór wojskowy, a wzięłem negliżowy cywilny, jaki był pod ręką, i położyłem się aby spocząć, bo bardzo czułem się zmęczonym, nie spałem bowiem od kilku dni.

Spałem do późnego wieczora. Gdy się obudziłem, w pokoju było ciemno, gdyż światła jeszcze nie zapalono. Zbliżyłem się więc do kominka, na którym dogorywało kilka niedopalonych główienek, i usiadłszy w wygodnym fotelu, zacząłem rozbierać w myśli wypadki, które zajmowały każdego Polaka w owe czasy; wtém wchodzi marszałek domu, mówiąc, że przyjechało kilku oficerów rosyjskich konno, a za nimi zaraz przybędzie wojsko, i że życzą sobie koniecznie stanąć kwaterą w pałacu na noc. — cóż robić? broń, uniform i koń dobrze schowane i nie ma chwili czasu do stracenia; ja po cywilnemu wprawdzie, lecz nie mam ani paszportu, ani nie mogę się nazwać krewnym właściciela, gdyż nie znam bliższych jego stosunków, o które mogę być zapytany, a gość przybywający lub przejeżdżający znać było wtedy toż samo, co powstaniec, komisarz, lub agent rządu narodowego. Cóż robić? odegrać rolę służącego? — to tylko pozostawało;

negliż jaki miałem na sobie, mógł łatwo temu odpowiadać, a zarazem i ciżemki na nogach. „Proszę powiedzieć, gdyby się pytali, że nazywam się Jan, i że jestem służbistą tutejszym“, rzekłem do jednego z domowników.

„Ale zlituj się pan, poznają od razu, że tak nie jest“ — odrzekł.

Brzęk szabel dał się słyszeć na schodach, chwytam więc ręcznik biały z umywalni, a przybierając postawę, na jaką tylko zdobyć się umiałem, aby rolę moją jak najlepiej odegrać, biegnę wprost do kredensu, i chcąc pokazać, że już oddawna jestem czemś zajęty, zaczynam wydobywać z pospiechem ze szaf talerze, szklanki, kieliszki, stawiając na stół będący obok. Lecz spiesząc się aby jak najwięcej nastawiać, przystępuję nogą jeden koniec ręcznika, drugi wysuwa się z ręki, którą podtrzymywałem ogromną tacę, zastawioną stosem porcelany i szkła; wszystko to pada z trzaskiem na posadzkę, rozbijając się w tysiączne kawałki, właśnie w chwili, gdy pułkownik ze sztabem oficerów wchodzi do pokoju.. Cofnął się przerażony tak nagle, iż oberwał paski swojej szabli, i o mało nie przewrócił kilku za nim idących oficerów, krzyknąwszy: „szto-eto?!“

„Niczewo! Niczewo! wasze prewoschodielstwo!“ odpowiedziałem krzyknąwszy także.

„Nu szto-eto?“ zapytał łagodnie, zawstydzony się swego przestרחu.

„To przypadek“ odpowiedziałem, „talerze i szklanki się potłukły“.

„Szto? wy pobili wsie stakany, a czém będziem pić wino?“ rzekł na pół po polsku.

„Mamy jeszcze dosyć szklanek, i jeżeli pan jenerał pozwoli, w téj chwili będę służyć doskonałem winem; państwa nie ma, lecz marszałek ma rozkaz być na usługi pp. jenerałów“.

Naturalnie, powiedziałem to, niewiedząc nawet czy mają jeszcze wino w domu.

„Wot maładiec! maładiec! charaszo, charaszo“ odpowiedział wpatrując się okiem przenikliwym we mnie, zmierzwszy oczyma od stóp do głowy, i idąc z drugimi oficerami do przyległej sali, którzy spoglądali to na próżne butelki stojące na półkach kredensu, to na potłuczone resztki. Towarzysząc im, zakreślałem łuki w powietrzu ręcznikiem, dla większej fantazyi.

„Czy nie możnaby napalić w piecu?“ przemówił pułkownik rozpatrując się po salonie oświetlonym jedną tylko świecą.

„W téj chwili panie jenerale, odpowiedziałem, spostrzegłszy, że z tytułu tego bardzo jest rad, i wybiegłem do kredensu, a otworzywszy drzwi krzyknąłem: „Michale! w piecu napalić dla panów oficerów!“—w téjże chwili wrzało całą siłą z dołu i z miejsc pobocznych, przynajmniej jakich ośm głosów tak męzkich jako i kobiecych: dobrze! dobrze! Janie! zaraz Janie!!!“ (będąc już uprzedzeni o mojej roli przez marszałka, chcieli biedni zamanifestować to). Na krzyk ten niespodziany, pułkownik, a za nim sztab cały wbiegł, dopytując się co to jest?

„Rozkaz został wydany panie jenerale, aby w piecach napalić.“

„Nu dobrze—charaszo;“ to mówiąc wrócił z całym orszakiem.

Ja zszedłem do dolnych pokoi, aby uniknąć rozkazów, jakie im podobałoby się mi dać. Zostawszy tak blisko pół godziny, aby nie ściągnąć na siebie podejrzania, powróciłem na górę, a biegając po przyległych apartamentach posuwałem krzesłami, aby okazać moją czynność i obecność, następnie wszedłem gdzie byli zebrani; w téjże chwili podwoje z drugiej strony salonu rozwarły się, wszedł marszałek, a za nim służba uzbrojona w bu-

telki, flaszki, kielichy i półmiski; jedni nieśli nakrycia i zimne przekąski, drudzy samowar z całym przyborem, a za nimi stary portier niosąc dwa świeczniki z rześmym światłem.

„Wot“ charaszo! odliczno! czudiesno! Wot kakije maładcy! — Wykrzyknął pułkownik z uniesieniem, a za nim cała świta na widok tak wspaniałego marszu.

Ja widząc, że moja obecność nie jest tu potrzebną, a korzystając z dobrego usposobienia tych panów, pobiegłem na dziedziniec, aby się przekonać o rodzaju wojska, i dowiedzieć się niektórych szczegółów.

Dziedziniec, ogród, droga i przyległe miejsca; wszystko to było zapelnione żołdactwem, które się rozłożyło przy ogniskach, i śpiewało dzikimi głosy pogwizdując przeraźliwie.

Kazałem poczęstować niektórych rumem. Dowiedziałem się od nich, że są to tylko resztki, jakie pozostały z licznego oddziału wysłanego przed kilku tygodniami z Warszawy na wyprawę, i że straciwszy wielu żołnierzy powracają teraz, narzekając, iż wiele ucierpieli od generała Jankowskawo. ¹⁾

¹⁾ Jankowski dowódzca oddziału w Podlaskiem, który stoczył 42 bitew, a którego Moskale, się bardzo bali dla jego szczę-

Zapytawszy się jeszcze o niektóre potrzebne szczegóły, powróciłem do moich szanownych gości; zastałem wszystkich już po kolacyi, rozprawiających żywo o buntownikach i bitwach, popijając pącz szklankami, którego stały ogromne dwie wazy.

Byli w różowym humorze, a szczególnie pan pułkownik, którego cera twarzy nie różniła się wcale od koloru kołnierza jego munduru. Uzbrojony w długi cybuch i owiany błękitnym obłokiem aromatycznego dymku, siedział, a raczéj leżał we fotelu, oparłszy nogi na stole, wykrzykując nieustannie toasty.

„Wot nasz maładiec!“—zawołali, a pułkownik rzekł: „jesteśmy bardzo zadowoleni,“ chciał jeszcze coś mówić ale zabrakło mu słów, język odmówił posłuszeństwa—wyciągnął więc rękę, w którą wzięwszy obiedwie moje, i przyciągnąwszy mnie do siebie, zaczął się wpatrywać mi w oczy, robiąc najpocieszniejszy wyraz twarzy, nareszcie rzekł pół głosem, „nu skaży prawdu, widno czto ty buntowczyk?“

ścia jakie miał w boju, nazywali go powszechnie walszebnikiem (czarownikiem), był on bardzo odważnym i zdolnym partyzantem a szczególnym miłośnikiem Poga i Polski.

„Ależ panie generale, to mnie obraża, jak można mnie tak nazywać.“

„Eto sztuki, sztuki, to tylko żarty“ — odpowiedział.

Nie wiem coby się jeszcze było z tego wywiązało, gdyby nie adjutant służbowy, który wszedł meldować, że siana wcale nie ma w miejscu, lecz dopiero trzeba sprowadzić je o kilka wiorst. Chciał jeszcze coś mówić, ale oglądnięt się wprzód po sali.

Widząc, że obecność moja przeszkadza, skorzystałem z pożądaney sposobności i wymknąłem się. Zszedłem do dolnych pokoi, zamknąłem drzwi za sobą i polecivszy się Matce Najświętszój, udałem się na spoczynek, myśląc o jutrzejszej drodze z powrotem do pułku. Rano zbudziły mię trąbki. Przybliżyłem się do okna. Odchodziły właśnie one resztki kilku pułków z jednym tylko pułkownikiem. Inni zginęli prawdopodobnie; było jednak około dwutysięcy żołnierzy i więcej jak sotnia kozaków z dwoma działami. Ruszyli ku Warszawie.

Okolo czwartej godziny popołudniu przebrany w mundur, mając konia tuż przy bryce wyjechałem.

Już było ciemno, tem bardziej, że księżyc skrył się za chmury, gdy przybyłem do ostatniej stacyi pocztowej na traktcie N... gdzie zażądałem koni chcąc się dostać do miasteczka D.... będącego o parę mil w bok traktu. „Panie poruczniku“ — rzekł poczmistrz, widząc mundur polski; — „nie radziłbym jechać na noc, gdyż droga tak jest zła, a przytem tak ciemno, że nie zaręczam czy w lesie nie zblądzi Pan; proszę zanocować, a jutro nim nadejdą Moskale, którzy ciągną od M..., odjedzie Pan.“

Przystałem na tę propozycję i zostałem. Nazajutrz o szóstej i pół rano byłem już w drodze; dzień był pogodny, a pierwszy śnieg, który spadł w nocy ubielił pola i przyprószył lasy.

„Otóż drugą zimę kampanii zaczynam, a na trzecią Polska będzie wolna“ pomyślałem, gdyśmy wyjeżdżali z lasu na obszerną płaszczynę, gdzie w dali obaczyłem miasteczko D... szarzejące na śnieżystém tle całej okolicy. Nagle woźnica wstrzymał konie.

„Cóż to?“ — zapytałem.

„Kozak! panie.“

„Gdzie? co ci się zdaje?“

„Oto tam polem sadzi ku wsi“ — pokazując palcem odpowiedział.

Istotnie spostrzegłem jeźdźca pędzącego polem ku wiosce B..., przez którą mieliśmy przejeżdżać; lecz tak daleko, iż trudno mi było rozpoznać czy to kozak lub tylko wieśniak, a nie widząc piki, byłem pewny, że to jakiś posłaniec dworski, więc kazałem jechać dalej. Gdy już dojeżdżałem do wioski obaczyłem cały pluton kozaków pędzących z przeciwnej strony po tejże drodze; poczyliion nawrócił raptem nazad.

„Stój!“ — krzyknąłem, — wiesz, że za nami są także Moskale, umknąć nie zdołasz, gdyż nas zapewne już spostrzegli, jedź więc naprzód w Imię Boże, i śpiewaj za mną: „Kto się w opiekę odda Pannie Świętej;“ — to mówiąc wziąłem rewolwer w rękę a gołą szablę umieściłem obok siebie, z zamiarem stanowczym bronić się do ostatnich sił, i dać się porąbać raczej jak zabrać do niewoli. Mogłem wskoczyć na konia i ujść. Lecz dla czego zrobić tego nie chciałem, nie wiem. Dawałem odwagi biednemu woźnicy, który zalewał się rzewnymi łzami, że musi ginąć i popędzał szybko konie (może rewolwer,

który trzymałem w ręku, niepokoił go również).

Zacząłem śpiewać głośno; pocztalion wtórował, i tak jechaliśmy pędem. Koń mój, zmuszony biedz szybko za bryką, zaczął się rzucać i najeżywszy grzywę, rzeć i paraskać.

W kilka minut już przejeżdżaliśmy po przed kozakami, którzy stojąc przed karczmą obok drogi, na małym placyku, patrzali się na nas najspokojniej. — Niezadługo już byliśmy za miasteczkiem; a pocztalion zawołał: „O! cudowna Matko Boska Częstochowska!“ Ja także wzniosłem oczy ku niebu i serdecznie podziękowałem N. P. Maryi za tak wyrażną opiekę.

Zaledwie ujechaliśmy wiorstę, gdy woźnica znów zwrócił konie nagle, i już nie słuchając nic, pędził co koń wyskoczy przez pole po bruzdach. Chciałem porwać za lejce, lecz spostrzegłem w dali na drodze, z której zjechaliśmy, pikietę kozacką, zwróconą ku nam. Zrozumiałem jakie było położenie... W tejże chwili zerwał się raptownie tak silny wiatr, sypiąc śniegiem gęstym, iż nietylko nie mogliśmy rozpoznać w jakim kierunku i dokąd jedziem, ale niemożebna było nawet rozró-

źnić jakikolwiek przedmiot o kilkanaście kroków — dlatego też natrafiwszy na jakiś płot, konie go rozbiły pędząc dalej szalenie; mój koń zerwawszy rzemyk, którym był przywiązany biegł tuż przy nas rozhukany.

Wnet silne szarpnięcie bryczki, która odskoczyła kilka stóp od ziemi, przekonało nas, żeśmy przesadzili rów, jaki oddzielał pole od drogi znajdującej się w tem miejscu. Wprawny woźnica skrzył w lewo i puścił całym pędem naprzód. Zacząłem rozpoznawać w zawięzi śniegowej sztachety, z czego domyślałem się, że jesteśmy blisko jakiegoś dworu — kazałem zwolnić i niezadługo znaleźliśmy się pod wystawką domku. Zeskoczyłem z bryczki, która była napelniona śniegiem, wszedłem do domu a przedstawivszy się panu Z.... właścicielowi opowiedziałem mu w krótkości moję przygodę. On mi oświadczył, że wojsko już od wczorajszego wieczora jest w pobliżkiem miasteczku D... i pilnuje okolicy.

„Wiem o tem, odpowiedziałem, lecz nie ma się czego obawiać, bo śnieg zasypał zupełnie ślady naszej bryczki.

Niezadługo burza ustała. Stałem przy oknie, które było wyniesione nad okolicę,

i przypatrywałem się spokojnie kozakom przejeżdżającym na koniach w dali, po drodze i polu; szukając zapewne śladu, lecz nadaremnie — śnieg przypruszył wszystko.

We dwie godziny potem, podziękowawszy za gościnność panu Z., wyjechałem zbrojno i konno w dalszą drogę, wynagrodziwszy suto poczciwego pocztyliona, który wybierał się także w drogę, gdyż już od godziny Moskale opuścili miasteczko. Tegoż jeszcze wieczora dowiedziałem się z radością, że oddział mój przybył do poblizkiej wsi C. Niebawem więc stanąłem przed pułkownikiem, zdawszy mu sprawę z poselstwa mi zleconego.



ROZDZIAŁ II.

Po upadku powstania tak nieszczęśliwie zwichniętego, udałem się wraz z towarzyszami broni między obce narody, liczyć smętne godziny tułactwa.

Od siedmiu miesięcy byłem już w Paryżu kiedy dzienniki ogłosiły przy końcu 1864 roku, że wojsko francuzkie znajdujące się w Rzymie otrzymało rozkaz powrotu do Francyi, a okręty były już gotowe, aby z Tuluonu od płynąć do Civita-Vecchia.

Smutne wrażenie zrobiła na mnie ta wiadomość; tem bardziej, że Francya, ta star-

sza córka Kościoła opuszczała Stolicę Chrześcijaństwa w chwili, kiedy jej najwięcej zagrażały porywy rewolucyi oddawna na jej spokojność czychające.— Szkoda, pomyślałem, że Polska, ta prawdziwa choć najmłodsza córka Kościoła, nie jest wolną — umiałaby ona skarcić tych nowych Hunów niewłaściwie mianujących się chrześcijanami, bo czyliż są nimi w gruncie?

Po przeczytaniu w gazecie powyższej wiadomości, postanowiłem udać się niezwłocznie do Rzymu, by wzorem ojców naszych stanąć w obronie wiary. Wyjechałem więc pospiesznie z Paryża, a raczej wyszedłem, jako turysta *per pedes apostolorum*. Gdyż idąc, mogłem łatwiej i bliżej poznać te piękne kraje, któremi bezwątpienia są Francya i Włochy, ich zabytki starożytne, któremi się słusznie szczycą; i przejrzeć się swobodnie w rozkosznej a tak zawsze wspaniałej naturze, co jadąc drogą żelazną byłoby niepodobieństwem.

Zmrok już zapadał gdy przeszedłem rogatkę Paryża, idąc drogą wiodącą do Fontainebleau.— Głos dzwonów kościelnych z gwarem dwumilionowych mieszkańców stolicy,

odbijał się smętnem uczuciem w duszy mojej.— A gdy już stanąłem na jednej z wyżyn aby raz jeszcze rzucić wzrokiem na miasto, na jego wyniosłe wieże i gmachy okrywające się już cieniem nocy, której opierał się jeszcze krzyż rozpościerający swe ramiona na szczycie kopuły inwalidów — mimo woli oko łąza zaszło — łąza żalu po rodakach, towarzyszach broni tak drogich sercu mojemu, których pozostawiałem w tym grodzie obcym, bez nadziei może ujrzenia ich kiedyś.

Skierowałem podróż moją na Melun, Sens, Joigny, Gien, Nevers, Moulins i Lyon. W tem mieście zabawiłem dni pięć nie dla zwiedzenia, bo te już poznałem dawniej, ale dla odpoczynku tem potrzebniejszego, gdyż postanowiłem przebyć Alpy.

W dniu naznaczonym, rankiem, puściłem się do miasteczka Bourgoing, w którym stanąłem już późno w nocy.

Cichość panowała głęboka, bramy domów pozamykane, w oknach ciemność.— Po długiem a próżnem szukaniu jakiegokolwiek zajazdu, spostrzegłem nakoniec światło w oknie w jednym z domków z pięterkiem. — Zastukałem śmiało do drzwi — niezadługo

górne okno otworzono, i głos mężki zapytał niemiejscowym akcentem po francuzku.

— „Kto tak późno stuka i czego żąda?“

— Odpowiedziałem, że jestem podróżnym, a nie mogąc znaleźć hotelu proszę takowy mi wskazać, — za fatygę zapłacę, dodałem.

— „Oberży nie mamy tu porządnej, ale proszę do siebie, będę się starał dogodzić, lecz kto pan jesteś?“

— „Polak“ odrzekłem.

— Na raz masa jakaś gruchnęła obok mnie a nim zdołałem rozpoznać coby to było, uczułem się w silnych objęciach, ściskającego serdecznie mnie mężczyzny, i przemawiającego radośne słowa powitania w narzeczu morawskim. — Następnie wprowadzony zostałem do obszernej oświeconej izby.

— Żono! dzieci, wstawajcie powitać mego rodaka! wołał w uniesieniu radości gospodarz wbiegając do pobocznego pokoju.

Niezadługo wyszła miła kobieta i drobnych kilkoro dzieci, zdziwionych i nieśmiałych.

Po przywitaniu i wzajemnych oznakach uprzejmości, rozpalono ogień na kominku, i wkrótce wieczerza stanęła na stole suta, o ile mogło stać pocziwego gospodarza.

Z rozmowy dowiedziałem się, że przed szesnastu laty zmuszony był z powodów politycznych opuścić Kraków, gdzie pewien czas mieszkał — a po długich wędrówkach osiadł w tem tu miasteczku, tu się ożenił z francuzką, pracując w miejscowej fabryce perkalów na utrzymanie rodziny, tęskniąc za niebem ojczystem. — Pokazywał mi swoją fotografię, a choć w stroju mody francuzkiej, jednak z czerwoną krakuską na głowie, którą i teraz nie omieszkał wydobyć ze szafy, gdzie ją przechowywał jako relikwie, jako jedyną pamiątkę przypominającą mu kraj, a którą z fantazyą ozdobił czoło.

Do ranka rozmawialiśmy o Polsce, dzieci nawet nauczyły swej mowy. — Proste to było serce, ale jakie skarby cnót posiadało.

Po kilku godzinnym spoczynku pomimo nalegań tych zacnych ludzi opuściłem ten dom gościnny, będąc odprowadzony przez całą rodzinę, przybraną świątecznie daleko za miasteczko.

Nadeszła chwila rzewnego pożegnania. — On, żona i dzieci do łez byli wzruszeni, płakali jakby tracili jednego z członków swej familii; i ja nie mogłem być obojętny.

— „Niech Bóg cię prowadzi ziomku — powiedział; jesteś młody, możesz mieć nadzieję ujrzeć jeszcze Polskę — ale mnie starszemu już nie marzyć o tem — kości moje zostawię w tej tu gościnnej ziemi.“

Przycisnąłem go do serca, uściskałem dzieci, pożegnałem ich matkę i szybko puściłem się ku Alpom, których szczyty śnieżne w dalekiej przestrzeni już się rysowały na tle nieboskłonu.

Długo, długo stała ta dobra rodzina, przesyłając znaki pożegnania; a gdy wypukłość terrenu zasłoniła ich postacie przed moim okiem—posłałem ciche westchnienie do Boga za ich szczęście.

Szedłem przez Chamberi, stolicę Sabaudii, Aquebelle, S. Jean.

Sabaudia piękny to kraj, posiada wszystkie powaby natury, szumiące lasy, wspaniałe góry, rozkoszne doliny, przezroczyście jeziora, bujne winnice, lud miły, moralny, słowem natura jest tu w harmonii.

Nie raz pnąc się po drogach wśród tych gór, zatrzymywałem się w piękniejszych miejscach; a usiadłszy nad brzegiem rozdartej kamienistej przepaści, przyglądałem się tym

wyniosłym ścianom granitu, piętrzącym się w okół mię; na to mnóstwo potoków z szumem spadających w głąb, zda się bezdenną, gdzie pienił się strumień w szalonym biegu. Te odłamy skał wiszących jakby w powietrzu umajonych zielenią, zdumiewały umysł. Gdzieniegdzie ptaszyna świergotała wesoło, orzeł ważył się na skrzydłach w eterze, i echa jakieś tajemnicze nieodgadnione się odzywały — a błękit nieba tak był przejrzysty, cichy, sypiąc milionem złocistych promieni słonecznych, — a ja sam — wśród tych cudów spoczywałem — czując w duszy dziwnie słodki spokój — jakieś upojenie, radość tęskną, rzewną, i dusza mknęła gdzieś ponad ziemię — ponad światy krążące w przestworzu.

O Boże! jak ja Cię wtedy czułem w tej naturze — przy sobie, w sobie — jak mi tam było dobrze — o czemuż to ciało więziło duszę moją, że nie mogła ulecieć ku Tobie — i w Tobie spocząć.

Idąc coraz wyżej po głównym trakcie prowadzącym z Francji do Włoch, zimno więcej uczuwać się dawało.

Pewnego dnia około godziny 3ciej po południu przybyłem pod najwyższe pasmo Alp;

a że śniegu pod stopami jeszcze nie miałem, a do nocy brakowało parę godzin, puściłem się więc śmiało naprzód, z myślą, że przenuję w mieścinie, która niepowinna być nad kilka kilometrów oddaloną, lecz gdy już zmrok zapadał, poznałem zapóźno, że miejsce to musiałem minąć — szedłem więc dalej brnąć w coraz większy śnieg, w końcu zapadałem literalnie do połowy ciała. — Droga kuta w skale na spadzistych bokach góry, zawiata była zupełnie.

Około północy rozszalała się burza w całej swej grozie, jako w Alpach często widzieć można. — Śnieg zasypywał oczy, wichur usiłował ztrącić w przepaść, lub zawiąć białym całunem.

Brnąłem naprzód z nadzwyczajnem namiętnością, które już opuszczać mię zaczęły, a choćby chwilowy przystanek groził zasypaniem. — Kierowałem kroki moje ku ścianie opoki, aby się trzymać o ile można najdalej od brzegu czarnej a okropnej przepaści.

Śnieżnica coraz gwałtowniejsza, wichur groźniejszy, a ciemność tak się spotęgowała, że nic rozróżnić nie można było, a iść potrzeba, bo zawieja groziła zasypaniem.

W rozpacz, dobywając resztki sił pchnąłem się przed siebie, lecz zaledwie uszedłem kilka kroków — nagle — śnieg pod nogami się usuwa, a ja w chmurach jego, z szaloną szybkością staczam się w ciemną bezdeń, która się otworzyła pod stopami. — Poleciałem duszę Bogu, myśl posłałem Polsce i rodzinie. — Nareszcie runąłem z impetem w jakąś kupę śniegu, który rozprysnął się z trzaskiem podemną. — Ha, tu grób mój, pomyślałem sobie, rozmyślając nad marnościami tego świata — naraz tuż obok mnie błysło światło, i wysuwa się jakby z pod śniegu głowa brodata w ogromnej czapie futrzanej oświetlonej blaskiem latarni. — W końcu okazuje się cała postać, w dziwnym stroju kosmatym, bo włosem na wierzch obróconym, która mnie nieumiejącego sobie zdać sprawy z tego zjawiska, podnosi, przewięzuje sznurem pod ramiona, i spuszcza w jakiś otwór niżej będący, a czynność ta odbyła się tak szybko, iż gdy w kilka sekund ucułem teren pod stopami i ujrzałem okna oświetlone żywym płomieniem, a mego wybawcę zstępującego po drabinie: dopiero spostrzegłem, że spadłem na dach domu chaty dróżnika stojącej pod

jednym z załomów góry, niżej drogi, a z której się zsunąłem. Dozorca gdy usłyszał nagły trzask dachu, wyskoczył z izby, wszedł po drabinie na wierzch aby się przekonać o przyczynie, i znalazł mię.—Pocziwiec rozgrzał mię winem gorącym, przykrył ciepło, odkładając rozmowę na dzień, albowiem była już 2ga godzina po północy.

Obudziłem się około południa, a choć burza już ustała, lecz droga nie była jeszcze utorowana, postanowiłem więc wyjść dopiero nazajutrz, co też uczyniłem wynagrodziwszy dozorcę.

Ranek był prześliczny choć mroźny, droga wyrobiona, niebo jasne, słońce w całym swym majestacie, purpurując i złocąc lodowce i granity; a jak okiem dojrzeć, białe fale gór, jakby morze rozbujałe — a w dali, w dali, tam na padole, szarzeje poza chmurami ziemia Francyi.

Idąc torowiskiem, pisałem na śniegu laską, lub śpiewałem „Jeszcze Polska nie zginęła“ aby echo polskie odbijało się od kamienistych ścian tych olbrzymich głazów. Często spotykałem objuczone towarami muły, lub liczne gromady wołów, prowadzonych

przez handlarzy do Francyi. Na jednym za-
gięciu drogi, wystające ze śniegu spostrzegłem
zdruzgotane pudło koczka pocztowego, poło-
żonego na saniach, które zapewne zsunęło
się z traktu wyżej będącego.

Pod wieczór gdy już dotarłem pod szczyt,
słońce zachodzące nowe oczom moim przed-
stawiło cuda, których trudno opisać, potrzeba
widzieć, aby je ocenić, poznać. — O jak Bóg
musi być piękny i potężny, kiedy tak piękną
stworzył naturę.

Przenocowałem u dróżnika, a nazajutrz
o wschodzie słońca znajdowałem się już na
samym cyplu.— Obróciłem się w stronę mej
ukochanej Ojczyzny, padłem na kolana i mo-
dliłem się gorąco do Boga, wpatrując się
w ten firmament przezroczysty, w ten prze-
stwór bez końca i początku, jak Bóg niezgłę-
biony i niepojęty, jak dusza nieśmiertelna.

Zaśpiewałem *Tedeum*, zaleciałem du-
chem do Ojca przedwiecznego — o jak by-
łem wtedy szczęśliwy. — Następnie usiadłem
na miękkim śnieżnym puchu, oko zatopiłem
w tę klasyczną ziemię Italii rozpostartą pod
stopami mojemu; która tylu świętych wydała—

tylu poetów, artystów, tylu ludzi potęgi i chwały, tyle dzieł sztuki i pamiątek wielkich.

Mnóstwo miast i miasteczek, wijących się rzek i strumieni, jezior szafirowych i gór wdali malowniczych, tworzyło śliczny obraz jakby mozaikowy, pokryty gazą mgły sinej, a tak przezroczyście, iż zdawało się, że najmniejszy podmuch wiatarka rozwieje w przestrzeni ten dziwnie piękny widok.

Nasyciwszy oko, serce i ducha, powstałem, i już z większą szybkością zacząłem się spuszczać uchodząc w nizinę; stopniowo śniegi się zmniejszały, w końcu zupełnie znikły, a ciepły powiew owiał mię rozkosznem tchnieniem.

Pierwsze miasto w którym stanąłem była Suza, gdzie znalazłem porządny hotel.—Na drugi dzień po dobrym śnie i posiłku udałem się ku Turynowi.—Droga była dla mnie zajmująca, gdyż po obu jej stronach napotykałem ruiny średniowiecznych zamków na skalistych wzgórzach.

Turyn miasto piękne z zamkiem królewskim i przyjemnemi spacerami.— Z wyżyny panującej nad miastem, gdzie stoi klasztor kapucynów, widok prawdziwie piękny.

Przechodziłem przez Alessandrie, Piancenne, Parme, Modene, Bolognie, Rimini, Sinigaglia.

Płaszczyzna na której leżą te miasta sięgając Adryjatyku, jest rozkoszną nad wyraz; pełną pysznych a naturalnych sadów, winnic nieprzejrzaných.

Dni kilka zabawiłem w Ankonie, gdyż ciekawy byłem zwiedzić okręty wojenne stojące w porcie. — Z Ankony puściłem się do Loreto brzegiem Adryjatyku. Fale zmywały mi stopy — zbierałem muszle — kosztowałem słonych wód jego — i cieszyłem się radością niewypowiedzianą — a wpatrując się w te masy wód, którym Wszechmocny nakreślił granice, uwielbiałem w głębi duszy potęgę i dobroć Jego.

Po kilku godzinach morze pozostawiłem na boku, dążąc wśród gajów oliwnych pełnych śpiewających ptasząt. — Dzień był pogodny, słońce przyświecało, a tęcze najwyższych kolorów powstałe zapewne z pary morskiej, tworzyły wspaniałe łuki pod którymi przechodziłem. — Szczyty pagórków wieńczyły wioski strzelające w górę wieżycami swych świątyń. — Szczególną uwagę moją zwróciło

jedno wyniosłe wzgórze bliżej morza położone, zabudowane większemi domami, z pośród których dźwigała się ku niebu pięknej struktury kopuła.

Zapytałem wieśniaka—„co to za miasto?“

— „Loretto e Casa Santa, Signore“ odpowiedział.

— A więc to jest miejsce, które Przenajświętsza dziewica obrała na swój domek, w którym Słowo stało się Ciałem. Przyspieszyłem kroku i w parę godzin znalazłem się w Loreto.

Loreto ma około 8.000 mieszkańców, a w jego bazylice znajduje się święty domek.— Domek ten, w którym mieszkała Boga-rodzica w Nazarecie, miał być w 1291 r. cudownie przeniesiony przez aniołów z Galilei do Dalmacyi, i złożony na górze między miastami Tessato i Fiume.

Wysłana do Nazaretu komisya przekonała się, że rozmiar miejsca gdzie znajdował się domek N. Panny, odpowiada zupełnie objętości świątyni przeniesionej do Dalmacyi. Po trzech latach i siedmiu miesiącach, dnia 10 Grudnia 1294 r. domek znów cudownie przeniesiony został za morze Adryjatyckie,

i postawiony w pobliżu miasta Recanati, w gaju, który należał do zacnej niewiasty Lauretty, od której nazwał się później Lauretańskim czyli Loretańskim.—Tradycja głosi, że w czasie przybycia domku drzewa miały się przed nim schylić z uszanowaniem, a ślady tej czci ze strony natury miały trwać przez wieki, póki czas i siekiera drzew nie wyniszczyły. Mnogie cuda dziejące się przy domku, ściągnęły tłumy pielgrzymów, a gdy bandyci zaczęli ich obdzierać — po ośmiu miesiącach domek święty wzniósł się znowu w powietrze, i osiadł na sąsiedniej górze; lecz dwóch braci, którzy byli jej właścicielami, kłócąc się z sobą o ofiary składane przez pobożnych, dawali zgorszenie; co było powodem, że domek znów odleciał po dwóch miesiącach, i zatrzymał się w miejscu na którem do dziś dnia zostaje.—Nanowo wysłano deputację do Nazaretu i Dalmacyi, a która przywiozła tenże sam rezultat co i poprzednio.

Domek święty stoi na samej ziemi, wpoprzek drogi, która kiedyś tędy prowadziła, a której ślady są jawne. — Nad nim wznosi się wyniosłe sklepienie, pięknego kościoła, który budować zaczął Paweł II papież roku

1464, a kończył Syxtus V r. 1587.— Domek zbudowany jest z drzewa hebanowego i cegły, krajanej z surowej ziemi, rodzaj gliny znajdującej się li tylko w Nazaret, a zewnątrz pokryty płaskorzeźbami artystycznymi w marmurze; ma 10 metrów, 66 centymetrów długości; 4 metry i 88 centymetrów szerokości— 6 metrów, 66 centymetrów wysokości. — Wchodzi się do niego przez drzwi ze srebrną kratą, za którą wznosi się na ołtarzu statua N. Panny zwanej Loretańską, trzymająca P. Jezusa na ręku.

Pokazują tu okno, przez które Anioł Gabriel wleciał z pozdrowieniem do Maryi — jest i kominek i mała niża w ścianie. W skarbcu są bardzo bogate dary, choć znacznie umniejszone przez francuzów, za czasów Napoleona I.

Lud jest tu piękny, wszyscy prawie błędni, jak wieść niesie mają to być potomkowie sławian z Dalmacyi, którzy tu przybyli prosić N. Panny o przeniesienie Jej świętego domku napowrót do Dalmacyi.

Zwiedziwszy pobożowisko Castelfidardo gdzie obrońcy kościoła poległi bohaterską śmiercią; następnie przez Macerate, Tolentino, Foligno udałem się do Asizu; Assi-

sium zbudowanego na górze Assi, w pysznej dolinie, otoczonej malowniczymi skałami, pokrytymi aloesami; z pośrodku której pomiędzy drzewami w lekkich zarysach, wznosi się okazała bazylika, Portiuncula; wewnątrz której, tak jak i w Loreto domek, tak tu stoi kapliczka w pośrodku, a którą św. Franciszek miał dostać od Opata Benedyktynów z Subiaco; i ta to kapliczka była pierwszą kolebką zakonników św. Franciszka, którego ciało spoczywa w części dolnej kościoła poblizkiego Assyżu. W tym kościele widzieć można obrazy Cimabue'go i Giotto.

Z Assyżu powróciłem do Foligno, z kądem idąc pięknym krajem, który natura ozdobiła swym wdziękiem, w kilka dni potem ujrzałem arcydzieło Bramantego, Michała Anioła i Rafaela, ujrzałem koronę świata chrześcijańskiego, kościół św. Piotra. — Piękność jego wraz z muzeum Watykańskim przewyższyła wszystko co widziałem z dzieł sztuki, prześcigła moją wyobraźnię — lecz aby poznać zalety tego ósmego cudu świata, potrzeba nie na jednym zwidzeniu tylko poprzestać.

Gdy już stanąłem w Rzymie, wyrazić nie zdołam ani myśli moich, ani wrażeń, jakich doznałem znalazłszy się u kresu najgorętszych pragnień moich! Dusza ukorzyła się w modlitwie, opromieniła się błogiem uniesieniem i szlachetnemi porywy uderzyło serce.

Mając kilka listów rekomendacyjnych z Paryża, pospieszyłem do Pana Onufrego J. Korzeniowskiego, byłego kapitana wojsk polskich z 1831 roku, który był już poprzednio zawiadomiony listem o mojem przybyciu do Rzymu.—Gdy wysłuchał relacji mojej o przyczynie mego przybycia, oświadczył ku wielkiemu zdziwieniu memu, że aby zostać przyjętym do papieżkiego wojska, wiele trudności przewyciężyć należało. — Bo nietylko rekomendacyę osób wpływowych, wszędzie i zawsze ułatwiających skutek przedsięwzięcia, potrzebne jeszcze były świadectwo od rodziców i od proboszcza miejscowego, akt metryki chrzestnej, oraz świadectwo władz rządowych kraju z jakiego się przybywało. Żeby zaś postąpić do żuawów, to więcej jeszcze należało dopełnić formalności, nie mówiąc już o 60 frankach, które trzeba było wnieść *ex nunc* do kasy.

Doprawdy sądziłem, że to były żarty. Przekonałem się atoli własnem doświadczeniem o prawdziwości słów zacnego kapitana; bo pomimo całej energii dążenia mego, za ledwie udało mi się po dwóch miesiącach przywdziać strój żuawa.

W tymże dniu poznałem w domu p. Korzeniowskiego, kilku Polaków z różnych pułków papieżkiego wojska. Wielu ich było rozsianych po garnizonach na prowincji. Cieszyłem się nadzieją poznania ich wkrótce.

Doznawszy w pierwszych dniach pobytu w Rzymie, uprzejmych względów jenerała byłych wojsk polskich Józefa Szymanowskiego, któremu obiecałem przedstawić się w mundurze, skoro tylko przyjętym zostanę, pospieszyłem doń natychmiast.

Dostojny starzec oczekiwał mię niecierpliwie. Gdy wszedłem do salonu, stanąłem frontem o kilka kroków od fotelu na którym siedział, i salutowałem po wojskowemu. Jenerał zakomenderował z uśmiechem: „w prawo! w lewo!“ potem ścisnął rękę moją, i powinszował. Wdzięcznie przemówiło doń serce moje, jego bowiem interesowaniu się

i energicznym zabiegom, winienem szczęśliwe dopięcie najpożądańszego celu.

Opowiadając o szczegółach organizacji papieżkiego wojska, dostojny Jenerał wspominał między innymi, że znajdę w szeregach żuawów, nietylko ludzi światowo ukształconych i zacnych, których najpierwsze rodziny różnych krajów dostarczyły, lecz nawet wielu ksiąząt, i synów królewskiego szczepu. Następnie udzielił mi rad swoich, z których korzystać nieomieszkalem.

Z kolei przyszedł do kampanji napoleońskich, w których brał udział, w Hiszpanji, Niemczech i Rosji. Wspominał także, jak przybył do Fontainebleau podczas abdykacyi Napoleona po rozkazy jego dla wojska polskiego. Łzy trysnęły z oczu Cesarza na ten dowód wierności Polaków, tak srodze przez niego zawiedzionych a którzy go w nie-szczęściu nie opuścili.

Po ciekawych opisach bohaterskiej walki 1831 roku tak niefortunnie zakończonej, sędziwy weteran opowiadał, jak wstąpił do wojska Piusa IX. w charakterze prostego żołnierza. Pokazał swój wizerunek w mundurze szeregowca pułku rzymskiego, z piersią ude-

korowaną krzyżem wojskowym polskim *Vir-tuti militari*, legją honorową, i kilku innymi orderami.

Patrząc na jenerała i słuchając opowiadań jego, byłem prawdziwie rozrzewniony. On, jenerał polski, zwycięzca w tylu bojach, posiwiały pod sztandarem wielkich walk za szlachetną ideę, on, mąż takiej znakomitości i zasługi, nie przyjął ofiarowanego sobie jeneralskiego stopnia, a stanął w szeregach rycerza Kościoła, z karabinem prostego żołnierza na ramieniu! Cześć, cześć tobie bohaterze!— ostatniemu z tych Mohortów naszych, co przez całe życie dzierżyli zaszczytnie w męźnej dłoni oręż polskiej sprawy i ubolewając nad skarłowaciałym pokoleniem tylu wieków narodowej sławy, umierali z okiem utkwionem tam, gdzie ich ojczyzna uleciała!...

Długo jeszcze mówił starzec sędziwy o swej przeszłości, co tylu wielkich scen dziejowych uczestniczką i świadkiem była—w końcu zapłakał. Klęknąłem przed nim i prosiłem o błogosławieństwo, którego mi z uroczystem namaszczeniem udzielił.

Kiedym go pożegnał i stanął na ulicy, zegar Kapitolu wybijał północ. Poważne

dźwięki dzwonu dziwnie się w mej duszy odbiły. Stąpając po ciemnych zaułkach nieśmiertelnego grodu, mimowolnie myśl moją przенiosłem ku świetnej przeszłości wielowładnej Romy. Stały mi żywo przed oczyma jej bitne legjony, wspaniałe pomniki, dworce, owacje wodzów zwyciężkich, przepychy Cesarów. Wpatrując się duchowo w ten obraz zamierzchły, największej politycznej potęgi starożytnego świata, przeszedłem analogicznie do wspomnień o Polsce, strasznej niegdyś sąsiadom; o Polsce, której duch rycerski w niedawnych przejawiał się bojach, stary wawrzyn dziejowy nowemi przystrajając listki. Marność rzeczy ludzkich, znikomośc potęgi ziemskiej i sławy; przelotność wszystkiego, na czem człek dzieła swej dumy opiera, owiały mgłą smutku powrót mój do mieszkania.

Nazajutrz, po wysłuchaniu mszy świętej, miałem z kapitanem Korzeniowskim audjencję u Ojca Świętego. Ten tylko pojmie, jakiego wrażenia doznałem w tej uroczystej dla mnie chwili, kto miał szczęście rozmawiać z Piusem IX. Postać Jego tchnęła majestatem nieziemskiej jakiejś powagi a twarz jaśniała pobleżaniem i miłością. Podałem Jego Świę-

tobliwości wizerunek na blasze Najświętszej Panny Częstochowskiej, mówiąc: To jest królowa Polska! Wziął do rąk, westchnął wpatrując się w smętne oblicze Przczystej Dziewicy i zrobiwszy nad nim znak krzyża zwrócił i udzielił mi błogosławieństwa swego.

Tegoż dnia wyjechałem z Rzymu do Frascati. Tam konsystował bataljon żuawów do którego wcielony zostałem. Nie uszło pół godziny, pociąg zatrzymał się na stacji. Wyszedłem z wagonu; wziąłem sztuciec na ramię, tornister na plecy i pośpieszyłem ku miastu.

Kiedym szedł drogą w myślach pogrążony, usłyszałem trzask bicia za sobą. Elegancki wolant toczył się lotnie po gościńcu, ciągniony czwórką białych prześlicznych koni.

Na jednym z nich siedział żokiej w szafrowej liberji, z żółtymi wyłogami. Strój woźnicy i lokaja był odpowiedni — w powozie siedziało dwóch młodych żuawów. Skoro mię tylko spostrzegli, kazali wstrzymać konie, wyskoczyli z powozu i powitawszy mię z największą grzecznością jako nowego kolegę (albowiem poznali żem rekrut) wezwali z sobą do wolantu, co mi tem przyjemniejszym

było, że do miasta zostawała jeszcze dobra milka.

Wielce rad byłem z tego pierwszego koleżeńkiego stosunku, na samym wstępie służby. Zaczęliśmy naturalnie, od wzajemnej zamiany nazwisk naszych. Ztąd dowiedziałem się, że młodszy z nich był księciem de Chevreuse, a drugi panem de Montesquieu. Polska moja narodowość wywołała z ich strony większe jeszcze objawy przychylności i serdecznego zbliżenia. W miarę tego jakieśmy się zbliżali do Frascati pomnażała się suma obowiązkowych pojęć moich o służbie, jaka mię czekała. Według słów nowych moich kolegów, codzienna mustra rano i popołudniu zajmowała do 7 godzin. Oprócz tego szły wykłady frontowej teorii zastosowane do pokoju i do wojny.

Służbowe zajęcia w ogólności zaledwie zostawiały parę swobodnych godzin dziennie, i to wtedy, kiedy się nie miało znów jakiej czynności wewnątrz koszar. Regulamin francuzki, takąż organizacja. Służbowego trudu bardzo wiele—ale to dla Boga—i dla Piusa IX, mówili książę de Chevreuse, i pan de Montesquieu.

Tak rozmawiając, wjechaliśmy przez *Porta Romana* na główną ulicę miasta, z kąd nas bystre konie w kilka minut przywiozły do pysznej Villi, którą jeden znakomity rzymianin ustąpił żuawom. Nic wyrównać nie może piękności miejsca tego. Pyszny wodotrysk przed którym się powóz zatrzymał, był punktem rozstrzelenia się linii alei i szpalerów, gdzie pośród laurów, cyprysów, drzew rozmaitych wiecznie zielonych, migotały marmurowe postumenta, kolumny, statuy — szumiały wytryski fontan pomniejszych w balsamicznej i wielobarwnej oprawie żywego kwiecia. A dalej, dalej, Apeniny rysujące się wybitnie na szafirowem tle nieba, blaskiem zachodzącego słońca ozłocone!

W chwili przybycia naszego, trawniki i aleje były pełne gwaru i życia; w strojach błękitnych, białemi świecąc kamaszkami, rozsypali się żuawi wesołym rojem na przechadzce.

Widok tych młodych szlachetnych twarzy, ujmującym wyrazem ożywionych, natchnął mię tak, że witając tych nowych kolegów uchyleniem mojej kepi mimowolnie wykrzyknąłem: *Vive Pie IX!* Kilkadziesiąt głosów

odpowiedziało chórem. Kilkunastu żuawów pobiegło do wolanta — za nimi hurmem reszta podskoczyła. Z za każdego klombu, zarosła, kwiecistego krzewu — z każdej cienistej alei zaczęli się ściągać do nas żuawi. Obszer-na przestrzeń zaludniła się gęsto w jednej chwili. Ci, którym dostępu nie było, zalegli brzeg wodotrysku, z kąd usiłowali dowiedzieć się o przyczynie takiego zbiegowiska. Gdy spostrzegli, że obchodzono przybycie nowego towarzysza, każdy chciał go powitać i dłoń jego po koleżeńsku uścisnąć.

Tak postępując naprzód, w licznej asystencji doszedłem do poblizkiego pałacu, obróconego na koszary. Zameldowałem się do Biura mojej kompanji, gdzie wręczyłem Furjerowi ¹⁾ moje papiery. Po rozpatrzeniu onych, rozkazał natychmiast dwóm żuawom, żeby przynieśli z magazynu łóżko oraz inne przybory; poczem wprowadził mnie do wnętrza kwater.

Ujrzałem obszerne sale wyłożone marmurową posadzką. Sufity były malowane *al fresco*.

¹⁾ Ranga podoficera zajmującego się biurem kompanji i zarządzającego magazynem teje.

Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędem łóżka żelazne. Na każdym z nich zwinięty rodzaj materaca, twardo i gęsto pikowany — na wierzchu dwa białe prześcieradła, mała poduszeczka, obok której leżała złożona kołdra sukienna. Nad łóżkami półki żelazne, na których pomieszczały się artykuły wojskowe żuawa, jakoto: tornistry, płótno namiotowe, płaszczyk, trzewiki i kamasze; a obok na hakach wisiały sztucce i pałaszo-bagnety. W środku sali biust Ojca świętego, na postumencie. Porządek, czystość, harmonijny układ przedmiotów, przyjemnie uderzały oko.

Kiedyśmy weszli na balkon, przecudne panorama rozciągało się przed nami. Nad nim toczyło się zachodzące słońce ku morzu świecącemu z daleka. Widząc zachwyty mój wobec tej natury bogatej i malowniczej. Furjer rzekł do mnie:

— Jak uważam, upodobałeś kraj ten, i pokochałeś rzymskie niebo.

— O! rzekłeś prawdę! — odpowiedziałem i będę się starał bliżej przypatrzeć cudnym krajobrazom tej rozkosznej krainy.

— Wątpię kochany kolego — odrzekł Furjer — żeby ci na to czasu wystarczyło—

a chociażbyś i znalazł jaką wolną chwilkę, wątpię żebyś ją zechciał czczym kontemplacjom natury poświęcić. My tu zaledwie odpocząć mamy kiedy. Służba i ćwiczenia nieustanne. Kiedy Jenerał Lamoricière formował żuawów dla Ojca świętego w r. 1860, położył on za główną zasadę żeby żuaw nie miał nigdy wolnego czasu. Tak się też dzieje u nas.

Wkrótce zostałem instalowany w 1. oddziale (escouade) 5. kompanii, 1. bataljonu, obok Polaka hr. Romera, z którym poznałem się dopiero przy apelu. Na hasło trąbki, każdy żuaw stanął przy swoim towarzyszu w służbowej postawie, z oczyma zwróconemi ku służbowemu oficerowi, przed którym kaprale czytali głośno listę nazwisk swych żołnierzy. Usłyszawszy swoje nazwisko, każdy winien był przemówić: *Present!* Po tym nominalnym apelu, czytano rozkazy sztabowe na dzień następny. W jednym z nich było rozporządzenie dotyczące się mojej osoby. Zostałem przeznaczony do szkoły rekrutów z obowiązkiem stawienia się nazajutrz o godzinie 5 rano, w pełnym stroju na placu mustry. Usłyszawszy to postąpiłem, salutując dwa kroki ku oficerowi; a gdy otrzymałem pozwolenie mó-

wienia, oświadczyłem, że będąc exoficerem znam ćwiczenia rekruckie. Prosiłem oficera, żeby tę okoliczność raczył przedstawić raportem pułkownikowi, i wyjednał u niego rozkaz pomieszczenia mię od razu w czynnej służbie.

— Przykro mi — odpowiedział oficer — że muszę odmówić temu żądaniu. Każdy wstępujący do żuawów, musi niezważając na zdolności i poprzednie zasługi przejść kolejno wszystkie bez wyjątku ćwiczenia rekruckiego regulaminu. Są tu pomiędzy nami wyżsi oficerowie francuzcy: są także uczniowie szkoły *Saint-Cyr*. Wszyscy oni musieli zastosować się do przyjętej normy.

Nie mając co powiedzieć na to, dałem za wygraną i odszedłem.

Po oddaleniu się oficera, rozpoczął się akt koleżeńskich prezentacji. Rój uprzejmej młodzieży otoczył mię — starając się obznajomić nowicjusza ze stroną drobiazgową militarne go zawodu. Jedni wypytywali się o szczegóły powstania 1863 roku. Drudzy wtajemniczali mię do stanu politycznego kraju, i wróżyli pewną wojnę, w razie jeżeliby wojska francuzkie Rzym opuściły.

Wszystko com widział dnia tego, i czemu doświadczył, było uroczyste i poruszające. Rzewnie odezwały się w duszy mojej przychylnie słowa, serdeczne oświadczenia tej szlachetnej młodzi, co krew swoją i życie świętej sprawie zagrożonego Kościoła poświęciła. Obok niej, stanęli także w szeregach stateczni ojcowie familji, ludzie pełni zapału i ofiary. Niewiem prawdziwie czy mogły istnieć kiedykolwiek wznioślejsze wzory, godniejsze hołdu, i naśladowania? Urok poufnej, zajmującej rozmowy tak przyspieszył bieg czasu, żeśmy się wielce zdumieli, gdy trzykrotny sygnał trąbki ogłosił godzinę 10 czyli normalną porę spoczynku.

Gdyby na skinienie czarnoksięskiej laski, wszyscy padli wnet na kolana przy swoich łóżkach, i cichość głęboka zaległa salę. Jeden tylko z żuawów odmawiał pół głosem różaniec przed statua Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi, przesuważąc paciorki — a wszyscy w cichości powtarzali. Modlitwa zbiorowa pod wpływem najszczytniejszych natchnień dopełniania, modlitwa korna, szczerą, duszę i serce wznosząca do Boga — modlitwa, za wszystko co wielkie, święte,

drogie nam na ziemi — o! to chwila nad chwilę — błogość nad błogości!

Nazajutrz rano, po apelu, wszystkie kompanje stanęły pod bronią na głównym placu, zkad pomaszzerowały na manewra. Rekruci zaś, z którymi i ja byłem, poszli w przeciwną stronę.

Porządek zajęć służbowych był u nas surowo przestrzegany. A zajęcia te nie miały przerwy. Ćwiczenia frontowe szły czynnie, i codziennie, wyjąwszy świąt uroczystych; dnie zaś sobotnie przeznaczone były na głównejsze rewizje wewnątrz koszar.

Pomimo to, zem się prędko nauczył ćwiczeń niektórych, właściwych żuawom, po siedmiu tygodniach dopiero pozwolono mi wstąpić do szeregów odbywających manewra.

Miewaliśmy częste paradne przeglądy, w obecności jenerałów brygad, lub samego naczelnego wodza. Co niedzieli i w każdą uroczystość po mszy świętej, wychodząc z kościoła w pełnym bojowym rynsztunku, maszerowano w parady przed pułkownikiem, z muzyką na czele. Muzyka nasza była celującą. Składali ją doskonali artyści, których miłość Kościoła pod jego znamiona powołała

Oni to dodawali uroku poetycznym fetom, na hasło których spieszyły tłumy do Frascati, Willi Torlonia, Aldobrandini, zaczerpnąć wieczornego chłodu, przy blasku pochodni i lamp kolorowych, kiedy wód perły lśniły w wytryskach fontan, kiedy kaskady toczyły się rozgłośnie po głazach misternie ułożonych, a lekki wiaterek poruszał przelotnie drzew balsamicznych zielone osłony — urok pięknego nieba Italji, ciemno lazurnego, wionął srebrzystą promienistością gwiazd niezliczonych; a muzyka pełna, harmonijna, mistrzowska podnosiła i uwydatniała powab tego obrazu, który kołysał duszę w dziwnie błogiem upojeniu.

Duch naszego pułku miał w sobie coś mile pociągającego. Miłość koleżeńska i zobopólny szacunek, łączyły wszystkich. W razie śmierci jakiego z żuawów, półkownik i oficerowie asystowali na pogrzebie. Przybierano trumnę w girlandy i wieńce, a kapelan spowiednik nieraz bywało lilję białą dorzucał. Towarzysze broni nieśli zmarłego, przy odgłosie wojennej żałobnej muzyki. Tak postępując, orszak wstępował do kościoła, gdzie składano ciało w grobie wydrążonym pod

posadzką. Pożegnalne salwy z ręcznej broni kolegów stojących w bojowym szyku przed świątynią, kończyły ceremonję. Dotąd widzieć można w Fraskati, środek kościoła okryty płytami marmuru z napisami świadczącemi, że tam spoczęły szczątki tych rycerzy Stolicy Piotra Ś.

Założyliśmy także pomiędzy sobą Towarzystwo Św. Wincentego a Paulo, którego celem było udzielanie wsparcia biednym tych miast i miasteczek, w których staliśmy garnizonem.

Gdy na schyłku 1866 roku wojska francuzkie opuściły Rzym, żuawi zajęli ich miejsce. Wtedy to zaczęli wstępować do naszych szeregów liczni ochotnicy; skutkiem czego, pułk w kilkanaście miesięcy, podniósł się do czterech batalionów, po sześć kompanji każdy, a kompanja liczyła do stu pięćdziesięciu ludzi. Oprócz tego, mieliśmy cztery kompanje rekruckie, jedną saperów, i dwie rezerwowe. Słowem skład pułku bardzo silny, a ćwiczenia onego staranne. ¹⁾.

¹⁾ W roku 1869 liczba żuawów zmniejszyła się znacznie z powodu, że ci którzy wysłużyli swój czas, gdy o wojnie nie słyhać nie było, wyjechali do rodzin swoich.

Wysyłano zwykle zdolnych oficerów do Francji na wielkie manewra obozu pod Châlons. Zaprowadzono także komissję wojskową, której zadaniem było wydoskonalenie sztuki wojennej na podstawie porównań z wojskami zagranicznymi, i założono szkołę wojskową.

Odbywaliśmy także rewje z ogniem, czyli małe wojny, w których brały udział także ochotnicze pułki Rzymian, to jest liniowe, strzelcy, pułk dragonów, żandarmerja konna, piesza, artylerja polowa, górna (z armatkami na mułach), sapery (génie), karabinjery zagraniczni i legion antybski. Sypano wały, rzucono mosty, oswajano z szybkimi i dalekimi marszami.

Nie dziw zatem, że żołnierz tym sposobem wyćwiczony i zahartowany, a mający do tego Boga w sercu, stawiał mężnie czoło siedmdziesiąt-tysięcznej armji Piemontu, i po sześciugodzinnym boju, z bohaterskim duchem toczonym, wtedy dopiero rzucił najeźdźnikowi strzaskany karabin, kiedy był do tego rozkazem Ojca Świętego zmuszonym. Lecz sztandar swój poszarpany przez kule w bitwach, uniosł on niepokalany. Żuawi rozdzieliwszy

swoje znamię na części, rozebrali pomiędzy siebie, jako najdroższą pamiątkę męztwa, poświęcenia i honoru.

Oni też wkrótce walcząc za Francją ¹⁾ w ostatniej jej nieszczęśliwej wojnie, zyskali sobie sławę, i niejednokrotnie ocalili cześć francuzkiej armji.

Miło mi także wspomnieć o naszym nabożeństwie majowem do N. P. Maryi. Odbywało się dla nas samych, ²⁾ w kilku kościołach na to przeznaczonych. Grano na rozmaitych instrumentach, śpiewano; poczem następowała nauka jednego z kapelanów, lub jakiego biskupa, co miało miejsce gdy wielu biskupów zjechało do Rzymu na kanonizację świętego Józefata w 1867 a potem w roku 1870 w czasie Soboru.

W roku to 1867 Ojciec Święty nakazał modły publiczne za Polskę, z wystawieniem Najświętszego Sakramentu przez trzy dni. Nabożeństwo to nakazane było we wszystkich parafiach całego świata katolickiego; w Euro-

¹⁾ W wojnie francuzkiej wzięli udział żuawi tylko ci, którzy byli Francuzami, i ci którzy dawniej służyli w tymże pulku. Pulk żuawów papieżkich w Francyi składał się z 3 bataljonów.

²⁾ Pulki rzymskie bywały na nabożeństwach w kościołach im przeznaczonych.

pie powinno się było odbyć w przeciągu sześciu miesięcy, a w Azyi, Afryce, Ameryce i Australji w przeciągu roku.

I wieleż to narodów, wiele pokoleń na półdzikich jeszcze, w najodleglejszych kończynach ziemi modliło się za Polskę! A w roku 1863 dnia 31 Sierpnia gdy nakazywał uroczyste modły za kościół św. a które trwały dni siedm, Pius IX nie zapomniał o Polsce i napisał własną ręką na dekreście:

„E poi volere del Santo Padre che in questa circostanza si facciano particolari preghiere per la infelice Polonia, ch' Egli vede con dolore divenuta in questo momento teatro di stragi e di sangue. La nazione polacca, che fu sempre cattolica, e come antemurale contro l' invasione dall' errore, merita certamente che si preghi per essa, affinché sia liberata dai mali che l' affligone, e non perdendo giammai il suo carattere, si mantenga sempre fedele a quella missione che Dio le diede, di custodire non solo, ma di conservare intatto ed inviolato con unanime consentimento di quanti compongono quella nazione il vessillo della fede cattolica e della religione de' padri suoi.

„I jest wolą Ojca Świętego, ażeby z tej okoliczności osobne zanoszono modły za nie-szczęśliwą Polskę, nad którą boleje, że się stała w obecnym czasie polem krwi i mordów. Naród polski, który był zawsze katolickim, i przeciw najazdom błędu za przedmurze służył, zasługuje zaiste by się zań modlono: ażeby z klęsk trapiących go wyzwolonym został; i ażeby nie tracąc nigdy znamienia swojego trwał na zawsze wiernym posłannictwu danemu od Boga, posłannictwu, nietylko strzeżenia, lecz oraz zachowania nietkniętej i nienaruszonej, z jednomyślną zgodą wszystkich członków tego Narodu, Chorągwi Wiary Katolickiej, Wiary Ojców jego.“

Niedługo potem wypędził Pius IX z Rzymu ambasadora rosyjskiego pana Mayensdorfa który przed nim z tej przyczyny ośmielił się oczerniać Polaków iż są wszyscy rewolucjonistami. Na co Ojciec Święty odpowiedział: „Iż wielka zachodzi różnica pomiędzy rewolucją, a słusznemi żądaniami narodu Polskiego.“

A gdy w r. 1864 w czasie uroczystego nabożeństwa w kościele św. Jana mówiąc do obecnego ludu o prześladowaniu Polaków przez rząd rosyjski, rzekł: „iż Bóg ukarze tego mocarza północy, na dzieciach jego.“ I w tymże dniu następca tronu syn Alexandra II umarł w Nicei.

W r. 1867 dnia 2 Lutego, Rzymianie ofiarowali Ojcu Świętemu nadzwyczaj bogatą i olbrzymiej wielkości świecę; którą Pius IX w czasie uroczystej procesyi, której towarzyszą i wszyscy ambasadorowie, wręczył ową świecę kardynałowi Patrizi i rzekł:

— „Odeszlijcie ją do Collegium Polskiego i powiedźcie kochanym Polakom, ażeby ją zachowali i zapalili w dzień w którym będą śpiewać Te Deum, w kościele Św. Jana w Warszawie na podzię-

kowanie, że Bóg oddał im Ojczyznę wolną.“

A w 1868 roku dnia 27 Lipca mówi Pius IX w brewe między innemi:

Że nie jestem prorokiem ale tylko niegodnym Namiestnikiem p. Jezusa Chrystusa na ziemi, jednak jestem mocno przeświadczony, że abyście tylko zostali wierni wierze Ojców waszych, a smutek wasz już niezadługo w radość się zamieni i Ojczyzna wasza zajmie jej przynależne miejsce pomiędzy narodami; i na co już naprzód daję wam Apostolskie błogosławieństwo.

ROZDZIAŁ III.

W czerwcu 1867 roku wyszła kompanja żuawów na garnizon do Albano. Wkrótce potem wybuchła tam taka straszna cholera, że nie było zdaje się domu, w którymby nie umierało dziennie kilka a nawet kilkanaście osób. Dwóch członków królewskiej neapolitańskiej rodziny padło także ofiarą epidemji. przerażenie mieszkańców doszło do takiego stopnia, że rodzice porzucali dzieci, dzieci rodziców, mężowie żony swoje, i uciekali w góry od zapowietrzonego miasta. Trupów leżących po ulicach nikt się tknąć nie powa-

żył, uprzątnąć nie ośmielił. Słowem: trwoga, zamieszanie, nieład, panowały wszędzie. Widząc to żuawi wzięli się do dzieła. Zapomniawszy o własnem niebezpieczeństwie w obec szlachetnej ofiary, jaką ludzkości nieść zamierzali, sami nosili od rana do wieczora umarłych; grzebali ich własnymi rękami, a chociaż czasu na darmo nie tracili, ledwie podołać tej pracy byli w stanie, bo śmierć nielitościwa bystro swe dzieło zniszczenia roztaczała. Zatelegrafowano więc do Rzymu po jedną jeszcze kompanję żuawów. Przybyła tegoż wieczora pociągiem. Czynność żuawów obszerniejsze przyjęła rozmiary. Nie ograniczali się już oni na oczyszczaniu ulic z trupów; wnikali do wnętrza domów, pełnych zabójczych miazmów od ciał psujących się, od chorobliwych wyziewów — i wynosili te ciała przemagając wstręt i niebezpieczeństwo! Wtedy to umarł kardynał Altieri udzielając śś. Sakramentów rażonym zarazą — i dziwna rzecz! kilku tylko żuawów umarło. Szczęśliwi! Owiany smutkiem doczesności, zazdroścę wam szczerze, towarzysze broni, radości jakiej już doznajecie!

Po niejakiem czasie ustała epidemja. Gdyby huragan jaki przebiegła ona naznaczywszy ślad swój zniszczeniem i rozpaczą. Lecz nowy, niemniej groźny huragan nadciągnął wkrótce nie na jedno tylko Albano, ale na całe Państwo Kościelne. Chcę tu mówić o bandach garybaldowskich, które rząd florencki wysłał w rodzaju przedniej straży, najezdniczego ruchu swego, przeciw Stolicy Chrześcijaństwa. Bandy te złożone były przeważnie z pjemonckich żołnierzy i oficerów, nibyto zbiegów.

Łatwo sobie wyobrazić, z jakim zapalem otrzymaliśmy tę wiadomość. Wkrótce też zaczął się nasz taniec żuawski z przybyszami nieproszonymi.

Poznali się oni bliżej z nami pod Nerola, Grotte-S. Lorenzo, Viterbo, Monte-Parioli. Monte - Rotondo, Ischia, Farnese, Bagnorea, Monte-Libretti, Aqua-pendente, Vallecorsa, Subiaco. W Rzymie także, dokąd przybyli w liczbie kilkuset, i kryjąc się pod rozmaitą firmą, starali się koniecznie zrobić rozruch, lecz na próżno; gdyż sami mieszkańcy pomagając załodze, odbywali patrole i uformowali z siebie straż bezpieczeństwa; garybaldczyki zostali po-

bici na głowę, jedni na *Transtevere*, a drudzy za bramą Ś. Pawła i w okolicach *Aqua Acetosae*, w końcu pod *Mentana*.

Co do *Transtevere* rzecz się tak miała:

Wspomniałem już, że garybaldczycy wciśnawszy się do Rzymu ukrywali się tam pod rozmaitemi postaciami. Nie mogąc liczyć na Rzymian, co przeciw rewolucjonistom zbrojnie wystąpili, porozumieli się z sukiennikiem *Aiani*, który miał swoją fabrykę na *Transtevere*. Szło im o to, żeby rozpocząć działanie na własną rękę.

Wypadło więc porozumieć się — i ułożyć plan czynu. W tej myśli zebrali się w liczbie stukilkudziesięciu na walną naradę u *Aiani*.

Aiani nie omieszkał wyprawić sutej uczty dla przewodców bandy. Ugościł hojnie winem — czem doprowadził zapal garybaldczyków do tego stopnia, że jeden z nich, tego podchmielony, strzelił przez okno z rewolweru do idącego ulicą żuawa.

Nietknięty strzałem żuaw, pośpieszył uwiadomić o tem zdarzeniu, swoją kompanję, do koszar *Santo-Calixto*.

Wnet odkomenderowano czterdziestu żuawów, na miejsce dla zbadania rzeczy.

Skoro się zbliżyliśmy do mieszkania Aiani, posypały się na nas gęste strzały z okien i z dachu, terrasą uządzonego — a także i bomby ręczne Orsiniego pękające z łoskotem.

Żuawi sunęli się bystro naprzód — zajęli mały placyk przeciwległy domowi i puścili gęstym ogniem w okna. Garybaldczyki odskoczyli od okien — cofnęli się w głąb pokojów i rzadziej strzelać zaczęli — lecz bomby zato padać nie przestawały. Musiały one być zatrute, gdyż ci żuawi, którzy choć lekkie otrzymali rany, umierali.

Po długiej z obu stron kanonadzie, trąbka dała hasło do ataku. Żuawi natknęli bagnety na sztucce i lotem uderzyli na dom. Nie upłynęło kilka minut, byli już panami dolnej części onego. Poczem zdobyli schody pierwszego piętra. Wyparci garybaldczycy cofnęli się tłumnie i zabarykowali w pokojach pierwszego i drugiego piętra. I tam wdarli się żuawi.

Z ogromnemi nożami na końcu swoich strzelb, garybaldczyki potykali się zawzięcie. To samo działo się i na wyższym piętrze. W końcu garybaldczycy zaczęli wyskakiwać

oknami na dziedziniec i do ogrodu. Inni przez dachy przebiegli do sąsiednich w tyle znajdujących się domów, a z nich zaułkami umknęli dalej.

Ubito ich 17, kilkudziesięciu pojmano, a między tymi byli i ranni. Znaleźliśmy wiele palnej broni, amunicji, lanc z ogromnymi nożami, mnóstwo bomb Orsiniego różnej wielkości, a także sztylety i walki ołowiane ostro zakończone, z uszkami na szpagat do rzutu.

Zdarzyło się nieraz, że w niektórych z bitew wyżej przytoczonych, a które w tychże miejscach w czasie kampanji po kilkakroć się powtarzały, nieraz kilkudziesięciu żuawów, tysiąc ich porażało. Kiedy w Bagnorea Menotti na czele 1.200 przeszło garybaldczyków w najlepsze gospodarował, podsunęło się doń 84 nie więcej żuawów. Na wystrzał pikiety powstał okrzyk przerażenia „żuawi! żuawi!“ Strachem panicznym przejęci wpadli w zamęt, nieład, bezprzytomność. Rzucili się tłumnie ku tylnej bramie miasta, zdoławszy zaledwie pochwycić broń swoją w kozły na placu ustawioną; lecz spóźnili się! Już ich żuawi uprzedzili. Uderzyli na nich na bagnety

i popędzili jak spłoszoną trzodę ku innej bramie. Tu ich spotkała druga część żuawów. Wzięci w dwa rzędy bagnatów ponieśli ogromną klęskę. Rzeź trwała blisko godziny. Pardonu nie było; tem bardziej, że mieszkańcy, którzy się z nami połączyli, opowiedzieli nam, że cni rycerze Pjemontu, zrabowawszy ich i nie kontentując się tym chwalebnym tryumfem, znieważyli świątynie Pańskie, rąbiąc krzyże i obrazy święte, o czem przekonaliśmy się sami później.

Po tej potyczce, plac i poboczne ulice, pełne były trupów. Przeszło 350 garybaldczyków wzięto do niewoli — reszcie pozwolono uciec, bo byliby tylko ciężarem dla nas.

Podobna scena powtórzyła się i w Monte-Libretti, gdzie było 1600 garybaldczyków.

W ciągu tej kampanji, wzięliśmy kilka tysięcy do niewoli. Lecz oni nie mogli pochwalić się ani jednym żuawem, oprócz Collingricza, Anglika, co zakłówszy bagnetem czternastu, padł przeszyty kulą i był zostawiony w miasteczku przez żuawów jako śmiertelnie ranny. Inna banda garybaldczyków nadciągnawszy tam później, pastwiła się nad umierającym, lecz nie miała czasu go dobić; bo

w chwili kiedy ich dowódzca wpadł do klasztoru i groził zakonnikom, że jeżeli mu nie oddadzą pieniędzy, oraz naczyń kościelnych, głowy im rozplata; nagle powstał groźny okrzyk: żuawi! żuawi! i wktótce potem, ów bohater czołgał się u nóg tychże zakonników aby go od bagnetów żuawskich zasłonili.

Już przeszło miesiąc trwał bój na wszystkich punktach. Ochotnicze pułki krajowców gromiły garybaldczyków łącznie z żuawami, legją rzymską i karabinjerami zagranicznymi. Widząc to Wiktor Emanuel, pozwolił żołnierzom pułków piechotnych, ba nawet artylerji wymykać się z pod znamion swoich do band dla zasilenia onych. Ztąd to urosły siły garybaldczyków do takiej cyfry, że jedna ich banda z 6000 złożona pod dowództwem Nicotera ufortyfikowała się w Velletri; a druga wynosząca 9200 pod wodzą Garibaldiiego zdobyła Monte-rotundo dnia 26 Października po 27-godzinnym szturmie, straciwszy przeszło 380 ludzi, gdy tymczasem miasta broniły tylko dwie kompanje Legionu Rzymskiego pod rozkazami kapitanów Costes i Foederera. Garybaldi wjechał

konno do kościoła, który garybaldczycy zaraz zrabowali.

Wkrótce inne bandy przyłączywszy się utworzyły siłę kilkunastutysięczną, obsadziwszy także Mentana. *Roma o morte!* wołał Garybaldi, spoglądając ku Rzymowi. W parę dni potem wylądowali Francuzi w Civita-Vecchia.

Z 2 na 3 listopada, wojsko papieżkie wyruszyło przeciwko rewolucjonistom wraz z częścią Francuzów. Skład onego był następujący ¹⁾: Dwa bataljony żuawów, pod pułkownikiem Allet ²⁾; bataljon karabinierów pod pułkownikiem Jeannerat; batalion Legji Rzymskiej pod pułkownikiem d'Argy; bateria lekkiej artylerji, pod kapitanem Polani; szwadron dragonów kapitana Cremona; kompanja saperów kapitana Fabri; i pół kompanji żandarmów. Ogółem 2913 ludzi. Kolumna ta była pod rozkazami naszego jenerała brygady de Courten.

1) Zwracam uwagę, że bataljony tak nasze, jakoteż francuzkie były zmniejszone znacznie z powodu, iż część żołnierzy pozostawiono w Rzymie, lub wysłano w inne strony państwa kościelnego.

2) Ten odmówił stopnia jeneralskiego, mówiąc: wolę pozostać pułkownikiem żuawów.

Kolumną francuzką dowodził generał brygady de Polhes. Była ona rezerwową i miała części składowe następujące: dwa bataljony strzelców pieszych pod komendantem Comte; 1 batalion 1go pułku; pół baterji artyleryi; pluton saperów; i pluton żandarmów konnych. Razem wzięte obie te kolumny, papieżka i francuzka, liczyły do 5.000 ludzi; a podzielone na mniejsze oddziały, posuwały się linjami strategicznemi ku nieprzyjacielowi, żeby go oskrzydlić, zaatakować w kilku punktach jednocześnie, przeciąć jego komunikację, odwrót zrobić niemożliwym.

Żuawów skierowano na środek jego bojowej linji. Maszerowaliśmy przez całą noc, pod deszczem rzęsimym. O świcie dały się słyszeć wystrzały; to awangarda żuawów atakowała nieprzyjacielskie placówki, które cofając się, odstrzeliwały się gęsto. Rozsypany się w tyraliery, żuawi parli je naprzód. Manewr ten, wymagający wprawy i zwinności, prześlicznie wykonywali żuawi. Zajmującym wielce widok tego podwójnego łańcucha tyraljerów, którzy czołgając się między trawą, krzakami, bruzdą, to nikną we wklęsłościach gruntu, to jakby wyrastali z ziemi okazują

się na wyżynach, i rażąc celnymi strzały nieprzyjaciela, sadząc przez rowy i zapory; przemykają zręcznie, kędyby chyba tylko koza przejść mogła i nagle, zbiegłszy się niespodzianie, stają w szyku sformowani, by frontem najeżonym bagnetami uderzyć na wroga.

Placówki spędzone cofały się po za punkta ufortyfikowane. Pozycja garybaldczyków była górzysto pochyła i na kilka mil włoskich rozciągnięta. Mnóstwo było na niej murowanych budowli z ogrodami, a wszystkie mniej więcej wzmocnione fortyfikacją polową, obsadzone silnie i połączone linjami kolumn ruchomych.

Na wyższych budynkach w Mentana i Monte-Rotondo powiewały chorągwie czerwone, tam też mieściły się główne sztaby garybaldczyków.

Pod względem strategicznym i taktycznym, nie mogło być lepszej bojowej pozycji, i gdyby sam Bóg nie przewodził nam, nie zdobylibyśmy jej i w 30.000 wojska. Rozciągała się ona bowiem w kształcie amfiteatru stopniowo wznoszącego się, co było powodem, że nieprzyjaciel trzykroć od nas liczniejszy i posiadający gwintowane działa, krył się pod zasłoną

lasków, winnic i wyżyn, widząc ruchy nasze jak na dłoni.

Skoro tylko nadciągnęły główne kolumny, bój się rozpoczął na całej linii ogniem dział i ręcznej broni. Garybaldczycy zasypywali nas literalnie kulami. Sami zastronęci, bili w nas jak w tarczę. Kazano żuawom spędzić ich z pozycyi. Z okrzykiem: *Niech żyje Pius IX.* sunęli się oni tak natarczywie i gwałtownie naprzód, uderzyli z takim naciskiem na bagnety, że przełamali głębokie linje kolumn. Nieprzyjaciel ani marzył o podobnym ataku, który Francuzi stojący w rezerwie okrzykiem czci i podziwu powitali. Upadł więc na duchu, zdebandował się i puścił się w nieporządku ku Tivoli i granicy ¹⁾. Wyrzekłszy się Rzymu i Śmierci, i sam Garybaldi tąż drogą umknął.

Zostali naszym wojskom ci jeszcze, którzy byli w mieście — i w miejscach ufortyfikowanych, a których zaatakowano niezwłocznie na wszystkich punktach. Najtrudniejsza była to część dzieła. Trzeba było zdobywać

¹⁾ Garibaldi w tej bitwie miał sam dobór ochotników, i jak twierdził w przeddzień boju „iż wziął z sobą tylko najwaleczniejsze i najgodniejsze walczenia oddziały.“

każdy dom, ogród każdy. Zacięta walka toczyła się w winnicy Santuci, leżącej na pochyłości opasanej wysokim murem. Utworzywszy z siebie żywe drabiny, żuawi wdarli się do środka, kłójąc bagnetem. Co się też tam działo!...

Wkrótce ukazała się biała chorągiew; lecz w tejże chwili silna kolumna nieprzyjaciela wypadła z miasta, w zamiarze przejścia przebojem; uderzyła na bataljon karabinierów, lecz będąc odpartą ze stratą, pomknęła w stronę, gdzie właśnie stały rezerwy francuzkie. Wtedy to spróbowali Francuzi pierwszy raz swoich chaspotów, — nie wytrzymali garybaldczycy tego straszliwego ognia — rozpierchli się sromotnie i poddali. Noc już zaskoczyła, ogień ustał na całej pozycji bojowej, która zasłaną była rannymi i poległymi, a których narachowano tysiąc kilkadziesiąt; przy wielu z nich znaleziono kielichy, patyny, i t. p. sprzęty kościelne. Niewolnika (wielu jeszcze w mundurach wojska pjemontskiego) wzięto blisko półtoratysiąca.

Smutny przedstawiały widok Mentana i Monte-Rotondo! Mieszkańcy zrabowani. W kościele gwałt i spustoszenie! przenajświęt-



szy Sakrament rozrzucony! Co więcej jeszcze?...
wzdryga się dusza wyrzec!

Żal prawdziwie, że brano tych szatanów do niewoli. Warto było wyklóć wszystkich bez pardonu, albowiem byli to ohydni nikczemnicy, co się nie w jednym miejscu dopuścili zbrodni podobnych, nie jeden Przybytek Pański świętokradzko znieważyli, a na widok bagnetu padali na kolana błagając pardonu w imie przenaświętsze Jezusa i Maryi.

ROZDZIAŁ IV.

Wkrótce po bitwie pod Mentana wojsko nasze łącznie z francuzkiem weszło tryumfalnie do Rzymu przez Porta Pia, przyozdobioną w girlandy i chorągwie. Dzień był pogodny i pełny blasku. Mieszkańcy wysypali się rojem na spotkanie zwycięzców, na powitanie obrońców swoich. Cała przestrzeń od bramy do Watykanu kipiała ludem, ciskającym wieńce, kwiaty i rozlegającym się w okrzykach radości. Okna i balkony przybrano w kobierce kosztowne i festony. Każdy się cisnął żeby się zbliżyć do defilujących wojowników, okurzonych pyłem, osmalonych

prochem, w mundurach poprzeszywanych kulami. Ścisk był taki, że kolumny musiały się kilka razy zatrzymać. Z muzyką na czele i z rozwiniętymi sztandarami, wkroczyliśmy na koniec na plac Ś-go Piotra, gdzie nam, z okna Watykanu Ojciec święty błogosławił. Było coś upajającego, a razem uroczystego w tej wielkiej scenie ludowej, której huk dział zamku Ś-go Anioła, i odgłosy bijących dzwońców większego jeszcze uroku dodawały.

W kilka dni potem odbyło się po kościołach Rzymu, żałobne nabożeństwo za poległych. Najwspanialsze było u św. Jana Laterańskiego. W samym środku bazyliki urządzono gustowny katafalk olbrzymich rozmiarów, u stóp którego pomieszczono cztery kolosalne lwy, i także z każdej strony posągi, trzymające palmy i laury. Z wierzchu, św. Michał Archanioł dzierżył miecz ognisty, a na tarczy jego, świecił napis: *Quis ut Deus*. U stóp katafalku płonęły balsamiczne pochodnie w ogromnych świecznikach.

Po tej kampanji, tak pomyślnie i chwalebnie zakończonej, zaczęły się parady, festyny i rozdawanie medali i krzyżów, i jam wtedy otrzymał krzyż i awans. Następnie

przystąpiono do nowej organizacji armji, znacznie w ostatnim czasie powiększonej. Uzbromiono ją pośpiesznie w broń odtylcową Rammingtona. Powiększono artylerję i konnicę. Ufortyfikowano ważniejsze punkta strategiczne. Zmodyfikowano niektóre ewolucje frontu, i ogólnego manewru, stosownie do natury nowej palnej broni. A przytem nakazano częste ćwiczenia, marsze i strzelania do celu.

Oprócz tego, założono tak zwane K a s i n a, dla których zakupiono V i l l e z ogrodami, lub najęto gmachy z odpowiedniami salami. Każda z nich miała swoje specjalne przeznaczenie. W nich to mieściły się biblioteki, czytelnie dzienników różnych krajów. Była i katedra, z której wykładano przedmioty specjalne, dla tych co się chcieli douczyć, lub uprawiać to, co już umieli. Były nadto sale muzyczne, gdzie oprócz fortepjanów, miano wiele innych instrumentów. Sale bilardowe i grze dozwolonej poświęcone, stanowiły dopełnienie restauracji, tem różniącej się od zwyczajnych, że tam dawano potrawy i napoje za bezcen, a tytoń gratis. Papier listowy i koperty dawano także darmo. W tymże Kasino były sale fechtunku i gimnastyki,

gdzie się w chwilach wolnych żuawi zgromadzali. Takich zakładów mieli oni cztery, na utrzymanie których łożyli katolicy Francji, Belgji, Hollandji i Kanady. W każdym odwachu znajdowała się skrzynia z małą biblioteką, żeby żołnierz, kiedy nie stał pod bronią, miał zajęcie. Wysyłano także książki na prowincję do garnizonów, zakładano tam biblioteki i opatrywano je w dzienniki.

Pomimo, że tak pamiętano o żołnierzu, zataić nie mogę, że gdyby nie cel obrony Kościoła i Ojca świętego, niedługoby się tam chciało pozostać, a to z przyczyny nieznośnych upałów, podczas których bieganie po górach z tornistrą na plecach, (tym nieodstępny kolegą żuawa) nie mogło być, każdy przyzna, rzeczą przyjemną. Żadna służbowa funkcja (ćwiczenie, warta, parada) nie obeszła się dla żuawa bez tornistra pełno naładowanego. Na nim był zwinięty płaszczyk w części namiotowego płótna, wespół z pałeczkami i sznurkiem. Jeżeli wypadło stanąć obozem, nie upłynęło siedm minut, pole bielilo się już namiotami, porządnie w szyku ustawionymi, które tak szybko, jakby z ziemi wyrosły. Podczas jednego z naszych uciążliwych marszów

pod skwarnem niebem, zapytałem młodego księcia Toledy, Hiszpana zaledwie lat 17 mającego, czy bardzo mu ciężyła ładunek jaki dźwigał na sobie? Na to mi odpowiedział: „Ten co szedł na Kalwarię cięższe od mego niósł brzemie! zresztą jestem żuawem i już się ozwyczailem. Nie cięży mi przeto.“

Zacytuję tu, w rodzaju małej epizody, rozmowę jaką raz miałem z tym księciem Toledo. Zdarzyło się, że wpadł na ton narracji o strasznej wojnie, jaką najazd Napoleona na Hiszpanję wywołał.

— W liczbie wojsk Napoleona — mówił on — były i polskie pułki. Dziad mój i kilku innych grandów, uformowali z ochotników pierwszych rodzin hiszpańskich pułk jazdy, gwardji królewskiej. Przyszło do walnej bitwy. Pułk walczył mężnie, jak przystało na Hiszpanów, lecz szwadron polskich ułanów uderzył nań i rozbił kompletnie. Brat mego dziada padł lancą przeszyty. On sam otrzymał kilka ran. Moglibyśmy mieć żal do was Polaków, żeście nas najświetniejszych rodów pozbawili; a następnie kraj nasz wzięciem wąwozu Somo-Sierra, w ręce Francuzów wydali! Często odbywamy do tego sła-

wnego miejsca pielgrzymki, i wszyscy podziwialiśmy nadzwyczajną waleczność twoich rodaków!

Poczem zaczął opowiadać, obok idącym żuawom, o tym strasznym wężowozie i o jego zdobyciu. Gdy skończył, rzekł do tychże żuawów, Francuzów rodem.

— Żeby nie ci mężni Polacy, nie bylibyście w Madrycie.

Kiedym zaczął usprawiedliwiać rodaków moich, odpowiedział:

— Bądź pewny, że mamy najszczerze chęci dla was. Szanujemy Polaków za ich męstwo i wiarę. Wiemy i to, że ich okoliczności w tę wojnę wciągnęły, a wycofać się nie mogli.

Książę Rospigliosi, który maszerował przed nami, potwierdził te słowa. Miło mi było, że w nich tyle znalazłem wyrozumiałości szczerzej i rozsądnej, która czyniła zaszczyt ich rozumowi i sercu. ¹⁾

Ale wracam do zaniechanego przedmiotu. Najdotkliwiej dały się nam uczuć upały, kie-

¹⁾ Ten książę Toledo już jako podoficer i młodszy brat tego księcia Rospigliosi oficer artylerji mężnie się odznaczyli przy obronie Rzymu 20 września 1870.

dy staliśmy obozem przez kilka miesięcy na błoniach Annibala. Leżą one o mil dwaście od Rzymu na wysokiem wzniesieniu poza wierzchołkiem Monte-Cavi, w kraterze odwiecznego wulkanu. — Całą tę obszerną płaszczyznę, otaczają wyszczerbione zębem czasu i porośnięte lasem góry. Otóż tam, oprócz częstych ćwiczeń i rewij, odbywaliśmy udane boje i szturmy miejsc obranych dla tego rodzaju popisu, do których trzeba było podkradać się, pełzając przez urwiska i szczyty pod słońcem sypiącym iskrami, jak pod ognistym gradem. Mieliśmy wprawdzie dla ochrony głowy tak zwane kowerniuki z płótna białego, opadające aż do ramion, lecz te nie ochraniały ma się rozumieć ciała od skwaru, który bywał nieznośnym i wycieńczającym.

W wolnych chwilach mieliśmy także nasze dni uroczystości i zabawy. Sprowadzono dzienniki, bibliotekę. Urządzono sale fechtunku, w których mieliśmy rozmaite gry i teatra, na których byliśmy sami aktorami. Kostiumów nie brakło i to nawet dość kosztownych. Puszczano fajerwerki. Budowano eleganckie kioski w pewnej odległości od namiotów,

gdzieśmy się oświeżali chłodem. Lecz największą naszą uroczystością było przybycie Ojca świętego. Miał on zamiar dawno odwiedzić nas, — ale że miejsce kampamentu naszego było nader strome, i brakło doń drogi powozowej, nie mógł zamiaru swego uskutecznić. Wzięli się tedy żuawi nasi do dzieła. Widziano ich w wieczornych godzinach z łopatami i siekierami w ręku pracujących pod przewodnictwem biegłych inżynierów około drogi dla Ojca świętego. Zwozili materiały, łamali skały, zasypywali rozdoły ziemią i kamieniami. Gdzie się gład opierał, wysadzali go prochem. Miłość i poświęcenie były podniętą tego ruchu i tej działalności, które sprawiły, że w przeciągu miesiąca stanęła przepyszna droga, wygodna, szeroka, i o tyle łagodnie spadzista, o ile miejscowość górzysta pozwalała.

Dnia 8 Września w samą uroczystość Najświętszej Panny Maryi przybył do nas Ojciec święty. W oczekiwaniu tych gorąco pożądaných odwiedzin Jego, zrobione były stosowne przygotowania. Na błoniu przed obozem, wzniesiono w miejscu dotychczasowego ołtarza, olbrzymi ołtarz w kształcie

świątyni z kopułą w przecięciu. Obok stanął pyszny pałacyk, a przed nim tron obity zewnątrz i wewnątrz, ozdobnemi draperjami z aksamitu i materji z lamowaną frędzlą złotą. Przed namiotami posadzono rosłe drzewa z sąsiednich lasów sprowadzone. Także żuawi urządzili olbrzymią dekorację, symbolicznej treści do kolosalnych słupów przytwierdzoną. Wyobrażała ona Łódkę Piotrową, godło poetyczne papieztwa: szczegóły wszystkie tej dekoracji, z liścia, kory i długiej trawy były prześlicznie przez żuawów wykonane. Po stonach powiewało na wysokich żerdziach oplecionych zielenią i kwiaty, tysiące chorągwi, barwy białej i złocistej, połączonych festonami z liści.

Pułk stanął pod bronią w szyku bojowym. Obok baterja artylerji i bataljon strzelców, należące do naszej brygady. Dalej pułk dragonów. Dzień był piękny, lekkim powiewem wiaterka ożywiony. Dziwną jakąś uroczystością tchnęły przestrzenie. Świąteczne blaski pływały w powietrzu. Kilka tysięcy wojska stało pod bronią; tłumy widzów z miast okolicznych, ze wsi i z samego Rzymu, zalegały plac obszerny, a przecież taka panowała

cichość, że śpiew ptasząt w przyległych laskach wybitnie słyszeć się dawał. Rżenie koni lub tentent galopującego z rozkazem adjutanta, przerywały milczenie.

Wszystkich oczy były zwrócone na drogę — wszyscy byli radzi ujrzeć czempredzej tego, co tak dostojnie spełniał święty mandat Namiestnika Chrystusowego. Wkrótce ukazała się przednia straż konna, a w pewnej odległości za nią otoczony eskortą szlacheckiej gwardyi, toczył się powóz Ojca świętego.

Na dany znak zagrały muzyki pułkowe, odezwały się sygnałowe trąbki i zaczęto bić z dział. Lud padł na kolana. Wojsko prezentując broń, przykłękło na jedno kolano w chwili zbliżenia się Ojca świętego, który cały w bieli, jakby w szacie niewinności Eljacima, z niebiańskim wyrazem twarzy, wojsku i ludowi błogosławił. Piękny zaiste i uroczysty był obraz tej ceremonji. Te promienie słońca; w połyskach broni gorejące, w dymach armatniej salwy na tysiączne barwy i odcienia rozstrzelone; ten tłum ludu, czci i miłości porywem natchniony, ta nakoniec wspaniała postać Ojca Świętego, jakby w powietrzu unosząca się; wszystko to pobudzało ducha do

wrażień uroczystych i wyobraźnię do lotu nęciło. Mimowolnie ujrzałem się w obec wielkiej sceny Sądu ostatniego, kiedy ogłosiwszy wyrok swój, Pan zastępów będzie się unosił ku niebu, w orszaku dusz wybranych, przy śpiewie chorów anielskich i rozgłosnej symfonji piorunów!

Skoro się powóz zatrzymał przed pałacem, Ojciec Święty wysiadł, wszedł do wnętrza, i wkrótce potem udał się do ołtarza, gdzie wdziawszy szaty uroczyste, zaczął przenaświętą ofiarę. Głęboka cichość zaległa przestrzeń. Duchy się skupiały w modlitwie, i unosiły ku niebu. I pewny jestem, że oko Stwórcy łaskawie wtedy patrzyło z wysoka na wierny lud swój jednoczący swe korne modły, z błaganiem Namiestnika Jego na ziemi.

Podczas podniesienia odezwały się muzyki i uderzyły działa. Czoła tłumów klęczących, pochyliły się gdyby kłosa wiatrem powiane. Po skończonej mszy świętej, Papież zasiadł na wysokim tronie pod baldachimem. Obok zajęli miejsca kardynałowie i biskupi—niżej na obszernych stopniach po obu stronach posłowie zagraniczni i dostojni goście, którym dozwolono przystąpić do ucałowania

nóg Ojca Świętego. Wyżsi oficerowie także się tam znajdowali.

Ojciec Święty był jak zwykle w dobrym humorze, lecz gdy mistrz ceremonji Mgr. Paccia, podszedł do tronu i doniósł o prośbie Polaków być dopuszczonymi do ucałowania nóg, ¹⁾ posmutniał widocznie, powstał, obrócił się ku obecnym, i wskazując zbliżających się, przemówił:

— Oto Polska płacząca i chodząca w żałobie! Chodźcie! chodźcie! najukochańsi Polacy! podobniście do pielgrzymów — o! bo zaprawdę jesteście nimi teraz!

Poczem rozmawiał jeszcze długo, pocieszał, w końcu pobłogosławił. Wszyscy przytomni byli wzruszeni. Co do panów posłów zagranicznych ciekawym, co sobie pomyśleli?

Skoro Papież udzielił benedykcji przytomnym i wojsku zaczęto defiladę. Żuawi popisywali się właściwym sobie manewrem; a gdy skończyli, Ojciec święty wszedł do pałacyku żeby cokolwiek odpocząć. Po upływie

¹⁾ Postrzegłem w tej chwili przewielebnego księdza Semeneńkę, stąpającego ku wzniesieniu z uczniami Collegium polskiego.

godziny odjechał, rozkazawszy rozdać nam po pół buteleczki wybornego wina i po porcji lodów, które sprowadzeni z Rzymu cukiernicy przyrzadzili.

Żałowaliśmy bardzo, że Papież do wieczora nie został. Przygotowaliśmy rześistą iluminację, ognie sztuczne, i tak nazwane żywe gwiazdy, których efekt był prześliczny i wielce oryginalny. Czterystu żuawów zbiegło w dolinę, mających kolorowe latarnie zatknięte na pałeczkach do luf karabinowych. Ciemność skrywała ludzi, latarnie tylko świeciły i biegały w rozmaitych kierunkach tworząc kręgi, koncentryczne gwiazdy wirujące odwrotnie, bukiety, girlandy, w końcu cyfrę Papieża z napisem:

Niech żyje Pius IX-ty!

Mówiąc o zabawach obozowych, wspomnę i o pięknych wyścigach, w których brali udział pierwsi obywatele Rzymu. Konie były doborowe i stroje prześliczne. Głównymi aktorami gonitw byli niektórzy nasi oficerowie, oficerowie artylerji i dragonów. Goście zasiedli na galerjach umyślnie na ten cel urządzonych, a damy rzymskie rozdawały nagrody. Z pierwszych były dwa srebrne puchary wysadzane

koralami, oraz dwie chorągiewki z napisami bogato złotem haftowane.

Meta była trzy mile włoskie w okół. Pierwszą nagrodę otrzymał nasz oficer pan de Franquinet, drugą książę Borghese. Poetyczna chwila gonitw, świetnie się zakończyła; nadeszła chwila komicznej parodji, śmiechem ogólnym powitana. Chcę tu mówić o wyścigach na mułach i osłach. Wszyscy się trzymali za boki, na widok śmiesznych usilności i kontorsji jeźdźców, naglących nadaremnie ociężałość i upor leniwy swoich flegmatycznych bachmatów. Pierwszy, zaledwie się oparł po 37 minutach o metę — ostatni dowlókl się dopiero po godzinie. Reszta, dała zupełnie za wygranę. Wyścigi piesze po dwa plutony na raz, były bardzo zajmujące. Pyrotechniczne ognie i polot kilkunastu balonów z napisem: Z obozu Annibala, zakończyły ów dzień uroczysty. Późno już było kiedy się goście nasi rozjechali.

Wkrótce potem zatrąbiono apel. Ruch ustał — gwary ucichły stopniowo — straż tylko czuwająca wołała jak zwykle lub ront zwiedzający placówki migał zdala w cieniach nocy światłem z latarki.

Nazajutrz znowu służba zwyczajna i manewra.

Polacy zostający w służbie w żuawach, prowadzili się wzorowo; jakoż wszyscy byli nagrodzeni rangą. Z różnych pochodzili oni dzielnic Polski. Z Poznańskiego mieliśmy kilku. Hrabia Witold Stablewski umarł z febrą. Pochowaliśmy go paradnie w kościele Sopra Minerva. Później stanął tam wspinały pomnik z popiersiem jego w stroju żuawów, naprzeciw grobowca generała Szymonowskiego. Hrabia Edward Raczyński także poznańczyk, został ranny tak nie szczęśliwie pod Mentaną, że pomimo usilności najbieglejszych lekarzy, rana nie chciała się zagoić.

Ferdynand Morawski, były oficer gwardji rosyjskiej, powstaniec z 1863 roku, a następnie żuaw papieski, później dragon zachwycał wszystkich słodyczą charakteru, nieustraszoną walecznością i postawą istnie rycerską. Skutkiem powyższych przymiotów stał się on przedmiotem szacunku nie tylko kolegów lecz i starszyzny. Podczas wojny prusko-francuzkiej, zostawał w sztabie generała de

Charette, wodza żuawów papierzkich we Francji.

Między innymi był także Józef Sokółowski dzielny litwin i Władysław Kraciewicz miły nadzyczaj młodzieniec. Podziwiałem jego krew zimną podczas szturmu Rzymu przez Pjemontczyków.

Władysław de Dombrowa Garwanowicz, ¹⁾ tamże się odznaczył. Wdzierał się, gdzie najczęściej pocisków armatnich padało, żartując z niebezpieczeństwa i zachowując taki pokój, jak podczas musztry. Dostawało się też od niego kanonierom nieprzyjacielskim; sprzątał ich jak plewę! Raniony w rękę skorupą granatu, nie zaniechał boju, lecz zawiązawszy naprędce ranę chustką, znowu się puścił w ogień. A był tam ogień nie lada, bo na tak małej przestrzeni jak między Porta Pia i Porta Salara, biły w nas pociski piemontskiej baterji z 68 dział złożonej.

¹⁾ Spotkałem go w przejeździe przez Galicję; on opowiadał mi w rzewnych wyrazach jak napróżno szukał pracy u tych, u których zdawało się, iż powinien być znaleźć, i dodał: „dziś mam kawałek chleba, znalazłem pracę zdała od kraju u pewnego Niemca liberała tak zwanego przez niejednych, lecz lepiej może pojmującego naukę kościoła świętego; „po czynach ich, poznać ich,“ powiedział kiedyś Pan Jezus.“

Kapitan Juliusz Bongers właściciel dóbr w Poznańskim i w Galicji, przybył do Rzymu przed włoską wojną 1859 roku i wstąpił jako prosty żołnierz do wojska papieżkiego. W bitwie pod Castel-Fidardo i Ancona tak się odznaczył, że go wódz naczelny generał Lamoriciere awansował na oficera ¹⁾. Gdy część armji papieżkiej została rozpuszczoną, kapitan Juliusz Bongers sformował kilkutysięczny legion, którego jeden batalion uzbroił w kosy. Sam dzielny, na czele dzielnych rozpoczął na swoją rękę partyzantkę przeciw Pjemontczykom, i takie im zadawał ciosy, że aż go wojsko francuzkie ścigać zaczęło. Żal mi bardzo, że nie mogę sobie przypomnieć nazwisk miejsc gdzie się potykał, i często zwyciężał. Pewnej nocy napadł na dywizję pjemontską co stała w miasteczku, i dawszy kilka razy ognia z małych wiwatówek, naskoczył takim polotem, że nieprzy-

¹⁾ Po tejtó dopiero kampanii zaczęto formować armie regularne według instrukcji generała Lamoriciere'a, nad którą następnie pracował de Merode, a potem generał pro-Minister Armji Kanzler, dlatego to tak wiele wymagano od ochotników, tak Rzymian, jakoteż i zagranicznych, chcących wstąpić w szeregi tejtó armji.

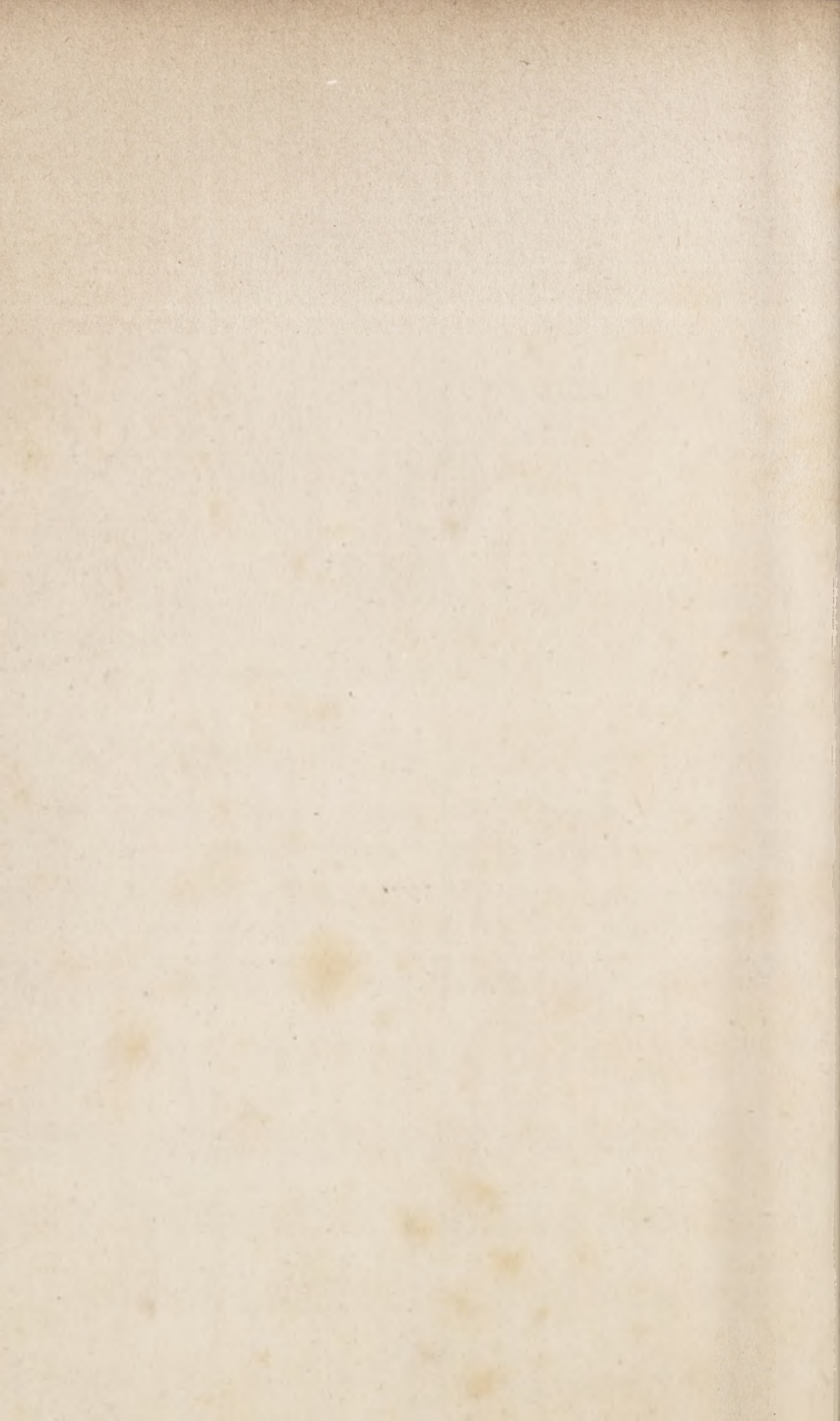
jaciel zostawiwszy rekwizyta wojenne i wiele broni, uszedł w największym nieporządku, ścigany przez męznego zwycięzcę.

Ten dzielny bój kapitana Juliusza Bongersa do tyła rozdrażnił rząd piemontski i francuzki, że wysłano noty do kardynała Antonellego. Odpowiedź jego była téj treści, że nie miał żadnej mocy dawać rozkazów temu, co nie zostaje pod rządem rzymskim. Napisał jednak do p. J. B. wzywając go do zaniechania swéj partyzantki dla miłości Ojca Świętego. Na tak poważne hasło, zaprzestał mężny Polak niepokoić Pjemontczyków, i rozpuścił swoich mołojców. Broń wszakże zostawił przy sobie. W parę lat później sprowadził ją do Rzymu. Kosy, jako ciekawość, złożono w arsenale. Jedną z nich, kazał de Merode pokazać papieżowi. Gdy ją obaczył, rzekł Ojciec Święty.

— Co za straszna broń! A któż byłby zdolny nią władać?

— Tacy żołnierze! odpowiedział pro-Minister Armji, wskazując na Juliusza Bongers, który się tam znajdował.

Rzeczywiście był on olbrzymiego wzrostu i rycerskiej postawy, przytem Polak jakich mało. W pułku lubiono go bardzo. U Ojca Świętego miał wielkie zachowanie.



ROZDZIAŁ V.

Oprócz zwykłych ćwiczeń wojskowych, kiedyśmy stali garnizonem po wsiach i miasteczkach, zdarzało nam się często odbywać wyprawy przeciw bandytom, którzy naparci przez Pjemontczyków, przekraczali całemi bandami granicę. Sami ochotnicy brali zwykle udział w tego rodzaju wojnie.

Najwięcej podsycali szeregi rozbójniczych band Neapolitańczycy i zbiegi wojsk pjemontskich. Sama natura kraju górzysta, w miejscach wielu niedostępna, sprzyjała im. Siły tych band dochodziły od kilkudziesięciu do

kilkuset ludzi, pomiędzy którymi bywali nawet często ludzie wykształceni, z wielkim światem obeznani. Straciwszy majątek, posiadłość, lub zawiniwszy w obec prawa, zbiegali do band, z którymi obdzierając pospołu mieszkańców i podróżnych, zdobywali znaczne sumy i uchodzili potem za granice państwa, żeby znowu na innem polu nowego próbować szczęścia.

Dla niższych klas ludu bandyta był osobistością pełną poetycznego uroku. Przygody jakich doświadczał, niebezpieczeństwa na jakie się wystawiał, działały silnie na ognistą wyobraźnię ludu, dla którego awanturniczość bandyty opromieniała się aureolą bohaterstwa i legendowej sławy. Nic zatem dziwnego, że lud nie widzi w bandycie prostego zbrodniarza i że nazwiska sławniejszych stały się tak popularnemi, że nie ma wieśniaka, kobiety, ba nawet dziecka, któreby nie znało dokładnie miejsce wypraw i bitew, w których się odznaczyli. Bandyci też ze swojej strony żyli z biednym ludem gór w najlepszych stosunkach. Wiedząc, że się rabunkiem niebardzo wzbogacą a tylko ich od siebie odstręczą,

płacili im hojnie za żywność i za wszelką okazaną usługę.

Ztąd też to pochodziła ta wielka trudność, jakiej doświadczyliśmy w odszukaniu ukrywających się band rozbójniczych.

Jeżeli się udało bandytom ująć podróznego obywatela, kupca, urzędnika lub cudzoziemca, starali się naprzód dowiedzieć o jego stanowisku i majątku, i stosownie do tego naznaczali wykup. Gdy cyfra onego była już oznaczoną, zmuszali jeńca swego napisać list do rodziny albo znajomych z uwiadomieniem o swej niewoli i z tym dodatkiem, że jeżeli pewna suma (w srebrze lub złocie) nie będzie przysłaną w tym a tym terminie, na to a na to miejsce, lub jeżeliby wojska były o tem zawiadomione, — piszący zginie; po złożeniu zaś wykupu będzie wolny.

Podobne wypadki zdarzały się najczęściej w neapolitańskim, gdyż w państwie kościelnem, gdzie bandytów ścigano energicznie, niełatwo im było broić tak swobodnie. Skutkiem sprężystości rządu papieżkiego, całe państwo było już wolne od tej plagi przy schyłku 1868 roku.

Przytoczę jeden wypadek z roku 1866 nad granicą neapolitańską, w okolicy miasteczka Folentino. Bandyci napadli jadącego obywatela Cavalero Pecci, od którego powyższym sposobem żądali 30,000 lirów złotem, i zakwaterowawszy się w pobliskiej Villi, czekali okupu, grożąc, że jeżeli się pokaże choć jeden żołnierz, to utną głowę zakładnikowi. Obywatel ten był z Folentino; termin nazaczyli krótki; nieszczęśliwa rodzina zaledwie zdołała zebrać około 3,000 lirów w złocie, a 6,000 w srebrze. Bandyci wzięli złoto, a srebro zwrócili, pogroziwszy, że jeżeli nazajutrz rano choć 18,000 nie otrzymają, zakładnik życiem przyplaci.

Nie przewidzieli, że wielu z nich nie doczeka jutra. Tejże bowiem nocy pół kompanji żuawów z Colobardo otoczyło ich, uprzętnawszy poprzednio bandyckie straże, i zaatakowało tak nagle w samym wnętrzu pałacyku że rozbójnicy nie mieli czasu zamordować zakładnika zamkniętego w jednym z dolnych pokoi. Bronili się zawzięcie, lecz gdy kilkunastu ich padło, poddali się.

Było ich 36. Wziętych bandytów odesłano pod eskortą do Frossinone; Signor

Cavalero Pecci wrócony został w zupełnem zdrowiu swojej rodzinie, która ze łzami radości dziękowała za ocalenie ojca i męża od niechybnej śmierci, i wraz z mieszkańcami Folentino odprowadziła żuawów daleko za miasto.

We Velletri 1868 r. dano znać żuawom, że w sąsiednich lasach ukrywają się bandyci. Kompania żuawów i sześciu żandarmów, wyruszyli natychmiast ku wskazanemu miejscu. O półgodziny za miastem, spotkali wieśniaka prowadzącego kilka mułów ładownych baryłkami wina, chlebem i rozmaitemi wędlinami. Zmierał do lasu. Żandarmi wstrzymali go i pytali surowo, skądby był? komuby wiózł żywność? i dokąd? Zmieszał się wieśniak, chciał coś powiedzieć, ale go przytomność zawiodła. Jeden z żandarmów, zmierzyszy go ostro oczyma, rzekł doń groźnie:

— Wiemy dobrze, że te prowizje wiesz dla bandytów! jeżeli wyznasz gdzie są i zaprowadzisz nas w to miejsce, otrzymasz przebaczenie.

W ten sposób zachęcony wieśniak odpowiedział drżącym głosem:

— Panowie! Jestem biednym ojcem familji i mieszkam ot tam, na pochyłości góry. Dzisiejszej nocy wpadło do mnie kilku bandytów, i dawszy pieniądze, kazali jechać do miasta po żywność. Gdzie źródło wytryska ze skały w lesie, tam ją miałem przywieść. Za tę usługę obiecali mi znaczną nagrodę. W razie nieposłuszeństwa lub zdrady, zagrozili śmiercią nam wszystkim.

Wysłuchawszy tego zeznania, kapitan komenderujący żuawami, wysłał natychmiast z owymi mułami kilkunastu swoich do chaty wieśniaka, dla ochrony jego rodziny, którą uciekający bandyci mogliby zamordować. — Z resztą kompanji, wzięwszy wieśniaka za przewodnika, posunął się ku lasowi, podzieliwszy wprzód swój oddział na pomniejsze oddziały, żeby jednocześnie z kilku stron zaatakować.

Zaraz na wstępie do lasu, żuawi rozsykali się w tyraljery, przesuając się pełzkiem między drzewa i krzewy z największą ostrożnością.

Zbliżając się tym sposobem usłyszeli nagle cichy brzęk gitary — potem śpiewy i śmiechy.

To spoczywała banda rozbójników i tak nieostrożnie, że żadnych czatów nie rozstawiła.

Żuawi zastali bandytów płasających wesoło na małej łące wśród lasu u źródła. Broń ich i torbeczki leżały na środku łączki. Była to banda nowo uformowana w neapolitańskim. Lud piękny, w świeżych i pięknych strojach, prześlicznie się w lekkim i zwinnym tańcu prezentował.

Na dane hasło, zagrzmiały karabiny żuawów. Dziko krzyknęli bandyci i pochwyciwszy broń swoją, zaczęli odstrzeliwać się.

W tem odezwała się trąbka. Pchnęli się naprzód żuawi na bagnety. Bandyci zaczęli uchodzić w głąb lasu, lecz tam spotkała ich część żuawów, która ich gorąco przywitała.

Jeden żuaw, Holender rodem, lat 18 mający, stał na stanowisku. W tem widzi kolosalnej postawy bandytę, biegnącego ku sobie. On uchodził przed pogonią żuawów, do których oglądając się wołał:

— Wodza bandytów nie zabijecie!

Gdy spojrział nagle przed siebie, oczy jego spoczęły na Holendrze żuawie, który stał na małą metę przed nim, z wymierzonym sztucem. Bandyta zmieszany sięgnął kon-

wulsynie po swój rewolwer wiszący na sznurku z ramienia, lecz strzelić nie uspiął. Kula przeszła mu serce ¹⁾).

Wielu bandytów poległo; część znaczną wzięto w niewolę; reszta umknęła ku granicy.

Broń i sumnę około 60,000 lirów, znalezioną przy poległych odesłano do Sądu.

Często w chwilach wolnych, lubiłem błądzić pośród ruin, których tak wiele w Rzymie. Ile tam płonu dla myśli, nauki dla ducha, a dla serca natchnienia! Wszędzie ślady kultury, znamiona potęgi i dumy — i wszędzie świadectwo znikomości dzieł człowieka! Te krużganki, sklepienia, kurytarze cieniste, sale i komnaty pałaców Cezara, o których progi uderzały hołdownie czoła królów zwyciężonych — puste ruiny i nieme — niedawno z mogiły zapomnienia odkopane! Wobec Przeszłości co tam usnęła na wieki, uroczyście i tęskno Terazniejszość marzy. Ludzie co w tych gmachach tytańskich błądzą, czują się nadto drobnymi wobec nich, i dziwią się, jak mogło upaść, co takie

¹⁾ Gdy później sprzątano trupów, zauważano, że kula została mu w miejscu gdzie serce, otwór, z którego nie wyszła ani kropla krwi.

mocne? jak mogło być zapomniane, co takie wspaniałe. Rzeczywiście, wszystko podziwia i zachwyca w tej olbrzymiej ruinie. Są w niej części tak dobrze zachowane, jakby je wczoraj skończono. Mozajki pawimentu wewnętrznego precudne. Freski na ścianach wyobrażające sceny z mytologii greckiej, zachowały dotąd świeżość kolorytu i zadziwiają delikatnością pędzla, który je kreślił niegdyś. Gdyby nie to, że w niektórych miejscach mur strzaskany i łuki sklepień nadwyreżone, i że zewsząd wieje odległą starożytnością — myślećby można prawdziwie, że te pawimenta tylko co położono — freski te wczoraj malowano. Główne przeznaczenie sal i komnat niektórych pałacu Cezarów i dziś się odgadnąć daje. Widać, gdzie były biblioteki, akademie, gdzie się Senat zbierał i są tam jeszcze szczątki wzniesienia, na którym zasiadał. Pokazują postument, co dźwigał ów posąg Pompejusza, u stóp którego padł Cezar pod nożem Brutusa. Co krok ślady zdarzeń wielkich, ludzi wielkich, lub cnót rozgłośnych i zbrodni! Tu wieża, w której uwięziony Seneka smutne liczył godziny, — ówdzie obszerne kordegardy legionów, szczątki

łażni wspaniałych, cyrki, nieraz krwią ludzką zbroczone, świątynie świetne przed tysiącami lat przepychem obrzędów, których tradycje tylko pozostały. Tam sterczą, gdyby pomniki Przeszłości, poważne bryły marmurowych kolumn, i leżą sklepień odłamy z pozostałymi freski; ówdzie sady nadpowietrzne, terrasy, tysiące szczątków wielkości, tysiące pamiątek sławy! Z wysokości tych sadów i terrasów, co za przecudny widok Kampanji Rzymskiej! W jakiej się tam zadumie jestestwo człowieka pograża! Tam to bywało, w rodaków gronie rozmawiamy o kraju naszym tęskną miłością sercu przypominającym się; śpiewamy pieśni rodzinne, lub deklamujemy wiersze. Patrząc na ruiny, myślimy z boleścią i o naszej ojczyściej ruinie — i powtarzamy z poetą:

Patrz! wokół ciebie na rzymskiej równinie
Cóż zostało z Dumy?..

Pośród pustyni, mętny Tyber płynie
Wokoło zwalisk rummy.

I tu chadzały w purpurze i złocie
Niesprawiedliwości,
A dziś ich świątyń marmury śpią w błocie,
Nad prochem ich kości.

I tu mawiali: wytracim narody,
 Roma, jedna będzie!
 Patrz! po ich cyrkach, jak pasą się trzody,
 I bluszcz pelza wszędzie!

A tchnęli jednak, tą siłą bez granic
 Co światu przykładem.
 Ale przypadli, bo struli się na nic
 Własnych zbrodni jadem!

Patrząc na to precudne niebo Italji, któ-
 rem Bóg przykrył, gdyby kopułą promienną,
 deńską naturę tej krainy, powtarzałem nieraz
 następne strofy.

Ile razy myśl moja w grono wasze leci
 I goni, miłe duszy przeszłości obrazy,
 Wzdycha ona do chłodnych, ojczystych zamieci
 Po których tęskni biedna! tęskni nad wyrazy!

Mróz u nas ścina ziemię — ale serce w wiosnie —
 U nas, mgła często niebo zachmurzone trzyma;
 Ale serc lazur jasny, lśni sercu radośnie.
 Tu słońce skwarem pali — ale w sercach zima.

Gdy o kraju przemówię, nikt mię nie rozumie,
 Gdy westchnę, jakież łono westchnienie powtórzy?
 Sam jeden krążę w obcym, obojętnym tłumie,
 Jak listek, co wdal świata uniósł powiew burzy!

Sam jeden, między tylu! wicherzę się po świecie—
 W chwili skonu, dłoń obca powiekę mą stuli!
 Ach! bracia! czem kraj własny jeżeli nie czujecie
 Opuśćcie go na chwilę — a będziecie czuli!

Kiedym te strofy rodakom moim deklamował, rzewnie odzywała się w ich sercach ta nieprzewyciężona tęsknota po ziemi rodzinnej, którą ten tylko pojmuje, co żył go-ryczą tułactwa.

O! bo w pamiętce rodzinnego gniazda
 Jest czar wszechmocny, słowem nieobjęty!
 W niej się promieni, błogich uczuć gwiazda,
 Szlachetnych natchnień, gore płomień święty!
 Spytaj wygnańca, co pod obce nieba
 Przeniósł niechętnie swą duszę znękaną;
 Czy jemu skarbów, czy zaszczytów trzeba?..
 Nie! trzeba ujrzeć ojczyznę kochaną!
 Bo tam najpierwsza piosenka dziecinna,
 Uśmiech najpierwszy młodocianej duszy,
 Najpierwsza miłość, jasna i niewinna,
 I łza najpierwsza serdecznych katuszy!
 Tam każdy listek, kwiat każdej dąbrowy
 Wonnemi usty zefirów pieszczony,
 Strumyk mruczący uprzejmemi słowy
 I świeża łąka i gajk zielony,
 I te, nad inne nieba, słodsze niebo
 Krainy przodków, chylące się z góry
 Promienistemi. dokoła lazury.

Wszystko tam, wszystko nęci zmysły, ducha
I czarownego ogniwy łańcucha
Krępuje błogo, wiąże wdzięki swemi,
Pociąga serce ku rodzinnej ziemi.

Ale wracam do zaniechanego przedmiotu.

Tuż obok rumowisk pałacu Cezarów, stoi Koliseum, istny kolos, któremu żaden z cyrków starożytnej Romy wspaniałością nie wyrównał. W czasie wolnym od służby lubiłem zwiedzać to miejsce samotnie, w noc miesięczną zwłaszcza, kiedy wyobraźnia nadaje ruinie potężniejsze rozmiary i moralne jej znaczenie podnosi. Nieraz mię ranek pośród tych zwalisk olbrzymich zastawał. Lotnie przebiegały noce dla mnie, bo cóż znaczy drobna miara godziny wobec takiego przetworu wieków jak ta, w której szybowałem myślą, nie śladem ziemskich mar szczęścia, nie śladem czczych fantazji poezyi, ale torem rzewnych i uroczystych wspomnień pierwotnej doby chrześcijańskiego świata, co tak duchem sięgał wysoko, tak wiarą gorącą promienił! On stał przedemną — stał, ponurym olbrzymem, złowrogim upiorem Przeszłości, ów gmach pamiętny, tylu zdarzeń świadek, tylu scen krwawych uczestnik! Ze drżeniem

zgrozy patrzałem na owe łuki, filary, galerje, bramy powojem osnute, krzewami zarosłe— na owe tytańskie odłamy ścian obryzganych krwią ofiar pogańskiego fanatyzmu, krwią pierwszych wyznawców Chrystusa, co tu śmiercią męczeńską umierali. I lud poklaskiwał ich śmierci! ryczał gdyby lew rozjuszony, patrząc jak dzikie potwory szarpały ich członki drgające — i krew ich świętą chleptały. I to były igrzyska Romy! i to były zabawy jej Cezarów, mężów stanu, kapłanów, wodzów, mędrców i filozofów! Wszędzie im krwi trzeba było! a jeśli nie samej krwi, to choć jej barwy, żeby wielki naród nie zapominał, że posłannictwem jego, wojna! nie innego, krom wojny, rozgromu, niewoli i spustoszenia! Tyr i Sidon nie mogły mu nastarczyć czerwieni. Płaszcze Cezarów, togi senatorów, nawet zasłony cyrków od skwarów słońca broniące, świeciły złowrogą purpurą, jakby straszliwym odbłyskiem krwi ujarzmionego świata, którą miecz Romy wytoczył!

W ogromie zwalisk Koliseum spoczęły ogromy czasów i pamiątek. Z atomów rozpierchłych ruiny wyobraźnia moja odtwarzała całkowite kształty Przeszłości, co po tych

głazach stapała — wywoływała polingenezę tłumów, co na tych galerjach zasiadały — i powstawały one z nicości swojej surowe, dumne, nieubłagane! I zalegały gwarnie ławy, gradusy, galerje, wołając dziko: „*Panem et Circenses!*“ Chleba i igrzysk! Co znaczyło: krwi! męki! śmierci niewinnych! I Cezar zasiadał na tronie w purpurze — i kapłani stawali w bieli u tronu — i wonnym dymem płonęły kadzidła — i tysiączne polyski złota, srebra, drogich kamieni spadały na tła jaskrawe barw rozlicznych tłumu, pancerzy stalowych rycerstwa i dzid żelaznych żołnierzy.

I gdzie się to wszystko podziało?

Gdzie się gwar tysięcy rozlegał, gdzie się ptactwo odzywa! Gdzie świeciły senatorskie purpury, togi patrycjuszów i złociste wieńce wodzów zwyciężkich, czołga się płaz nieczysty i gadzina żądłem zatrutem uderza! Gdzie w czerwieni majestatu zasiadały Cezary na tronie w aureoli potęgi i sławy, dziś samotność, milczenie, gruzy, pyły, nicość. Krew męczenników wywołała piorun Boskiej kary na tych, co ją przelewali. Runęła Roma pogańska! runęły jej świątynie, pałace, po-

mniki, cyrki! Runął cały Olymp z tysiącem bóstw swoich i w proch się rozsypał i w czczości się ulotnił! A na scenie tego olbrzymiego rozgromu stanął Rzym, zwycięzca Romy, Słowem Bożem potężny, błogosławieństwem Bożem promienny, nauką Chrystusa Święty!

Prawda zdeptała Błąd — Miłosierdzie przemogło nad Barbarzyństwem.

Kiedy mi się zdarzało stać garnizonem na wsi, nie było wolnej chwili, którejbym samotnej przechadzce nie poświęcał. Najulubieńszym celem onej były góry, ze szczytu których o zachodniej godzinie zwłaszcza, tak się pięknie i malowniczo przedstawiało morze. Są chwile w naturze, których żadna mowa określić nie zdoła. Jakież bowiem słowa potrafią oddać tę dziwną grę światła i cienia; tę przejrzystość barw perspektywy; tę cudną harmonią ogólnego kolorytu, morza, skał, jarów, powietrza, nieba; nieba Italji zwłaszcza, najpiękniejszej krainy świata!

A jednak najdzikszy kątek ojczyzny byłby miłszym dla mnie! Ilem razy pomyślał o niej, doznawałem nieprzezwyčajonego smutku. Stroniłem od ludzi — od towarzyszy nawet — lecz oni mi tego nie brali za złe —

bo pojmowali, że byli szczęśliwsi odemnie, mając ojczyznę wolną, silną, poważaną, kiedy ja byłem tułaczem tylko, synem nieszczęsnej, ujarzmionej, rozszarpanej ojczyzny!

Wiele tu wszędzie śladów narodowości naszej. Każde niemal miasteczko przypominało Legjony Polskie, co przy końcu zeszłego stulecia, wespół z Francuzami, przeciw Neapolitańczykom pod K n i a z i e w i c z e m walczyły. I gdzież nie walczyli Polacy! Wszędzie przelewali krew swoją — i pod pięknym niebem Italji i w dzikich wąwozach skwarnej Hiszpanji i w rozpalonych piaskach Afryki, i w lodach Północy i w Ameryce! Łatwo-wierni jak dzieci, mężni jak lwy, nieśli oni na s ł a w o o b c e swój oręż szlachetny, w nadziei, że nim pod obcem niebem ojczyznę swoją wywalczą. I cóż? — męztwo, wierność, ofiara — nic nie pomogło! Nie postąpiliśmy ani na jeden krok — bośmy na pomoc ludzką liczyli — a Boskiej pomocy nie wzywali — o Bogu zapomieli!

Powiedziałem już, że wiele tu pozostało śladów polskiego tułactwa i męztwa. Trzechset Polaków pod K n i a z i e w i c z e m zdobyło szturmem Mogliano, obronne miasteczko

w pobliżu Civita Castellana, mające garnizon 5,000 Neapolitańczyków — a co większa, na stromej skale, prawie niedostępnej, położone.

Na nizinach sąsiednich miasta Forrentino zwyciężyli Polacy przewyższające siły nieprzyjaciela; a pomiędzy Terracina i Fondi zmusili 40,000 Neapolitańczyków do rejtenty, która się w szybką ucieczkę ku Gaecie zamieniła. Wtedy to generał Kniaziewicz pogonił z kilką szwadronami za nieprzyjacielem, a widząc z pobliskiego wzgórza, że się nie zatrzymuje w ufortyfikowanej Gaecie, i spieszy na okręta stojące w porcie, posyła adjutanta z wezwaniem, żeby się ci, którzy jeszcze nie odpłynęli natychmiast poddali. Tegoż dnia zajął Kniaziewicz miasto Gaetę.

Wolne chwile od służby poświęcałem zwiedzaniu tych miejsc pamiętnych i sercu polskiemu drogich. Wszędzie tam lała się krew polska, dzwonił oręż polski i wiarus polski wawrzyny zdobywał. Zgiełk, wrzawę i łaskoty bojów tych, słyszały sąsiednie góry, odbijały echa. Traf zrządził, że błądząc w tych górach, spotkałem kilku starców, co

polских żołnierzy jeszcze pamiętali. O! z jakim zajęciem, z jakim uniesieniem słuchałem ich opowiadania! Prawda, że ci ludzie niewiele mię objaśnić mogli, bo sami byli wtedy młodymi jeszcze chłopakami; opisali jednak dokładnie strój polskiego żołnierza i ukazali miejsce gdzie się bili, gdzie biwakowali; powtarzając zawsze, że to byli żołnierze bardzo piękni, wspaniali, pobożni, waleczni niesłychanie; i dziwili się, dlaczego tak bitny żołnierz dozwolił zginąć własnej ojczyźnie i przyszedł walczyć przeciwko nim, którzy również byli przez Francuzów ujarzmieni.

Gdzie natrafiłem na ślad przejścia polskiego wojska, wszędzie szukałem jakiegokolwiek po niem pamiętki. Niewiele wprawdzie miałem ja nadziei, bo tyle lat od tej pory ubiegło, a czas niszczy wszystko i zaciera. Udało się mi jednak odkryć jedną pamiętkę. Był to napis wyryty w kamiennej kapliczce stojącej u samej drożynki w Tresulti pośród najwyższych i najdzikszych gór neapolitańskiej granicy, gdzie znajduje się pustelnia Kartuzów. Ów napis był już bardzo zatarty; wyczytałem tylko:

ANTONIOWSKI

1798.

łzy wzruszenia trysnęły mi z oczu. W tych dzikich bezdrożach, gdzie skał odłamy przejście tamują, gdzie się góral zuchwał ledwie przesunąć zdoła, on, polski wiarus, z nad Wisły lub Niemna, przełamał przeszkody, dotarł do tego miejsca prawie niedostępnego i wyrył swe nazwisko z myślą zapewne, że kiedyś rodak przeczyta i modlitwę odmówi. Pomodliłem się za jego duszę i wyryłem u spodu swoje nazwisko. Dla miłości ojczyzny, on walczył pod chorągwiami Francji przeciw Stolicy Apostolskiej — w sto lat prawie staje drugi Polak na tem samem miejscu, który dla miłości Polski walczy w obronie tejże Stolicy.

W roku 1866 niektórzy Polacy zaczęli starać się o sformowanie pułku polskiego z Poznańczyków i Galicjan, licząc na pomoc obywateli. Musztra miała być w polskim języku, mundur biały w guście czamarki, spodnie błękitne, szerokie, wpuszczane w buty, krakuski amarantowe z białym barankiem i piórkiem, płaszcz z kapturkiem błękitny z podszewką amarantową.

Przedstawiono ten projekt jenerałom, z czego byli zadowoleni. Trudność była tylko ze strony okupacji francuzkiej, a więc spełzło to na niczem.

W parę lat potem, wybuchła wojna Francuzko-pruska. Gdy Francuzi zaczęli opuszczać Państwo Kościelne, Bóg zrzędził że w samym dniu odjazdu pierwszego oddziału do Francyi, Francuzi przegrali pierwszą bitwę; i tak każdy odchodzący oddział sprowadzał nowe klęski. W końcu, gdy wyszli ci, którzy jeszcze pilnowali pozostałych materjałów wojennych zwijając zarazem chorągiew francuzką na bastionie Civita-Vecchia: w tymże czasie zaczęła powiewać chorągiew pruska na murach Sedanu!.....

ROZDZIAŁ VI.

Chętnie zaprzyjaźniłem się z młodym Hiszpanem, nader miłym i ogólnie szanowanym młodzieńcem. Nazywał się Rodrigo Castello. Usposobienie duszy jego było melancholiczne. Trzymał się zawsze na ustroniu od zabaw i rozrywek towarzyszy, a twarz jego smutek głęboki wyrażała. Bolesnie nam było widzieć więdnący kwiat młodości i te brózdy szlachetnego czoła i mgłę owiewającą jego piękne błękitne oko. Zdarzało się jednak, że z pod brwi czarnych jak heban, strzelał czasami jasny połysk ducha, lecz nigdy we-

soły, bo i na jego ustach weselnego nigdy nie było uśmiechu.

Stojąc raz z nim na szczycie góry w oczekiwaniu zachodu słońca, rzekłem do niego:

— Przyjacielu! wyznaj proszę dla czegoś taki zamyślony i smutny?... Dla czego tak częste westchnienie wyrywa się z twojej piersi? Powierz mi boleść twoją, a doznasz ulgi. Może ci nawet dobrą radę dać potrafię. Wszak nie wątpisz sądzę, żem twoim przyjacielem. Widzę, że upadasz na duchu — to źle! Bądź dobrej myśli — ufaj Bogu, a ujrzysz jeszcze dnie szczęśliwe!...

Na te słowa spojrział na mnie. Długo wpatrywał się w twarz moją i zarumieniło się oblicze jego a na czole niezwykła pogoda osiadła. Ścisnął mocno rękę moją i wskazując na niebo, rzekł:

— Tak, będę jeszcze szczęśliwym—ale... nie na ziemi! Nie zawsze byłem ja takim jak dzisiaj. Swobodny, szczęśliwy, marzyłem cudnie i świat w łudzających kolorach uprzejmie się do mnie uśmiechał. I pewny byłem, że czego zapragnę spełni się niechybnie. Nie przewidywałem wtedy, że to szczęście wkrótce mnie opuści na zawsze!

Zamilkł, i w zadumie się pogрузył. Oko jego zdawało się błędzić śród fal morza, oblanych czerwienią zachodzącego słońca. Potem usiadł na głazie, i twarz zakrył rękami.

Usiadłem i ja przy nim.

Wylawszy z siebie blask ostatni, słońce zniknęło z horyzontu. Idylliczna scena roztoczyła się przed nami. W przejrzystych mrokach wieczoru zabręczały dzwonki stada kóz wracających do szałasów. Pastuszkowie przyspiewywali sobie wesoło, i rzeźwili się przechodząc po krętych drożynach doliny pomiędzy zielenią winogradników i oliwnych gajów. W dali, odzywał się chór uroczysty *Ave Maria!* ludu wiejskiego, rolników i dziewczątek i dźwięczne *Angelus* Opactwa św. Benedykta grało w powietrzu.

— O! jak ci ludzie są szczęśliwi! — przemówił Castello, wskazując na dolinę. Po dziennej pracy chwala Stwórcę swego i dziękują Jemu w prostocie ducha za dobrodziejstwa. Czemuż ja jeden o Boże! nie kwitnę w ogrodzie Twoim!

— Kochany Castello rzekłem, czemuż nie chcesz ulżyć cierpieniu twemu poufnem zwierzeniem się tego, co twe serce dręczy?

Wszak wiesz, że podzielam szczerze smutek twój?

— Wierzę słowom twoim, odpowiedział ze wzruszeniem, więc opowiem ci wszystko.

Poczem wzniosł oczy ku niebu, jakby chciał ztamtąd zaczerpnąć siłę do wypowiedzenia ciężkich bólów duszy.

— Rodzina moja była niegdyś jedną z pierwszych w Hiszpanji. W liczbie antenatów moich byli waleczni rycerze, co walczyli za Grób święty na krucjatach z Saraceni, i jeszcze pod koniec wieku zeszłego w obronie ojczyzny krew przelewali. Ostatni poległ w wojnie z Napoleonem. Zostawił on siedmioletniego syna, którego po Bogu i Ojczyźnie miłował najwięcej.

Zamek nasz stał nad samą drogą wiodącą do Saragossy. Był on obronny i w silną załogę opatrzony. Dziad mój trzymał najwyższe zwierzchnictwo w tym zamku, który stanowił jakby przednią straż krajowej obrony.

Wkrótce nadciągnął nieprzyjaciel. Dano ognia z zamku. Ciężkie działa nieprzyjaciela odpowiedziały zamkowi. Starożytnie, a więc nie do armatnich pocisków budowane mury

nie wytrzymały szturm. Zaczęły pękać i opadać ułatwiając przejście nieprzyjacielowi.

Dziad mój, godny syn rycerskiego rodu, oświadczył mieszkańcom zamku i załodze, że raczej wysadzi zamek w powietrze, niżby się miał poddać.

Wszyscy się zgodzili na to.

Francuzi uderzyli do szturm, wpadli do zamku, zatknęli chorągiew zwycięzką na zgruchotanych murach. Nagle zagrzmiał wybuch straszliwy — zadrzała ziemia — i z huraganem dymu, pyłu, gruzów i kamieni wyleciały w powietrze zgruchotane ciała męźnej załogi co wołała umrzeć, niż poddać się.

Wszyscy zginęli, oprócz ojca mego (małego chłopca podówczas) i starej powiernicy, która się z nim w sklepie zachodniego wału ukryła.

Nieprzyjaciel nie widząc potrzeby przetrząsać rumowisk zamku, i zadowolony wypadkiem, który według jego mniemania miał osłabić ducha obrońców Saragossy, pomknął tam kolumny swoje.

Po dwóch dniach dopiero, ojciec mój wydostał się z gruzów ale sam jeden, bo stara sługa przerażona okropną katastrofą w kilka-

naście godzin umarła nie odzyskawszy przytomności.

Tulacz sierota, błdził ojciec mój biedny po francuzkich obozach, co stały w pobliżu pod zdobytem już miastem. Jeden z wojskowych lekarzy upodobał go sobie, wziął pod opiekę swoją, i używał do noszenia za sobą w polu i w lazaretach torbeczki z narzędziami chirurgicznymi, bandażami i szarpią. Gdy po zdobyciu *Samo-Sierra* Francuzi weszli do Madrytu, ojciec mój towarzyszył i tam lekarzowi.

Wkrótce rzeczy inny obrót wzięły. Niepowodzenia Napoleona w środkowej Europie zmusiły go do opuszczenia Hiszpanji. Wojska francuzkie otrzymały rozkaz powrotu. Lekarz wziął z sobą i mego ojca, do którego się wielce przywiązał. Lecz cóż stałego na świecie? Przybywszy do *Bordeaux* pocziwy opiekun sieroty umarł z ran otrzymanych, a szczątki pułku, przy którym zostawał, były translokowane po innych korpusach.

Zdawałoby się, że pozbawionemu wszelkiej opieki sierocie nic więcej nie pozostawało, jak niechybna zatrata w tym pustym, bo obcym dlań i obojętnym świecie? Lecz Ojciec

nasz i Opiekun miłosierny, czuwał nad biednym sierotą z wysoka. Zdarzyło się, że jakiś oficer poznał ojca mego, zlitował się nad nim i zaprowadził go do pewnego zamożnego i uczciwego piekarza. Sam podeszłego wieku równie jak i jego małżonka, bezdzietny i bez blizkich krewnych, postanowił zająć się losem biednego sieroty, i takowy mu zabezpieczyć.

Jakoż zajął się wychowaniem jego troskliwie, pokochał go jak własnego syna. Po kilku latach umarła mu żona. Niezadługo potem i on sam zachorował, a przeczuwając blizki koniec, przekazał całe swe mienie przybranemu synowi.

Po śmierci więc dobroczyńcy, ojciec mój stał się właścicielem całego piekarskiego zakładu z kapitałem 50.000 franków w rękach. Nie mając chęci prowadzić piekarskiego rzemiosła, sprzedał cały zakład i wyjechał do Hiszpanji.

Ponieważ był dzieckiem jeszcze, kiedy opuścił Hiszpanję, zaledwie słów kilka ojczystego zapamiętał języka. Czas i praca zapobiegła temu. Chciwie pochwycił duszą cudną harmonję rodzinnego słowa, pokochał Hisz-

pankę, ożenił się z nią i osiadł na zawsze w Ojczyźnie.

Wspomnienia przygód w dzieciństwie doznanych ściagały go natrętnie. Straszliwa katastrofa zniszczenia zamku, stała mu ciągle przed oczyma. Miał objawienia wewnętrzne znakomitości rodu swojego, domyślał się, że ten ród jego musiał być możnym i bogatym lecz pod jakim nazwiskiem słynął w narodzie?... nie pamiętał.

Wiedział on wprawdzie z miejscowych podań, gdzie leżał ów zamek co podczas oblężenia Saragossy wyleciał w powietrze; łudził się nadzieją, że mogły ocaleć jakieś papiery częścią w rumowiskach zamku, częścią w samej Saragossie, któreby rzuciły światło na jego pochodzenie, lecz płonne to były złudzenia. Wybuch zamku wszystko przetrawił i zniszczył! W Saragossie jedne tylko gruzy i popioły zostały. Któżby wreszcie uwierzył, że kiedy wszyscy zginęli, jedno tylko dziecko uniknęło śmierci?

Wszystkie więc zabiegi ojca mego na nic nie posłużyły. Niczego się nie dowiedział i nic nie znalazł, oprócz prawdziwego nazwiska

swego, którego jednak dla braku dowodów nosić nie mógł.

Czem byliśmy dawniej, wiem o tem od mego ojca, któremu dziad mój o sławnych przodkach nieco opowiadał. Ale dość o tem. Opowiem ci dalsze przygody moje.

Kiedy wyszedłem z dzieciństwa, przenieśliśmy się do Barcelony, gdzie ukończyłem szkoły. Czas było pomyśleć o wyborze stanu. Zacząłem więc badać siebie dla odkrycia rzetelnego powołania swego. Pokazało się, że przemagającą chęcią moją było zostać wojskowym. Nie chcąc się mi sprzeciwić, rodzice wysłali mię do Madrytu dla ćwiczeń specjalnych militaryjnego zawodu. Na moje nieszczęście Prim rozpoczął wtedy swoją rewolucję, przemógł opór Izabelli i zmusił zwyciężoną szukać przytułku we Francji. Takie postępowanie rewolucji oburzyło wielu. Nieprzychylni rewolucji zaciągnęli się pod chorągwie Don-Carlos'a i jam to samo uczynił.

Wszędzie gdzie wypadło dobyć oręża, walczyliśmy jak mężnym Hiszpanom przysłało. Sam Don-Carlos nie szczędził siebie. Dzielnością i poświęceniem dla sprawy ojczyściej, nie dał siebie nikomu wyprzedzić—

a jednak nie na jego stronę przychyliła się szala zwycięstwa! Przegrawszy sprawę ustąpił do Francji z niektórymi towarzyszami, w których liczbie i ja się znalazłem. Znalazł się też między nami pewien Francuz lubiący namiętnie awanturnicze przygody, i który z tego jedynie względu zaciągnął się był do ochotników Don-Carlos'a, i walczył w jego szeregach. Kiedyśmy przekroczyli granicę, zaproponował mi, żebym mu towarzyszył do majątku rodzicielskiego.

Opierałem się długo jego naleganiu. Ale prośby jego były tak szczerze, serdeczne i zniewalające, że się oprzeć nie potrafiłem. Pojechalśmy tedy razem, i po dwóch dniach podróży stanęliśmy na miejscu.

Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy się dowiedział, że pałac i większa część majątku została sprzedana na rzecz pewnej znakomitej rodziny hrabiów (tak się bowiem tytułowali) hiszpańskich, która z obawy rewolucji osiedliła się we Francji.

Podczas, gdy żywo dotknięty tą wiadomością, kolega mój rozmawiał z nowym rządcą pałacu, drzwi stanęły nagle otworem i ukazała się w nich poważna matrona, której rysy

napiętnowane były szlachetnością. Obok niej ujrzałem młodą osobę.

Była to sama hrabina z córką. Poznały od razu, że m Hiszpan i zapytały po hiszpańsku, czyli nim byłem w istocie?

— Tak jest! odpowiedziałem — i ośmielony uprzejmym współczuciem moich rodaczek, opowiedziałem im przyczynę mojego tu przybycia z kolegą, który zaprosił mnie do swego domu, znalazł posiadłość sprzedaną. A że rodzice jego mieszkają o tej porze w Paryżu, będę więc, dodałem, towarzyszył mu do Paryża.

— O! na to nigdy nie pozwolimy, zawołały obie, żeby nasz rodak opuszczał te progi, nie zabawiwszy z nami czas niejaki.

— Tem bardziej, dodała młoda hrabianka, że panowie odbyliście długą drogę i potrzebujecie spoczynku!

W słowach tych było tyle serdeczności, w jej twarzy się malowało tyle uczucia, że odmówić nie było podobieństwem. Przyjąłem więc z wdzięcznością uprzejme wezwanie. Co do mego kolegi, nie dał się poruszyć, tegoż dnia odjechał do Paryża.

Przyjemniejszego życia nad te, jakie pędziłem w tym gościanym domu, wyobrazić niepodobna. Hrabina i jej córka ożywiały niewypowiedzianym urokiem każdą niemal chwilę pobytu mego w swym domu. Nie było tam ani wymuszenia, ani chytrłości, ani symetrycznej etykiety chłodzącej stosunki i ścieśniającej swobodę gościa. Poutna rozmowa, czytanie dzieł znakomitych treścią, korne wpatrywanie się w dzieła Boże, wywołujące zachwyty hołdowny i miłość, stanowiły, że tak powiem grunt naszego pożycia. Czasami graliśmy na fortepianie, śpiewaliśmy pospołu lub zwiedzaliśmy spacerem malownicze okolice pałacu.

W usposobieniu hrabianki dla mnie, było coś tkliwego, coś opiekuńczego. W twarzy jej godnej anioła, promieniły się wszystkie blaski jej anielskiej duszy. Oczy jej, oczy nieporównanego uroku, wywierały taki pociąg, taki czar niepojęty, że oprzeć się im nie było możebnem. Bywało, wtórząc sobie na fortepianie, zaśpiewa motyw jakiś rzewny, całe jej jestestwo zdawało się ulatniać w tonach, unosić w niebiosa uczucia i harmonji, a oczy

jej precudne perliły się łąką cichą rozrzewnienia lub zachwyty.

Łatwo pojmiesz, jakie na mnie wrażenie zrobiła. Owiany czarodziejstwem jej wdzięku poczułem, że mi koniecznie z tego zakłętego miejsca oddalić się należało. Postanowiłem tedy bądź co bądź powrócić do Hiszpanji.

Gdym to hrabiance Leonji oświadczył zdumiała się wielce i wzięwszy rękę moją rzekła z pewnem uniesieniem:

— Nie, nie! to być nie może, nie pozwolimy na to! Pan zostaniesz u nas!

— Przebacz pani—odpowiedziałem, boję się, abym się nie stał natrętnym. Czy nie nadto już długo goszczę w ich domu? Wreszcie, sprawa ojczyzny wymaga powrotu mego do Hiszpanji...

— O! co do ojczyzny, zawołała, nie czas jeszcze—ona nie wzywa, a co do nas zaręczam Panu, że pobyt jego w naszym domu wielce nam przyjemny i pożądanym.

Kiedy to mówiła, oczy jej tonęły w moich z takim błagającym wyrazem, z taką rzewną tkliwością, że do głębi poruszony, zszedłem mimowolnie z toru postanowienia me-

go, sprzeniewierzyłem się sam sobie i pozostałem.

Wypadła wkrótce jakaś okoliczność, dla której musiała hrabina wyjechać na kilka dni do Paryża.

— Tą razą, pomyślałem, wyjadę i ja.

Nazajutrz rano, udałem się do sali, aby się pożegnać z hrabiną i Leonją. Smutny byłem i niespokojny. Czułem, że przyrośłem sercem do tego miejsca, i że mi przyjdzie zadać mu cios gwałtowny, śmiertelny, krusząc pęta uroku, które je krępowały.

Kiedym tak walczył z sobą i położenie swoje roztrząsał, weszła Leonja. Była smutna i blada. W rękę trzymała książeczkę poprzekładaną wstążeczkami. Ujrzawszy mię podeszła i rzekła:

— Proszę przyjąć tę książeczkę. Daję ją Panu, żebyś się nie nudził przez czas niebytności naszej. Nie długo zabawiemy w Paryżu.

Coś jeszcze chciała powiedzieć, lecz słowo zamarło jej w ustach, bo tejże chwili weszła hrabina i nastąpiło pożegnanie — pożegnanie na zawsze niestety! albowiem, nigdy już, nigdy nie widziałem więcej Leonji!

Gdym pozostał sam jeden, otworzyłem skwapliwie książkę, którą mi dała i dowiedziałem się o Boże, to co mi już pewna osoba mówiła, lecz czemu wierzyć nie śmiałem, dowiedziałem się, pojmiij moją radość! — że Leonja mię kocha!

I cóż? Ten zachwyty mój był tylko błyskiem przelotnym! To szczęście moje, szczęście niewypowiedziane było tylko złośliwą ironją losu! Hrabina i Leonja, nie wróciły więcej! Sam hrabia umarł w Londynie; a w kilka miesięcy po wyjeździe moim do Hiszpanji cała posiadłość została sprzedaną.

Co i jak się stało potem, nie będę ci poszczegółowo opowiadał. Krótko tylko opiszę ci przygody jakich doznałem. Najdotkliwszym ciosem dla mnie było przekonanie, że Leonja chciała się tylko mną zabawić, że kochać mię prawdziwie, ani pomyślała nawet!

Zrozumiesz łatwo, jak mię to odkrycie ubodło, jakich katuszy stało się przyczyną! Nie czułem ja żalu do niej, nie czułem gniewu, — przeciwnie, przebaczyłem jej w duszy — lecz postanowiłem wyrwać z serca miłość niewczesną, zadławić w sobie ogniste porwy co mię ku Leonji pociągały, odrodzić

siebie w zapomnieniu i pokoju. Nie było środka, którego bym nie użył. Szukałem ulgi w roz-targnieniu, w rzuceniu się w wir codziennych zatrudnień.

I cóż? Niepomagało! Wszędzie mię ści-gał obraz Leonji, zawsze ją widziałem przed sobą powabną, czarującą! Jakby na przekór usiłowaniom moim, dniem i nocą, we śnie i na jawie, była nieustannie ze mną, przy mnie, we mnie! O! przyznaj! że to była straszliwa męka! i tem straszliwsza, że błogość tego widzenia nigdy się urzeczywistnić nie mogła; było to więc tylko daremne cierpie-nie, niepotrzebna mara rozognionej wyobraźni!

Głębokim smutkiem zamroczyło się ży-cie moje. Noc była w duszy—i noc w myśli. Szukałem takich ustroni dokąd wzrok ludzki nie przenikał. Tam było mi lżej nieco i we-selej — bo nic nie płoszyło myśli, nic nie przeszkadzało modlitwie, która jedna tylko osładzała gorycze moje i mdlejącemu sercu dodawała otuchy!

O tej porze gruchnęła wieść po kraju, że Piemontczycy zagrażają Rzymowi. Pośpie-szyłem na hasło, chciwy śmierci w obronie praw najświętszych Kościoła i połączyć się

kiedyś na zawsze z Leonją w niebie. Patrz! oto jedyna po niej pamiątka wstążeczka, którą wyjąłem z owej książki, co mi dała odjeżdżając do Paryża. Jeżeli zginę, znajdziesz ją tu na sercu mojem razem z adresem Leonji. Odeszlesz wtedy do niej tę wstążeczkę, i napiszesz od siebie słów kilka, żem ją kochał do śmierci i padł w boju z jej imieniem na ustach. --

— Tak Leonjo, cokolwiek się już stało—cierpiąc dziś—ja ciebie tylko kocham! — na wieki! —

Rzekł i pokazał kawałek wstążeczki białej z różowem; poczem przyłożywszy do ust znowu schował, twarz dłonią zakrył i dumiał w milczeniu.

To opowiadanie Rodryga tak rzewne i smutne, wywołało we mnie głębokie współczucie. Taki on młody myślałem, a już tak nieszczęśliwy! Zaledwie rozkwitł duszą, a już go burza skruszyła! A z kwiatu złudzeń żadnego już mu nie zostało listka! Zkąd pochodzi, że tory doczesności takie twarde i cierniste dla duchów wzniosłych, że świat dla nich pustynią, życie nawałnicą?

Żałobnemi więc były myśli moje. Do-koła tchnęły wonie rozkoszne, i blaskiem wesela świeciły niebiosa; po szafirowych toniach firmamentu żeglował wspaniale srebrzysty korab księżycy cały w promieniach i blaskach. A gdzie tylko te promienie opadały i blaski, barwił się świat feerycznymi kolorami, w ludzące przyodziewał odcienia, czarowną kotarą ułudy okryła się ziemia, a po morzu płaśniała radośnie fala w obsłonie srebrzystej. A po szczytach Apeninów biegały gwiazdy przelotnie, i lekki wiaterek wionął ku nam wszystkie balsamy przestrzeni — rzeźwiącą świeżość nieba, ziemi i morza.

Niewiem jak długo trwałoby to milczenie, gdyby się nie odezwała trąbka wieczorna powołująca do spoczynku. Pochwycone przestrzenia, powtórzone echem gór, odbite w tysiącnych dźwiękach od ścian granitowych skał, biegły jej srebrne tony daleko, daleko, słabnąc stopniowo i zamierając w milczeniu. Była w tém żywa analogja z życiem człowieka i jego nadziejami co świeże zrazu, brzmiące promieniste, bledną potem, niemieją i gasną. Wszystko co się tu zmy-

słom naszym przedstawia, wyraża znikomość naszą. Zaledwie błysnęła, a już zagasa!

Posłuszni hasłu zeszliliśmy na dolinę w milczeniu, poczem ścisnąwszy dłonie wzajemnie z całą serdecznością przyjaźni, udaliśmy się każdy z osobna do swojej kwatery.

Upływał już rok od tej pamiętnej dla mnie chwili, gdy na parę dni przed zaborem Rzymu przez Piemontczyków udałem się z kolegami do kościoła Santo Carlo al Corso, aby odwiedzić zwłoki jednego z towarzyszy, poległego w podjazdowych harcach, jakie staczały przednie nasze straże z nieprzyjacielem.

Nie wiedziałem jak się nazywał ten, którego grzebać miano. O! jakież było zdziwienie moje, gdy w tym poległym poznałem biednego Rodryga Castello!

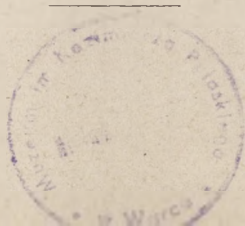
Leżał na katafalku w trumnie odkrytej; śmierć uwydatniała jeszcze szlachetną harmonję jego rysów, jasnych i spokojnych jakby snem błogim owianych. Śnać duch jego kosztował już niebieskiego szczęścia przed obliczem Boga.

Na piersi spostrzegłem krzyżyk z wstążeczki różowo-białej przyszyty do munduru. Przypomniałem sobie ostatnią prośbę jego, żebym to godło miłości do Leonji odesłał, zbliżyłem się mimowoli do katafalku, gdy w tejże chwili przecisnąwszy się przez tłum młoda kobieta podbiegła ku trumnie, rzuciła wzrokiem na zwłoki, i wydawszy okrzyk „Rodrygo“ runęła na posadzkę kamienną kościoła.

Rzuciliśmy się na pomoc nieszczęsnej, podnieśliśmy ją — lecz niestety! była już bez życia! Miałażby to być Leonja?... Nie miałem czasu wyjaśnić zagadki, bo mię obowiązek służbowy na inne miejsce powołał. A więc poleciwszy te dwie dusze Bogu, który je połączył na wieki, wyszedłem.

Nie jest to romans powieści, to jeden z tych mnogich w życiu człowieka wypadków, których rozum ludzki nie umie sobie inaczej wytłumaczyć, jak tylko kaprysem starożytnego Fatum, a w których przecie tkwi myśl wyższa, myśl Opatrznościowego Boga.

Tegoż samego dnia stałem na stanowisku bojowym w jednej z Villi rzymskich.



ROZDZIAŁ VI.¹⁾

Wedle zachowanego od krzyżowych jeszcze wojen zwyczaju — wieczorem dziewiętnastego września tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku, w godzinę po *Ave Maria* nadzwyczaj ponuro odezwały się dzwony u św. Piotra. Dźwięk ich, odbiwszy się o wyniosłe kopuły świątyń i olbrzymie ruiny wspaniałych niegdyś w pogańskiej Romie cesarskich pałaców, płynął w rozległe obszary rzymskiej kampanii, aby tam w dalekich jej ustroniach skonać zupełnie. Aliści, w tym właśnie czasie

¹⁾ Epizod ten podałem w r. 1871 do Przeglądu Lwowskiego p. t. „Dwudziesty Wrzesień“.

z ostatnim wibrującym jeszcze w powietrzu ich dźwiękiem powstał na ulicach Romy ruch nadzwyczajny. Kędy okiem rzucisz, tłumy snują się ludu. Wszyscy nadzwyczaj spieszonym zdążają krokiem.

— Gdzie idą? — zapytasz. — Co za przyczyna tego niezwykłego ruchu, tej osiadłej na licach tego ludu trwogi i obawy?

— Gdybyś wszedł do kościołów, znalazłbyś je przepelnione wiernymi. W tej chwili mieszkańcy Romy wszyscy się w nich znajdują. Modlą się..... Bo najezdnik rozłożył obozy około Wiecznego Grodu.

— Kto on? — Czy nie muzułmanin przypadkiem, odrosłszy w potęgę, chcąc pomścić niesławę swojej, jaką mu miecz Sobieskiego w Wiedeńskiej zadał wyprawie, posunął się aż pod mury chrześcijańskiego świata stolicy? — A może z ognistych pustyń Afryki wyszłe na nowo dawnych Maurów rozbestwione hordy obsaczyły Rzym, aby na karkach jego mieszkańców zaostrzyć jatagany swoje — obładować się łupami, pomordować kapłany i starce, w jasyr uprowadzić mieszkańców i na szczytach Chrystusowych świątyń półksiężyc swój zatknąć?

— Nie. To nie bisurmanie. — Nie Turcy, ani dzikich Afrykanów potomki — ale stokroć gorsi od tamtych.....

— Któż więc na Boga?!

— To król, na którego sztandarach bieli się zdala krzyż. — Tak, krzyż! Obok Chrystusa skonał także na krzyżu w bluźnierstwach rozbójnik. — Ale ten król chrześcianinem katolikiem się zowie! a jednak w siedmdziesiąt przeszło tysięcy żołdactwa uderza na Gród Piotrowy, na własność i dziedzictwo Kościoła — na Bożego pomazańca godzi!

* * *

Noc przedziwnie piękna. Ciemno-lazurowy, niemal do hebanu podobny firmament pokrył się milionami iskrzących się na nim niebieskich światel. Gwiazdy, jedne błyszczą jasno, inne to zapłoną, to znów pobledną, migotają się i niby ze wstydu kryją naraz światła swoje przed wzrokiem człowieka.

Z mnóstwa rozkosznych willi i ogrodów balsamiczna woń kwiatów przepelnia powietrze. A wśród cieni jakieś ukazują się olbrzymy. Są to pyszne niegdyś dumnych Cezarów pałace, rozkoszne łaźnie, tryumfalne łuki,

oibrzymie amfiteatra. Dzisiaj legły w gruzach ale pełnych majestatycznej wielkości. Wśród nich zda ci się stąpają jeszcze w zarzuconych togach światowładni pogańskiej Romy mieszkańcy.

I umysł człowieka w dawne cofa się wieki — staje żywo przed oczyma rozwieleniona moc poganizmu a obok niej okolone trzech-wiekową koroną krwawego prześladowania całe chrześcijaństwo. Obok tyranii... martyrologium — tak było i tak będzie zawsze!

— I co się stało z potężnymi wrogami Kościoła? — Skamienieli... Prawica Boga strzaskała ich potęgę i powstały z niej same tylko gruzy, aby wiecznie świadczyć o Bożej potędze! I myśl twoja, mimo woli, ku Bogu się wznosi — mknie w niebiosa. O! bo w Rzymie i niebo jest bliżej.

Aliści z pośród tych marzeń budzi cię jakiś głos wrogi.

— Co to jest?

Powiedź swoim wzrokiem po opierścienających miasto równinach. W dal i szerz jak tylko dojrzeć możesz, w równych odstępach rozrzucone widzisz ogniska. Głosy stojących na czatach i rzenie rumaków dolatuje

twojego ucha. — To Piemontczyk rozłożył się obozem — jutro z pierwszym słońca braskiem do szturm uderzy. Sądził, że mnogością swoich zastępów zatrwoży wiernych Kościoła obrońców! — Omylił się... Czwarty już parlamentarzysta dostał odprawę. — Wojsko i ochotnicy rzymscy odpowiedzieli:

— „Droga do Rzymu tylko po trupach naszych!....“

Stare mury i bramy miasta obsadzono wojskiem — każdy punkt słabszy zajęli żuawi.

* * *

W jednej pięknej willi pomiędzy Porta Pia a Salara, pod rozłożystymi palmami przy roznieconym dla oświetlenia pozycyi ognisku, w małowniczych swych mundurach z czerwonymi na piersiach krzyżami ¹⁾, siedzą lub wsparci na rękę leży kilkunastu żuawów, i żywo a wesoło rozmawiają.

— Szkoda, że nas Polaków nie postawiono na wysuniętych placówkach, mielibyśmy bowiem pierwsi szczęście powstrzymać

¹⁾ Ojciec Święty pozwolił rozdać wojsku krzyże z sukna czerwonego, które przypięto na mundurach, na lewej piersi, dnia 18 Września 1870 roku.

Piemontczyków atak — odezwał się, dorzucając kilka zeschniętych gałązek winogrodu do ognia, urodny, jasno-blond młodzieniec.

— Mój Stasiu, daruj — ale nie podzielam twojego zdania, chlubniej daleko bronić bram Rzymu.

— Masz słuszność — przerwał obok siedzący — gdyż według taktyki wojennej, najsilniejszy atak wymierzony będzie na pozycję, jaką zajmujemy.

— O tem chciałem mówić właśnie. — Nasz kolega królewicz hiszpański Don Alfons, rozmawiał dzisiaj z generałem de Courtin; a ten mówił mu, że z rozłożonych sił nieprzyjaciela i jego przygotowawczych do ustawienia dział robót wnosi, że bramy Pia i Sallara najsilniej będą zaatakowane.

— Brawo! — wykrzyknęli z uniesieniem wszyscy. — Damy poznać Piemontczykom, jak się Polak bije.

— I to na bagnety! — zawołali inni — Przypominacie sobie bracia tę piosnkę: „Hej kto Polak, na bagnety! — Żyj swobodo, Polsko żyj!“ A ja dodam: Chrystusowa Romo żyj!

— Nie uwierzycie — odezwał się dźwięcznym głosem jasny blondynek — ile szczę-

śliwy jestem, że przynajmniej raz powącham już prochu — i to w obronie Kościoła. Będzie to dla mnie pierwszy dopiero chrzest. W powstaniu nie byłem, bo mnie zastało niemal jeszcze dzieckiem. Ale widząc przechodzące często przez dobra moich rodziców oddziały powstańców, budziła się we mnie chętka pobiedz za nimi. Ojciec mój przyobiecował mi, że jak dorosnę, to pozwoli wstąpić mi do polskiego wojska. Ale że powstanie jak najsmutniejszy obrót rzeczy wzięło, kraj zasłał się gruzami, prześladowanie srożyło się w sposób najgwałtowniejszy, — nadzieja ujżenia polskiego wojska upadła... Aż tu przed kilkoma miesiącami, gdy dzienniki zaczęły pisać o nowo gotującym się napadzie na Kościół święty, — ojciec mój, pewnego dnia przywołał mnie do swego gabinetu, a pocałowawszy w czoło, rzekł:

— Synu mój jedyny! — bo drugiego nie mam — kończysz lat dziewiętnaście, możesz więc być już żołnierzem; — słyhać, że nieprzyjaciele wiary świętej zagrażają Rzymowi, zagrażają Ojcu świętemu, za dni więc cztery pojedziesz tam i wstąpisz do pułku żuawów. Pan H..... będzie ci towarzyszył w drodze.

Pamiętaj, że bronić Kościoła to nasza najświętsza sprawa. Broniąc go, bronimy Polski! — Nie bądźmy nigdy obojętni na sprawę Kościoła, osłabia to w nas bowiem i miłość ojczyzny, i narodowość naszą na szwank zupełny naraża. Przypomnijno sobie mój synu naszego sąsiada! — Zdawało się, że mimo znanej nam obojętności jego w wierze, gorącym jest patriotą, dobrym synem ojczyzny. Cóż się jednak stało? Gdy rząd jął przesładować, zostaje schyzmatykiem — dla formy — jak twierdził — wszak Polakiem i tak dobrym być można. — A dzisiaj? otwarcie już zachęca wszystkich do schyzmy i radzi, aby się z Moskalami połączyć całkowicie. — „Przecież jesteśmy Sławianie — dodaje — i nie masz tak wielkiej pomiędzy nami różnicy“. — Ot, widzisz mój synu, do czego przychodzi Polak, jak tylko wierze ojców i Kościołowi raz się przeniewierzy.

— Przepraszam, że ci przerwę Stasiu — chciałbym powiedzieć co czytałem wczoraj w jednej francuzkiej gazecie. Wspomina, że niektóre nasze dzienniki przyklaskują Pjemontczykom. Gazeta słusznie się dziwi, „jak mogą Polacy podobne czyny pochwalać? Bo jeżeli

stracili już wiarę, to własny interes od tego wstrzymywać ich powinien. Wszak Rzymianin lub Neapolitańczyk z równą trudnością rozumie Piemontczyka jak Polak Moskala. Po między pierwszymi równa nienawiść do siebie jak między ostatnimi. Moskal rozstrzeliwał, więził i mordował, a do dziś dnia czyni toż samo w Neapolitańskim i Sycylii Piemontczyk. Jeżeli więc Polacy pochwalają czyny ostatniego, niechajże — dodaje gazeta — poprzestaną już rozwodzić swoje żale i skargi i co rychlej rzucą się w objęcia Moskali, aby dla jedności słowiańskiej poświęcić swoje tradycje, obyczaje, narodowość — słowem wszystko, na co się ich naród wiekową pracą składał. Toż samo co dobre i sprawiedliwe, według Polaków, na Południu, nie może dla nich być wrogiem i złem dlatego tylko, że jest na Północy“.

To prawda — odezwał się trzydziestokilkoletni wiarus. — My Polacy mężnymi zawsze jesteśmy w boju — braku odwagi nikt nam zarzucić nie może, do poświęcenia niesłychanie skorzy, na szlachetnych uczuciach nie zbywa, ale za to politycznego zmysłu na makowe nie mamy ziarnko. W sercach na-

szych tli zawsze iskra wiary i w onczas nawet, kiedy z bezbożnikami w swaty wchodzić zwykliśmy. Wszystko i wszyscy nas zwodzą, a my łudzenia siebie samych nigdy nie poprzestajemy. Ale dobry Bóg patrząc na inne a może i liczne cnoty nasze, sprawi, że wiara rozplomieni się niezadługo w sercach naszych. Polska po długoletnich krwawych przejściach, po bolesnem doświadczeniu a boleśniejszych jeszcze zawodach przekona się, że tylko od wierności dla Kościoła jej przyszłość zawisła. I w onczas zajmie przynależne jej w rodzinie europejskich ludów miejsce — cała lśniąca cnotami przodować im będzie.... Prawda, że my jej nie zobaczymy.... jutro położymy życie nasze w obronie Kościoła, ale i to na szalę zasług drogiej nam ojczyzny Bóg niezawodnie policzy!...

— Co mówisz kolego? Polski nie ujrzymy? O nie! tam z nieba jednym spojrzeniem duszy obejmujemy ją całą!

— O! jak szczęśliwi jesteśmy drodzy towarzysze — przerwał obok stojący — że Bóg dobry dozwolił nam dzisiaj bronić tak świętej sprawy — jutro; — jutro o tej godzinie będziemy już w niebie! — jutro o tej godzi-

nie ujrzymy pod naszymi stopami te jarzące się dzisiaj po nad głowami naszymi gwiazdy! — jutro będziemy zaciągać wartę przed tronem Boga-Rodzicy!....

— Tak, jutro będziemy w niebie! — odezwali się chórem papieżcy żuawi i jedni drugim rzucili się w objęcia....

W tej chwili dał się słyszeć sygnał — trąbka wezwała do porządku i każdy wołając: *Adio cari!* — *adio!* — do widzenia w niebie! — spieszył do swojej kompanii.

* * *

Na wszystkich punktach przez rzymskich ochotników zajętych, wśród żołnierzy i złożonej w kozły broni, mnogość obojej płci uwija się ludu. Siwowłosy starzec, poważna matrona, hoża dziewoja — przyszli pożegnać się z synem i bratem swoim. U jednych i drugich załzawione oczy. Jedni drugim polecają się wzajemnej modlitwie i pamięci... Tam matka na czole syna swego ostatni składa pocałunek — błogosławi i na niebo wskazuje! — Dziecko moje, ciebie jednego mam tylko — jednego, sama jedna sieroca wdowa na tym bożym świecie — jedyną byłeś mojej starości pod-

porą, jedyną pociechą w życiu! Dzisiaj Bogu cię oddaję! Pomnij o dziecię moje — pomnij o twojej biednej matce, gdy przed tronem Pana w męczeńskiej staniesz koronie!“ — Gdzieindziej szronem okryty mężczyzna z dumą staremu przyjacielowi przedstawia syna. — „Wychowałem go na obronę Stolicy Piotrowej, na obronę ojczyzny mojej“. Załedwie tych słów dokończył, wnet młodziuchne dziewczę zarzuca szkaplerz na szyję swojego brata i ubolewa, że nie jest mężczyzną. — „Stanęłabym bowiem do walki z wrogami...“

Aż tu naraz zagrzmiała wojskowa muzyka. — Grają marsza... Nowe, w ślicznych strzeleckich kostiumach, ukazują się bataliony rzymskich ochotników. Sami obywatele miasta!.... Za nimi w malowniczym stroju, z karabinami na ramieniu maszerują wieśniacy. Maszerują jak stare, w bojach wyćwiczone legiony! Niezliczone tłumy ludu, z pochodniami w ręku, towarzyszą im wołając: *E viva Dio! E viva Pio IX! E viva Papa il Re!* Niech żyje Bóg! Niech żyje Pius IX! Niech żyje Papież-król!

* * *

Z pierwszym brzaskiem zorzy, zaledwie na firmamencie nieba rysować się poczęły wyniosłe szczyty Apeninów — zaledwie słabe światło purpurową krasą znaczyć obłoki poczęło, ryknęły dokoła Romy wycelowane na nas liczne działa. Ziemia zatrzęsła się pod stopami. Szyby w oknach zabrzękły, budynki zda się ze strachu drżą, a pałace się w powietrzu granaty jaskrawo-różową łunę rozlały nad miastem. Wnet drugi huk ale mniej silny rozległ się na murach... walka zaczęła się na dobre.

Na ulicach wśród pękających bomb i granatów, spieszą bataliony pomocnicze w miejscu najbardziej zagrożone. Kawalerzyści cwałując, rozwożą rozkazy w różne strony — baterye co koń wyskoczy, pędzą ku bramom miasta, ciężkie ich koła huczą po rzymskim bruku.

Pomiędzy Porta Pia a Salara ¹⁾, nieprzyjaciel stalowemi kulami z sześćdziesięciu przeszło armat wali w mury miasta. Przed Porta

¹⁾ Opisuję tu tylko tę pozycję, na której sam byłem obecny. Co zaś do innych pięciu punktów Rzymu, atakowanych jednocześnie przez Piemontczyków; mniej więcej podobne odbyły się dramata.



Pia z dwoma tylko działami stoją papieżcy artylerzyści. Na nich skierował mnogie strzały swoje zdradliwy Piemontczyk. — Odpowiadają mu kiedy niekiedy za ledwie, ale za każdym wystrzałem wróg jedno działło traci, „demontują je papieżcy“... rozstawiona gromadka żuawów zmiata jego kanonierów. Z każdą chwilą bój się wzmaga. Wielu już z obydwóch stron poległo. Z artylerzystów papieżkich ani jeden prawie nie został... W męczeńskiej swojej koronie stanęli przed Bożym Tronem! Ich miejsca zajęli żuawi! —

Grzmia z obydwóch stron znowu armaty. Od ogromnej ilości pocisków wali się mur, pryskają kamienie — pękają bomby. Dym, kurz, skorupy granatów, wszystko miesza się z sobą i sypie na męźnych obrońców Kościoła...

Okopy już zniszczone, zgruchotane działa, prochowe skrzynie wysadzone w powietrze a olbrzymie mury z hukiem padają na ziemię i ogromny wyłom otwiera już wrogom wejście do miasta. — Z piekielnym okrzykiem pędzą jego roty.... Biegną i papieżcy, aby z piersi swoich stawić im zaporę. Za pierwszym zgrzytliwym trzaskiem jedynej jaką mają

żuawi kartaczownicy, ścielą się pokotem pierwsze nieprzyjaciela szeregi.

* * *

Sześć godzin trwa już bój krwawy; jeśli się dalej jeszcze pociągnie, z ostatnim z chrześcijańskich rycerzy zginie większa połowa świętokradzkiego najezdника żołdactwa. Atoli niezbadany w wyrokach swoich Bóg chce ich jeszcze przy życiu zachować. Wśród boju nadchodzi rozkaz od Ojca świętego: poprzestać już walczyć ¹⁾. Zapadnięcie się ziemi nie byłoby przeraziło bardziej dzielnych obrońców Kościoła, jak ich przeraził ogłoszony im rozkaz. Oni, co z dalekich przybiegli krain, aby bronić stolicy Piotrowej, oni co życie swoje położyć za Nią pragnęli — oni mają broń złożyć dzisiaj przed wrogiem Kościoła?! Nie, to być nie może... Po raz drugi i trzeci rozesłano rozkazy — wskazano im na powiewa-

¹⁾ Ojciec święty nie chcąc krwi rozlewu, polecił pro-ministrowi armii Jenerałowi Kanclerowi, aby po pierwszych strzałach rozkazał złożyć broń — lecz on nie śmiał tego uczynić znając zapal wojska rzymskiego i dopiero po 6-ciu godzinach zaciętego boju, z wielkim trudem zaledwie skłoniono walczących do wypełnienia tego rozkazu.

jącą na wspaniałej świętego Piotra kopule białą chorągiew i... krwawy bój ustał!

Z kilkutyśięcym tłumem, zebranych z całej Italii *lazzaronów*, różnego rodzaju włóczęgów wchodzi do Wiecznego Miasta najezdnic; krzyżując: *Morte al Papa! Morte al Gesu Christo!* ¹⁾). z chorągwiami w ręku przebiega place — wpada do domów i sztyletami zmusza wyjść na ulicę. Wypuszczeni kryminaliści z brudnym motłochem mają przedstawiać nieposiadających się niby z radości Rzymian.

* * *

Nad brzegiem zarzuconej odłamkami drzew fontanny we wspaniałej willi Ludovici, na zielonej darni leży blady jak chusta w żuawskim mundurze dorodny młodzian. Na czole i szyi otwarte rany — krew tryska z nich strumieniem. Daremnie klęczący przed nim jego towarzysze zatamować ją usiłują... Naraz zwarte otwiera powieki i silnym nad podziw głosem do nich przemawia: Gdzie są nasi koledzy? — gdzie moi rodacy? czyście ich widzieli już wszystkich? — szkoda, że ich

¹⁾ Śmierć Papieżowi! Śmierć Jezusowi Chrystusowi!

tutaj niema — pożegnałbym się z nimi....
 a może są już w niebie, zaniosę im więc od
 was bratnie pozdrowienie.... Gdzie jest nie-
 przyjaciół? co robi?

— Wszedł już do miasta!...

— Wszedł? „O nieszczęśliwi! Bóg ich
 rychło stłumi. — Kościół zwycięży — krzyż
 Chrystusów zapanuje nad światem z wyżyn
 Watykanu — promieniami miłości dosięgnie
 ostatnich kończyn ziemi — przeniknie serca
 ludów i napełni je wiarą! — O Polsko moja
 i Ciebie rychło szczęśliwą już ujrzę z nieba!
 Jezu, miłości moja, idę już, idę do Ciebie!“—
 To powiedziawszy, podniósł się cokolwiek,
 wzniosł ręce w górę, w piękny lazur nieba
 wzrok swój zatopił i na ręce towarzyszy
 opadł...

Tak umarł chrześcijański rycerz—jedeny
 syn u swoich rodziców — tak umarł żuaw
 papieżki, syn polskiej ziemi!...

Załączam tu zarazem list Ojca św. wy-
 dany w przeddzień bitwy t. j. dnia 19 Wrze-
 śnia do generała Kanclera.

„Panie Jenerale! W chwili, kiedy się
 „spełnia wielkie świętokradztwo i dokonywa
 „największa niesprawiedliwość, w której woj
 „sko katolickiego króla bez żadnego wyzwania
 „bo nawet bez cienia jakiegokolwiek pozoru
 „i powodu otacza stolicę katolickiego świata,
 „trzymając ją w oblężeniu, czuję potrzebę
 „podziękować tobie panie jenerale, jakoteż
 „całemu naszemu wojsku, za szlachetnie za
 „jęte stanowisko, za okazane przywiązanie do
 „Stolicy świętej, i za postanowienie poświę
 „cenia się całkiem w jej obronie. — Oby te
 „słowa uroczystym zostały dokumentem, skła
 „dającym świadectwo o karności, lojalności
 „i mężstwie wojsk będących w służbie Stolicy
 „świętej. Co się tyczy trwania obrony obo
 „wiązany jestem rozporządzić, że ta tylko
 „i jedynie w proteście istnieć powinna, pro
 „test zaś ma gwałt i jedynie tylko gwałt
 „skonstatować. Skoro więc tylko działa wy
 „łomy wybiją, rozpocząć się winny negocya
 „cye złożenia broni tyczące się.

„W chwili w której cała Europa opła
 „kuje liczne wszędzie ofiary, padające wsku
 „tek wojny między dwoma wielkimi naro
 „dami, ani teraz, ani nigdy, nikt nie będzie

„mógł powiedzieć, że Zastępca Jezusa Chry-
„stusa, chociaż w nieszlusny sposób napa-
„dnięty, dał swe zezwolenie na wielki wylew
„krwi. Nasza sprawa jest bożą, w Bogu po-
„kładamy całe zaufanie.

„Całem sercem błogosławię Cię panie
„jenerale i wszystkie nasze wojska“.

ROZDZIAŁ VIII.

Biwakując na placu św. Piotra, pragnęliśmy gorąco przed opuszczeniem Rzymu, raz jeszcze oglądać Ojca Świętego. Niezadługo ukazał się w oknie Watykanu, błogosławiąc wiernej swojej armji. Pułkownik Allet podniósł obnażony pałasz w górę, i w tejże chwili kilkunastotysięczny okrzyk miłości i entuzjazmu rozległ się w powietrzu. Następnie zaczęła się defilada z honorami wojskowemi ku bramie św. Pankracego. W kilka godzin potem stanęliśmy w Civita-Vecchia, gdzie nastąpiło pożegnanie towarzyszy broni. Chwila to była uroczysta i bolesna zarazem; Francuzi,

Belgijczycy, Holendrzy, Hiszpanie, Anglicy, Polacy, Niemcy; byli tam i reprezentanci chrześcian - katolików dalekich krain Afryki, Australji, Azji, Ameryki, a wszyscy połączeni jednym uczuciem pod sztandarem Kościoła Świętego. Żegnając się, przyrzekli sobie zejść się kiedyś pod murami Rzymu w dniu naznaczonym przez Opatrzność...

Każdy udał się do swojej ojczyzny, lecz bez żadnego dokumentu, iż służył w armji papieżkiej, gdyż wszystkie biura opanowane zostały przez Piemontczyków.

Oficerowie zaś i żołnierze ochotniczych pułków rzymskich, wywiezieni zostali do fortec Piemontu.¹⁾

Ja z żuawami udałem się do Francji.

Już na pełnem morzu — okręt nasz płynął szybko, prując wód powierzchnie. Zdala widne były jeszcze wierzchołki gór, lecz co chwila zdawały się zagłębiać w falujące morze. Cichość zupełna panowała na pokładzie, każdy zwrócił oczy w tę stronę, gdzie się one rysowały na pogodnem tle nieba. I nie dziw! bo tam otaczaliśmy najpiękniejszy tron na

¹⁾ Zobacz Notę przy końcu dziełka.

ziemi, bo tam pozostały nasze nadzieje i wspólne trudy lecz miłe, wdzięczne i pożądane, tam czuliśmy się bliżej Niebieskiej Jerozolimy, bo tam Ojciec wszystkich wiernych, zastępca Jezusa Chrystusa pozostaje zdradzony i znieważony przez najezdnicę, który ujarzmił lud mu wierny.

Jeszcze widać najwyższy wierzchołek, ale już, już — znikający, wkrótce skrył się zupełnie.

Wokoło niebo i wody.

Długo jeszcze patrzeliśmy w milczeniu. W końcu zwróciliśmy wzrok w stronę Francji, gdzie czekały żuawów nowe boje w obronie swej Ojczyzny. To też, pomimo że wielu było wolnych od obowiązku służenia w szeregach francuzkich, jednakże jednogłośnie prosili podpułkownika de Charette'a, aby u rządu francuzkiego prosił o pozwolenie sformowania ze wszystkich Francuzów, którzy w pułku żuawów papieżkich służyli oddzielnego pułku. Dlatego też zaraz po wylądowaniu w T u l o n p. de Charette pojechał do T o u r s, gdzie został przyjęty z największą uprzejmością przez ministrów Crémieux i Glais-Bizoin, a otrzymawszy pozwolenie i rozkaz sformowania z żuawów papieżkich L e g j o n u

pod nazwą Ochotnicy Zachodu (les Volontaires de l'Ouest) powrócił do nas.

W kilka dni potem, żuawi w swoim własnym papieżkach żuawów mundurze stanęli w Tours, i tam otrzymali uzbrojenie i sztandar.

Co do mnie, nie chciałem brać udziału w tej wojnie, z powodu, że w armii pruskiej znajdowały się także i korpusy złożone z samych Polaków, a zmuszonych bić się przeciw Francuzom pod sztandarami niemieckimi.

Nie mogłem więc samowolnie godzić w pierś moich rodaków. Dlatego też pożegnałem moich towarzyszy broni, pożegnałem najdroższych sercu mojemu przyjaciół, i wraz z jednym kolegą Hr. de Verthamont udałem się do Bordeaux. On jechał pożegnać się z rodziną swoją mieszkającą niedaleko tego miasta.

W kilka dni potem de Verthamont powracał do pułku, który już konsystował w Tours.

Smutna i rzewna była to dla nas chwila.— Czuł on, że już więcej nie zobaczymy się na tej ziemi.

Przyciskał do serca małżonkę swoją i dro-

bne dzieci; wiedział, że to uścisk ostatni — ale serce jego szlachetne, po Bogu ukochało więcej nad wszystko Ojczyznę, a ta Ojczyzna była deptaną przez najezdnicę.

I nie omyliło go przecucie, poległ jako wierny syn Kościoła i Francyi ze sztandarem pułku żuawów papieżkich w ręku, w sławnym ataku wyżyn Loigny.

Z Bordeaux parowcem popłynąłem do Belgji, a zabawiwszy pewien czas w Brukseli, udałem się następnie do Londynu. Obejrzałem godne widzenia ciekawości, pomiędzy innemi Westminster, Tunel pod Tamizą, pałac kryształowy zdumiewający swoim ogromem i dziwną pięknnością.

W kilka tygodni wyjechałem z tego miasta koleją żelazną do Liwerpool'a; a po pięciu dniach na śrubowym okręcie Cecylia wypłynąłem z olbrzymiego portu.

W tydzień zaledwie dostaliśmy się do Bordeaux z powodu okropnej burzy, która nas zaskoczyła gdyśmy wypłynęli z morza św. Grzegorza na pełny Atlantyk.

Przy ujściu Girondy do Oceanu sterczały w wodzie szczątki strzaskanych burzą okrętów.

W jakiś czas potem opuściłem Francję, a zwiedziwszy powtórnie Szwajcarję i Bawarję, już z Monachium udałem się do Wiednia, z kąd sercem przepelnionem radością odjechałem do Krakowa.

‘Pociąg pospieszny, którym już dojeżdżałem do granic ukochanej Ojczyzny, pędził jak strzała, a jednakże zdawało mi się, że się zawolno sunie. Ja chciałbym w jednej chwili ujrzeć ziemię rodzinną — ziemię przesiąkniętą krwią przodków moich, i zroszoną bojowym ich potem — ujrzeć oblicza rodaków — posłyszyć głosy ich. — Jeszcze minut kilka a zobaczę to wszystko po czém lat tyle tęskniłem i o czem marzyłem, czy to pod wiecznie pogodnym a pięknym błękitem Rzymu, lub mglistem niebem dalekiej Anglii, albo rozkosznej Francyi; czy na sinych falach Oceanu, lub na uroczych brzegach jezior pięknej Italji — na śnieżnych szczytach groźnych Alp, i wiosną tchnących Apeninach. Czy to pośród lasków i gajów oliwnych, palmowych, gdzie pomarańcze, granaty, cytryny rosną i figa dojrzewa, lub w łoskotach bitew, w radośnych dniach zwycięstwa albo smutnych pogromu. — O Polsko, ojczyzno moja! Rodacy bracia moi!

myśl każda, każde uderzenie serca, zawsze i tam, wszędzie schnąc z tęsknoty za Bogiem, za wieczną Ojczyzną nieba, tęskniło także za wami, biło tylko dla was.

I dziś ja Polskę ujrzę! braci do serca przycisnę! — oko będę poił pięknem widokiem błoń naszych, będę oddychał powietrzem rodzinnem — ucho będę pieścił szumem wspinających lasów naszych — będę się wpatrywał w blade a jednak tak powabne niebo nasze... Świst przeciągły lokomotywy rozległ się — pociąg zwalniał stopniowo bieg swój, i zatrzymał się.

Konduktor rozwarł drzwiczki i wyrzekł głośno: „Kraków!“

Więc to nie sen zwodniczy z tych licznych co zdala od Ojczyzny marzyły się duszy mojej? Nie, to nie sen, to szczerą rzeczywistość!

W katedrze na Wawelu przy jednym z bocznych ołtarzy, kapłan odprawiał mszę świętą. — Padłem na kolana, duch uleciał gdzieś bliżej ku Stwórcy, zatopił się cały w tej miłosnej rozmowie z Bogiem swoim.

Nie wiem jak długobym] w tym stanie pozostał, gdyby nie potężny odgłos dzwonu.

Powstałem, wyszedłem z kościoła i spuściłem się do podnóża Wawelu.

To żelazne serce uderzało w spiżowe ściany Zygmunta; a poważny i tęskny dźwięk jego, jak tęskny nastrój ducha Narodu rozlewał się w przestrzeni. Ton za tonem płynął ponad starym grodem, coraz dalej, i dalej, jakby chciał odbić się echem o serca wszystkich synów Polski, w najodleglejszych jej granicach, uzalić się ich niedoli, przypomnieć dawną świetność, wiarę i potęgę, i rzuć promyk nadziei lepszej przyszłości...

Takiem echem brzmienie jego odbiło się w mej duszy.

Patrzałem okiem łzawem na ten wspaniały niegdyś zamek, w którym uderzali czołami o stopnie tronu okrutne i chciwe zaboru cary, władcy hord muzułmańskich, i schylali harde swe czoła niemieckie książęta.

Zamek ten, ta kolebka królów naszych dzielnych i potężnych, którzy ostrzem miecza swego, wstrzymywali niezliczonych hufców zapędy dzikiego barbarzyństwa dążącego ujarzmić świat chrześcijański. — Tu przybywali z dalekich krain posłowie papieży, królów i cesarzy, o mury te odbijały się echa okrzy-

ków radości, grzmienie dział, odgłosy trąb w dniach zwycięstw i wesela.

Dziś ponura samotność owiała cały ten gród, — a mocarze co w zamku tym zasiadali na majestacie, spoczywają snem wiecznym w zimnych podziemiach. I odgłos dzwonu Zygmunta smutnemi tony przygrywa ponad grobami ich — a naród cierpi, cierpi wiek już cały. Dawniej sprzyjały nam ludy, gdyśmy byli potężni, dziś usunęli się od nas i wchodzą w znowę z wrogami Ojczyzny naszej! I to narody których byt i pomysłność okupywaliśmy kosztem krwi naszej przez tyle wieków!

Wszyscy nas opuścili, lecz Bóg nam pozostał. Miejmy więc nadzieję, że ujrzymy jeszcze dnie wesela...

Takie i tym podobne myśli snuły się w głowie mojej stojąc u stóp Wawelu.

Po wyjeździe moim z Krakowa, odwiedziłem Izabelę księżną Sanguszkową w Gumniskach.

Z domu tego odznaczającego się prawdziwą staropolską gościnnością, po dłuższym tam moim pobycie, będąc wezwany przez Jerzego księcia Lubomirskiego do Przewor-

ska, uwiozłem wspomnienia tak miłe, że nie ich nigdy nie zdoła zatrzeć w duszy mojej.

W Przeworsku oprócz spodziewanych przyjemności, znalazłem i piękną bibliotekę, bogatą w dzieła znakomitych autorów. Wolniejsze zaś chwile poświęcałem spisaniu niniejszego pamiętnika, albo przechadzce po ślicznych okolicach Przeworska, lub w cieniowych a wiekowych alejach ogrodu otaczającego pałac.

Szczególniej wieczorną porą, kiedy melodyjny śpiew słowików odzywał się z klombów okrytych cieniem nocy, a księżyc rzucał swe blade promienie na zielone ich obłony, a w powietrzu przesyconem wonią wiosny w całej swej pełni, zdawało się, że brzmia zaledwie dosłyszane tajemnicze akordy.

To oddech natury.

O wtedy! czułem ja (po tylu latach tułaczych zdala od Ojczyzny) taką błogość i pogodę w duszy, iż zdawało się mi, patrząc na mirjady błyszczących gwiazd, że serce, pierś moja pękną z miłosnego uwielbienia, — że dusza wyrwie się z więzów ją krępujących, i uleci w tę bezdeń bez końca, która tak dziwnie wabi, pociąga ku sobie, a raczej dusza

sama rwie się w objęcia tej tajemniczej a tak uroczej głębi — i niedziw, bo ztamtąd swój początek wzięła; tęskni więc do swej wiecznie szczęśliwej ojczyzny — do tych krain oddychających błogą miłością Boga.

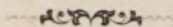
Poznałem się w Przeworsku z zacnym księdzem Józefem Fałatem miejscowym wikarym, jaka to piękna dusza tego kapłana, jaki skarb cnót chowa w sobie niewidzialnych może dla świata, bo je cień pokory pokrywa ale znanych Bogu. — Zaprawdę szczęśliwa ta parafia i błogosławiona, której Najwyższy da takiego przewodnika. Widać, jak Przedwieczny ukochał nasz naród, jeżeli daje mu tak świątobliwych kapłanów.

Jak miłe chwile w tem miejscu przepędziłem trudno mi to wyrazić, jak trudno wyrazić i smutek, który owiał duszę moją, z przyczyny zgonu Jerzego księcia Lubomirskiego, który zawsze do śmierci stał na straży godności narodu, co licznemi potwierdził czyny. To też zgon Jego szczerym żalem odbił się w sercach Polski synów.

Lecz wróćmy do żuawów, których zostawiliśmy w Tours.

Nie będę tu opisywał wszystkich bitew, w których brali czynny udział a z chwałą swoją, podam tylko niektóre wyjątki z autentycznych raportów, jakie mam pod ręką. Opieram się przedewszystkiem na dziele: „*La Campagne des Zouaves pontificaux en France; par M. S. Jacquemont.*”

W niektórych tylko miejscach nietyczących się bitew pozwoliłem sobie rzecz więcej streścić.



Część II.

ROZDZIAŁ IX.

....Jenerał de Sonis przyjął komendę nad 17 korpusem w krytycznej chwili. Nie mógł wątpić z wiadomości jakie otrzymywał że Wielki książe Meklenburgski zamyślał o ważnych ruchach od Chartres na 17-ty korpus, i że cel onych będzie maskował. Jenerał mógł się obawiać, być oskrzydlonym niespodzianie, z prawej lub lewej strony, i zupełnie otoczonym przez armję dwakroć silniejszą od niego; bo 17-ty korpus niezupełnie jeszcze uorganizowany, znajdujący się o cały dzień marszu od 16-go, a więc odosobniony, nie miał

żadnego punktu oporu. Oskrzydlony z prawej strony zostałby odcięty od armji loarskiej, i otoczonym: z lewej, cała armja byłaby z nim razem otoczona. Kiedy generał usiłował odgadnąć zamiary nieprzyjaciela, dowiedział się nagle, że Prusacy zajęli Nogent-le-Rotrou (22-go Listopada). Jednocześnie doniesiono mu o pojawieniu się sił nieprzyjacielskich od Courtalain i Arrou, na zachód Châteaudun; a minister wojny wymagał, żeby dał pomoc zagrożonemu Vendôme. Cel ruchu Wielkiego księcia był już widocznym. On oskrzydlał całą Loarską armję, udając nacisk na Mans, albo na Tours. Być może, próbował odciągnąć na zachód część tej armji, żeby dać możność księciu Fryderykowi-Karolowi, uderzyć na jej środek, i rozbić na poły. Tak w jednym, jak i w drugim razie nie pozostawało nic innego generałowi de Sonis, jak cofnąć się na południo-zachód, ku 16-mu korpusowi.

Nie chciał on wszakże cofnąć się bez rozkazu, i nie spróbował się z nieprzyjacielem. Starał się więc uprzedzić go, oszukać względnie prawdziwej cyfry sił swoich, zachwiać jego ducha. Udało się generałowi do-

kazać tego, śmiałym naciskiem na lewe skrzydło Wielkiego księcia, zamiast na głowy kolumn jego dla odparcia ich w tył.

Dnia 24 Listopada, generał był uwiadomiony, że znaczne siły pruskie pojawiły się w Brou, na drodze Nogent-le-Rotrou, o 4 albo o 5 mil od jego forpocztów. Ruszył tedy nazajutrz bardzo rano z 3-cią dywizją na nieprzyjaciela. Papiezcy żuawi szli w awangardzie z marynarzami pod dowództwem komendanta Collet. Napotkano Prusaków w Jévres, nie dochodząc Brôu. Wieś Jévres zakrytą była z tej strony dość głęboką rzeką l' Ozanne, wpadającą do Loir, i panowała daleko nad pozycją przeciwnego brzegu. Obwarowani w tej mocnej pozycji i oparci o swoje baterje, Prusacy przyjęli Francuzów w 1.500 metrów armatnim ogniem. Pierwszy bataljon prowadzony przez pułkownika, rozwinął się w marszu naprzód, i postąpił do wsi gotowy do ataku. Jego strzelcy wzięli na cel pruskie baterje. Generał de Sonis, chcąc omylić nieprzyjaciela, nie spieszył z demaskowaniem swoich baterji — lecz widząc, że Prusacy nie zdawali się mieć zamiaru przeprowienia się na brzeg przeciwny, rozkazał odkryć ogień

z baterji, które miały w asekuracyi 2-gi bataljon papieżkich żuawów, i 46-ty bataljon marszowy.

Zaledwie tylko komendant żuawów, p. de Gonidec uszykował swój oddział przy baterjach na wyżynie, pruskie armaty wzięły go na cel. Meta strzałów nie była daleka. Nie uszło kilka minut, kilka granatów pękło w szeregach żuawów. Trzynastu ludzi poległo z frontu, i kapitan de Kermaol został raniony.

Całą godzinę trwał ten bój armatami, poczem jedna z ruchomych kolumn francuzkich przeszedłszy w bród rzekę, przysposobiła się do ataku na wieś, ale już w niej Prusaków nie było,— za lasem zamaskowawszy swoje ruchy, odeszli. Mocno się zdziwili żuawi, gdy wpadłszy pierwsi do wsi, nie doznali spodziewanego przyjęcia kulami.

ROZDZIAŁ X.

Trzeci batalion żuawów papieżkich przeznaczony do korpusu generała Jaurés wyruszył z Mans 21go Listopada wieczorem paryską koleją Theil. Ztamąd pomaszerował do Nogent-le-Rotrou i towarzyszył generałowi Jaurés, któremu polecone było formowanie 21go korpusu armji.

Wojska skoncentrowane koło Nogent, a których przeznaczeniem było zatrzymać Wielkiego księcia w marszu jego na zachód, były jeszcze niczem innym, jak tylko bezładnym tłumem ruchawki mobilów (*gardes mobiles*) z kil-

ku oddziałami linjowemi i pewną ilością armat. Massą tą, wynoszącą 15,000 ludzi, nikt właściwie nie komenderował. Wojsko takie nie mogło, ma się rozumieć, oprzeć się Prusakom; a nowy jego dowódzca przybył wtedy właśnie, kiedy Nogent-le-Rotrou zajął nieprzyjaciel. Działo się to 22go Listopada rano.

Z powodu zajęcia Nogent przez nieprzyjaciela, 3ci batalion papieżkich żuawów nie mógł już iść na Châteaudun. Pan de Couessin komendant tego batalionu powziął zatem zamiar wrócić do Mans; ale jenerał Jaurés zapotrzebował jego pomocy, i tej nie mógł mu odmówić.

Zamiast tedy powrócić do Mans wprost przez la Ferté-Bernard, armja zwyciężona wpadła na drogę do Bellesme. Było to szaleństwo, które się tylko nieładem tego odwrotu tłumaczyć daje. Mobile uciekali polami, rzucając broń swoją. Reszta ich tłoczyła się niesfornie po drodze. Dwa tylko bataliony stały się odpornie: piechoty morskiej i strzelców pieszych. Ci ostatni bili się mężnie pod Bretoncelles, straciwszy połowę ludzi, pomaszerowali do Mans.

Jenerał Jaurés rozkazał żuawom papieżkim zasłaniać odwrót armji wespół z piechotą marynarzy. Skutkiem czego, 3ci batalion żuawów poprzedzany przez zbiegów, ruszył ku Bellisme, dokąd i przybył nieco przed nocą, mając na karku Prusaków, którzy go niepokoić nie myśleli. Piechota marynarzy poszła inną drogą i była zaatakowaną i odepchniętą na Bellesme.

Jenerał Jaurés ujrzał się w nader trudnem położeniu. Ogólny popłoch żołnierzy rozprzegł wszystkie więzy porządku; armaty jego mogły wpaść w ręce nieprzyjaciela. Nic mu nie pozostawało, jak odwołać się do męstwa żuawów papieżkich, co też i uczynił. Couesin posunął swój batalion na 500 metrów za miasto i postawił na zagrożonej drodze. Od godziny 4tej rano żuawi jego nic jeszcze nie mieli w ustach.

Zaledwie uszło pół godziny, gdy już noc zapadła, nieprzyjaciel stanął przed nimi, zbliżył się i puścił w nich ogniem. Przywitany kulami, zatrzymał się nieruchomy. Było tam 4,000 Prusaków, lecz nie śmieli oni uderzyć na hufiec nieustraszony żuawów, pośród ciemnoty nocnej. Żuawi także nie wiedzieli ja-

kiej był siły oddział nieprzyjacielski. Tyle tylko wiedzieli, że na żadną pomoc liczyć nie mogli, jeno na swoje męztwo. Tak przepędzili wobec nieprzyjaciela, kilka godzin o półkarabinowej mety. Komendant pruski wyprawił kilku chłopów w charakterze parlamentarzysty z pogroźką, że spali miasto jeżeli się nie poddadzą. Couessin zatrzymał chłopów u siebie i żadnej nie dał odpowiedzi. Zamieniono się kilku wystrzałami, i dwóch żuawów było ranionych.

Około północy generał Jaurès posłał uwiadomić Couesina, że wszystkie jego wojska były już daleko na drodze do Marners, i że następnie mógł on iść za nimi w arjer-gardzie. Gdy ujrzał żuawów, podjechał do nich skwapliwie i wynurzył ich komendantowi wdzięczność swoją za ważną usługę, jaką jemu uczyni.

Kolumna przybyła do Hutte i wróciła koleją żelazną do Mans. Rozmaitej broni wojska koncentrowały się tam pociągami, tak że po upływie trzech dni generał Jaurès miał już pod sobą 30,000; i te to właśnie wojska były 21szym korpusem. Zdawało się że Prusacy lada momen napadną. Szpice ich były

już w Connerré o jeden marsz od Mans na drodze do Paryża. Jenerał Jaurés ustawiał na pozycjach wojska w miarę tego jak przybywały, wybierając ma się rozumieć najobronniejsze i uszykował się z niemi pod Mans, wcieliwszy do swego korpusu 3ci batalion żuawów papieżkich. Dnia 27 Listopada posłał on żuawów zająć pozycję u Parigne-l'Évêque, na prawem skrzydle swojej bojowej linji. Ale Prusacy nie atakowali 21 korpusu. Ich ruchy na Mans były, jak to przewidział jenerał de Sonis, fałszywą demonstracją, albowiem wielki książę zwrócił się już ku armji Loary.

ROZDZIAŁ XI.

Tu wspomnę o ruchu 17 korpusu na Potay.

Jenerał de Sonis przepędził dwa dni (28 i 29 Listopada) w obozie Saint-Laurent-des-Bois. Nie był to czas dostateczny dla organizacji 17 korpusu, w którym wszystko trzeba było stworzyć. Nie mógł więc jenerał tak uregulować swoje wojsko, jakby należało, w porze gotujących się operacji wojennych.

W szeregach 17 korpusu stało przeszło 40,000, z których minister wojny rozkazał

oddzielić do Fréteval, 1 brygadę 1 dywizji i bataliony strzelców morskich. Reszta dywizji nie były w komplecie. Co do artylerji, to liczyła 96 dział. Oprócz baterji zostających przy dywizjach, rezerwy miały kilka baterji kalibrów 12 i 4, oraz kilka kartaczownic. Dla swojej eskorty jenerał wybrał żuawów papieżkich, a także dzielny batalion mobilów des Côtes du Nord, który wespół z żuawami postąpił pod dowództwo pułkownika de Charette. Ta maleńka brygada, przeznaczona do obrony baterji rezerwowych pozostała pod osobistym naczelnictwem głównodowodzącego.

Nakoniec d. 30 Listopada bardzo rano, 17ty korpus zwinął swój obóz i wyruszył w marsz dla połączenia się z armją Loary. Wielki to był dzień i pamiętny! Wszyscy się cieszyli, że szli na nieprzyjaciela, że się połączą z główną armją, pobiją Prusaków i oswobodzą Paryż! Nadzieja wszystkie poruszała serca. Gdy odeszli połowę drogi (była godzina 11) i zbliżyli się do Charsonville, usłyszeli od północy dalekie strzały armatnie. Na to hasło sranął 17 korpus w bojowym porządku. Dywizje uszykowały się gotowe do

walki po obu stronach drogi i ciągle postępowwały naprzód w bataljonowych kolumnach na miarę frontowej deplojadny od siebie. Artylerja i bagaże ciągnęły gościńcem. Żuawi eskortowali rezerwy, idąc sekcjami. Cudny był zaiste widok tej armji, maszerującej polami w bojowej gotowości. Żuawi śledzili okiem płaski i pusty horyzont Beaucji, ażali się nie ukaże nieprzyjaciel — ale go nigdzie nie było. Wieczorem dopiero dojrzeli w dali na gościńcu, kilku jeźdzców na obserwacji. Czy to byli Prusacy? Nie! to była pierwsza pikietta 16 korpusu. Okrzykiem radości powitano armję Loary. W tej chwili właśnie maszerowano przez pobojowisko Coulmiers, okryte szczątkami walki. Było to objawienie się zwycięstwa, wróżące żuawom nowe tryumfy. Wesoło pociągnęło wojsko za Coulmiers i stanęło obozem.

Dzień następny przeszedł beczynnje. Obóz pozostał na miejscu. Chłód był dotkliwy. Żołnierze odpoczywali jak mogli. Słychać było armatnie strzały od strony Saint-Péray. Rozprawiano o kolejach blizkiego boju. Pomiedzy żuawami papieżkimi najblizszymi głównej kwatery krążyła wieść, że 17 korpus

zostanie przy Orleans. Przykrą im była wieść takowa. Wielce się zatem ucieszyli, gdy otrzymali o godzinie trzeciej rozkaz zwinięcia obozu i maszerowania do Saint-Péray.

Wilją dnia tego wieczorem odbyła się w głównej kwaterze loarskiej armji rada wojenna. Działo się w Saint-Jean de la Ruëlle. Członkami tej rady byli jenerałowie: d' Aurelle, Chanzy, Borel, oraz p. de Freycinet delegowany ministra wojny. On przywiózł z sobą plan działań wojennych, który wspólnie z Gambettą ułożył i według którego miała armja Loary dotrzeć aż pod mury Paryża, z kąd jenerał Trochu obiecywał zrobić wycieczkę. Treścią tego planu było iść przez Pithiviers na Fontainebleau, gdzie armja Loary miała się zmasować ruchem koncentrycznym i rozbić księcia Fryderyka Karola. Pp. Gambetta i de Freycinet nie wątpili o skuteczności swego planu, lecz jenerałowie innego byli zdania. Według nich, wojsko było nowe, niezahartowane. Niepodobna więc było przedsiębrać z niem w surrowej porze roku takich szybkich marszów, któreby się nie obeszły bez częstych utarczek z nieprzyjacielem. A do tego czy siły tego

nieprzyjaciela były należycie ocenione? Czy można było liczyć przedwcześnie na to, że wycieczka z Paryża będzie szczęśliwą? Lecz te uwagi generałów na nic nie posłużyły. Musieli być posłusznymi przeważnej woli Gambetty ¹⁾. Naradziwszy się, pomiędzy sobą o tem co im pozostawało czynić, generałowie uchwalili jednogłośnie jedną kombinację możliwą, której jednak niebezpieczeństwo przewidywali. Korpus 15 miał iść przed siebie — 16, który był po lewej stronie, miał wystąpić z Patay i zakreszyć łuk szeroki na prawo w kierunku Janville, Toury i Pithiviers — 17 korpus zaś, miał wspierać ten ruch jego w charakterze rezerwy, regulując się tak w wyborze pozycji, żeby zasłonić Orleans.

Jenerał Chanzy, któremu wypadła najdłuższa meta rozpoczął śmiało swój ruch na zajutrz — i skutek usprawiedliwił jego śmiałość.

Pierwsza jego dywizya, manewrująca na lewo, starła się z silnym korpusem bawarczy-

¹⁾ Obacz, *La dixième armée de la Loire, par le général Chanzy.* p. 56.

ków, zdobyła po świetnym trzygodzinnym boju jego pozycje Faveroles i Vilepion (na północ Patay'u) i zajęła one. Ten pomysłny rezultat był tylko początkiem walki. Głównodowodzący doniósł o tem natychmiast telegrafem generałowi de Sonis, wzywając go, aby się połączył z 16 korpusem przed nocą. O godzinie trzeciej po południu 17 korpus otrzymał rozkaz zwinąć obóz i maszerować forsownie do Saint-Peravy-la-Colombe za Patay, dla zajęcia pozycji opuszczonych przez 16 korpus.

Jenerał de Sonis nie łudził siebie bynajmniej nadziejami, podejmując swój manewr niepewny. Korpus 17 był mniej jeszcze przysposobiony do wojny od innych, i wódz onego wiedział to dobrze. Lecz jako żołnierz i chrześcijanin, był posłusznym. Idąc obok półkownika de Charete tego wieczora, rozmawiał o przygodach jakie ich czekały. Zgodność charakterów i poglądów sprawiła, że od pierwszego spotkania wielką powzięli dla siebie przyjaźń. Są ludzie i takich najwięcej, których uczucie obowiązku i honoru zapalają pogardą niebezpieczeństwa. Inni znowu szu-

kają go w boju, jak żywiołu swego, jak rozkoszy — takim był Lamoriciere.

De Sonis i de Charette poznali siebie wzajemnie, po tych wyłącznych rysach męskiej natury swojej. Obydwa byli pełni prostoty w spełnianiu rycerskiego mandatu swego. „W tych smutnych czasach — pisał na kilka dni przedtem generał do pułkownika — „to prawdziwa pociecha umrzeć pośród tak zacnych ludzi, jak ty, myśląc, że Bóg nie opuszcza jeszcze Francji, kiedy jej nie odmówił takich wiernych synów. Kładę dłoń moją do twojej, wzywając do podziału ze mną mojej dlitwy i ofiary“.

I podzielili się niemi rzeczywiście.

Podczas wieczornej dnia tego rozmowy, rzekł generał do pułkownika de Charette, że mu przykro było, idąc na bój z nieprzyjacielem, że nie miał na swoim proporcju jakiego religijnego godła.

— Jenerale odrzekł pułkownik — jeżeli o to chodzi, to mogę ci ofiarować taki proporzec jakiego sobie życzysz.

Te słowa mocno zadziwiły generała. Wtedy p. de Charette opowiedział mu, że będąc w Tours otrzymał w klasztorze Nawiedzenia

Paray-le-Monial, haftowaną chorągiew z białej jedwabnej materji, mającą z jednej strony wyobrażenie Serca Jezusowego, a z drugiej wezwanie do św. Marcina, dawnego patrona Francji. Wzruszony tą ofiarą, w której widział symbol proroczy, p. Charette przyjął tę chorągiew w zamiarze rozwinięcia onej podczas boju. Podobała się ta chorągiew generałowi de Sonis. On przyjął ją od p. de Charette i zechciał żeby ją powierzono podoficerowi żuawów. Wybór pułkownika padł na jego przyjaciela p. de Bouillé, ale ten odmówił, stawiając za przyczynę, że nie był niczem innem, jeno robotnikiem ostatniej godziny. Wtedy p. de Charette przeznaczył do niesienia chorągwi hrabiego de Verthamon, żuawa rzymskiego z 1861 roku, który tylko co opuścił żonę i dzieci, dla zaciągnięcia się do szeregów swego dawnego pułku.

Po forsownym marszu generał de Sonis przybył do Saint-Peravy-la-Colombe o godzinie 9 wieczorem. Tam zastał on pismo generała Chanzy, który domagał się posiłków. Wnet wysłał p. de Sonis do Patay 2gą dywizją 17go korpusu z jednej

tylko brygady złożoną, a którą dowodził generał Dubois-de-Jancigny. Sam zaś pozostał w Saint-Peravy dla wypoczynku wojskom i lepszej organizacji. Tam otrzymał on telegram ministra wojny z uwiadomieniem o wycieczce i pierwszym zwycięstwie generała Ducrot; i w tejże chwili nadeszła wieść od generała Chanzy o jego szczęśliwym boju.

Skoro te wieści doszły do żuawów papieżkich, nadzwyczajną w nich radość wywołały. Myśleli, że już są pod murami Paryża.

Ale dzień następny miał być ciężkim. Wiedzieli o tem i wszyscy byli do tego przygotowani. Nie było we zwyczaju w pułku, zapominać o przyszłym życiu przed zagajeniem niebezpiecznego boju. Zapewne każdy człowiek szlachetny stanąwszy na placu walki, wypełnia swój obowiązek jak nań przystało; lecz o ile spokojniej patrzy na piękną śmierć mężnych ten, co wierzy, że nań za obrębem doczesności czeka życie pokoju i światła! Dnia 2 grudnia o godzinie 3 po północy, w kościółku Saint-Peravy żuawi zgromadzeni, pobożnie przyjmowali komunię podczas mszy świętej, którą odprawiał ojciec

Doussot. Jeneral, pułkownik de Charette,
kapitan de Gastebois, p. p. de Bouillé,
de Cazenove, hr. de Verthamon i wszyscy
inni także przyjęli komunję.

ROZDZIAŁ XII.

Była godzina czwarta, kiedy generał de Sonis wyruszył ze swemi rezerwami, rozkazał dwóm dywizjom swego korpusu, żeby szły za nim, skoro się zgromadzą. Stanąwszy o świcie w Patay, pomieścił swoje rezerwy za miastem po lewej stronie drogi, a sam udał się do głównej kwatery 16-go korpusu. Generał Chanzy oświadczył mu swoje podziękowanie i powiedział, że w tej chwili nie potrzebował pomocy. Rad był wielec temu p. de Sonis, albowiem wojska jego były bardzo znużone. Korpus 16 zagał był utarczkę

i wódz jego pośpieszył na miejsce zaczynającej się rozprawy. Dnia 2-go Grudnia zrana, armja niemiecka zajmowała od wschodu na zachód, długą bojową linię, której prawe skrzydło opierało się o Orgéres, lewe o Santilly, i która szła przez Maladrerie, Tanon, Goury, Baroche-les-Hautes; — w skład onej wchodziła cała armja Wielkiego księcia Meklenburgskiego (Bawarczycy i Prusacy) z posiłkowemi wojskami księcia Fryderyka Karola. Armja Loary (korpusy 15 i 16) ciągnęły się linią niemal równoległą do linii niemieckiej, i były oparte na prawo o Artenay, na lewo o Nonneville.

Korpus 15 miał zatem do czynienia z lewym skrzydłem Prusaków. Korpus 16 miał atakować ich skrzydło prawe, i zwrotem na prawo, około 15 korpusu, który stanowił oś ruchu, dążyć do Janville i Toury. Najtrudniejsze więc było jego zadanie.

Pierwsze starcie zaczęło się o godzinie ósmej. Dwie dywizje 1, 2, do korpusu 16go należące, posunęły się od lewego skrzydła poza Loigny, z kąd się już nieprzyjaciel bardzo rano wydalil i zaatakował folwark Be-

auvillers, oraz zamek Goury, gdzie się Bawarczycy mocno oszańcowali. Cały ranek walczone tam zawzięcie. Nacisk wojsk naszych był pełen męznego porywu; ale sam generał Chanzy przyznaje, że nadto mało armat użyto—park zamku Goury był zajęty przez Francuzów i napowrót odebrany przez Niemców, którym przybyła o południu na pomoc dywizja—wtedy Francuzi zostali odparci do Loigny, potem do Villepion i Faverolles z ogromną stratą; a kolumny pruskie uderzyły do szturm na wieś Loigny, w której broniły się dzielnie kilka kompanji 3 pułku strzelców pieszych, oddział marszowy 37 i kilka kompanji mobilów z Mayenny.

Na prawem skrzydle 3 dywizja więcej jeszcze ucierpiała. Wystąpiła ona zraza z Terminiers do Lumeau; lecz nie mogła nawet dotrzeć do tej wioski, i wróciła w nieładzie na pozycję z której zeszła była rano. Ujrzawszy rozgrom naszego prawego skrzydła, Prusacy ściągnęli swoje siły na lewe, i rozpoczęli z tej strony marsz obchodowy. Mobile Sarthy stawili im w Nonneville opór energiczny, bijąc się gdyby stare wojska. Walczyli tam także dwaj oficerowie żua-

wów papieżkich, margrabia de Sabran, i młody książę de Luynes śmiertelnie ranny w tym boju—kiedy się to działo, 15 korpus odnosił niektóre korzyści i posuwał się naprzód, ale niedostatecznie żeby zrobić skuteczną dywersję, i dopomódz 16 korpusowi.

Taki był stan rzeczy około godziny pierwszej z południa. Lewy flang i centr 16 korpusu w Villepion i Faverolles, bardzo uszkodzone i zdemoralizowane. Prawy flang jeszcze więcej uszkodzony i niezdolny działać zaczepnie. Największe jednak niebezpieczeństwo groziło lewemu skrzydłu, co też było powodem, że generał Chanzy wezwał pomocy 17 korpusu.

Jenerał de Sonis czekał tym czasem nagląc pochód i formowanie się wojsk swoich nadto pomału przybywających, i które zostawiały za sobą wielką liczbę osłabionych. Pierwsza dywizja nadeszła dopiero wieczorem. Trzecia pod jenerałem de Flandre, była jeszcze przed południem w Patay. Jenerał de Sonis zatrzymał pod miastem wszystkie swoje pułki, rozporządziwszy nimi tak, żeby gotowe były na pierwsze hasło. Byli tam i żuawi papieżcy. Przysłuchiwali się

straszliwym łoskotom walki i czekali niecierpliwie, kiedy ich bój z kolei powoła. O samym południu, otrzymano rozkaz rozwinięcia obozu i zdawało się, że już do walki nie przyjdzie. Lecz w tejże chwili odwołano rozkaz, i wojska ruszyły do marszu zostawiwszy swoje tornistry i rozpięte namioty na polu.— Z każdej kompanii i bataljonu przeznaczono dziesięciu ludzi do pilnowania obozu, parku i bagażów.

Przedtem, nim generał Chanzy wezwał pomocy 17 korpusu, dowódzca onego pojął z kanonady coraz wyraźniej zbliżającej się, że Francuzi odstępowali, i że Prusacy nie zaniechają zrobić nacisk na lewe skrzydła nasze. Posłał więc część swojej kawalerji ku Guillonville, i sam się puścił w tym kierunku. Trzy jego brygady szły bojowym szykiem, rozciągnięte po obu stronach gościńca do Chateaudun; baterje dywizyjne za bataljonami a rezerwa nieco z tyłu gościńcem. Za ledwie 17 korpus uszedł pół mili, goniec generała Chanzy przybiega z usilnem wezwaniem pomocy. Generał de Sonis rozkazał natychmiast wykonać odmianę frontu w prawo i powiódł wojska swoje na plac boju eszalo-

nami brygadnymi, prawem skrzydłem naprzód. Dywizja, czyli raczej brygada Jancigny skierowała się na Terminiers dla podkrzepienia prawego skrzydła 16 korpusu. Trzecia dywizja, z jenerałem de Sonis i z częścią rezerwy udała się ku Loigny. Lecz w tejże chwili ruch Prusaków na lewo takim zagroził niebezpieczeństwem, że trzeba było koniecznie zapobiedz onemu. Dwie tedy brygady 3 dywizji, zwróciwszy się na lewo, posunęły się aż za Gommiers na linię z Guillonville do Villepion, naprzeciw nieprzyjaciela usiłującego obejść nasze lewe skrzydło. Dywizja de Flandre, została na miejscu do wieczora.

A więc jenerał de Sonis przyprowadził jenerałowi Chanzy do Villepion nie więcej jak część swojej rezerwy, której dwie baterje kazał natychmiast postawić na pozycji. Zaraz potem posłał do Terminiers część brygady Jancigny, 51 pułk marszowy i trzy baterje dywizyjne, które skoro przybyły połączyły się z baterjami rezerwy przy parku Villepion, dla obstrzeliwania dział niemieckich, bijących zewsząd w prawo i lewo od Loigny, przeszywając kulami tę

wioskę i Villepion. Jenerał de Sonis miał z sobą 1 bataljon żuawów papieżkich pod pułkownikiem de Charette, i pół bataljonu des Cotes-du-Nord. Trzymając broń u nogi, uszykowali się oni obok baterji swoich, jak przystało żołnierzom oczekującym kolei swojej. Pociski uderzające w baterje, a które raniły czterech żuawów i z dziesiątek mobilów, nie przeraziły ich spokojnego mężstwa.

Powiedziałem wyżej, że jenerał de Sonis wziął tylko część rezerwy z sobą. Druga onej połowa pozostała z 2 bataljonem żuawów i małym oddziałem mobilów w pobliżu Patay'u, a po ujściu godziny pociągnęła do Terminiers dla zakrycia prawego skrzydła. Skoro tylko zajęli pozycję swoją, postrzegli żuawi jadącego ku nim jenerała jakiegoś, nikomu z nich nieznanego, i pomyśleli, że do 16 korpusu należał. Wstrzymał konia przed gronem oficerów i powitawszy ich kapeluszem, rzekł:

— Czy panowie jesteście żuawi papieżcy?

— Nieinaczej jenerale — odpowiedział p. le Gonidec, komendant żuawów.

— Kiedy tak — ciągnął dalej jenerał — to spieszcie zająć tę oto wioskę! (ukazał ręką

na Gommiers) bo to jest punkt najwięcej zagrożony w tej chwili. Trzymajcie się tam do ostatniego!

To samo rozkazał on i baterjom, które wnet poleciały cwałem na punkt wskazany. Żuawi ruszyli za nimi bieglým krokiem.

Rzeczywiście ruchy Prusaków niczem nie powstrzymane, zaczęły się już wyraźnie zarysowywać. Głębokie ich kolumny piechoty i kawalerji, posiłkowane liczną artylerją posuwały się natarczywie od Orgeres, miotając ogniem nieustannym. Już miały zgnieść dywizję de Flandre i obejść francuzką armję, gdy doszedłszy do Gaubert wstrzymane zostały. Trzydzieści dział i kartaczo-wnic francuzkich stanąwszy na pozycji przy Gommiers (od zachodu) odkryły taki rzesisty i celny ogień, że artylerja nieprzyjacielska zamilknąć musiała, a massy niemieckie pomimo usilności posunięcia się naprzód nie mogły dokazać tego, i cofnęły się ku północy. Noc już była zapadła, a pociski naszych baterji jeszcze Niemców ścigały. Rola żuawów z bataljonu była więc bierną dnia tego. Poprzestać musieli na tem, że byli świadkami tego wspaniałego boju, który tyle chluby przy-

czynił artylerji francuzkiej. Armja uniknęła straszliwej klęski, ale bitwa nie była wygraną.

Loigny opierało się uporczywie powtarzającym się atakom Niemców, którzy tylko część wsi tej zdobyli. Granaty ich z petreolejem rozniecały w niej pożar; ale strzelcy, i mobile oszańcowani na cmentarzu w środku osady ostrzeliwali wszystkie ulice i przystępy. Bawarczycy dotarli jakoś do nich wołając żeby się poddali, i osypując ich kulami ogólnej karabinowej salwy. Walka rozpoczęła się wtedy z większą jeszcze zawziętością, i jeżeliby tym zuchom zdołano przyjść na pomoc przed nocą byłiby wyratowani.

Massy nieprzyjaciół i armat broniły przystępu do Loigny. Żeby się mierzyć z siłami takimi, trzeba było wojsk najdzielniejszych; te zaś nawet, które stanowiły dobór 16 korpusu nie były zdolne dokazać tego. Jenerał de Sonis postanowił jednak spróbować szczęścia. Odebrać Loigny z rąk nieprzyjaciela byłoby prawie połową zwycięstwa, któreby wpłynęło szczęśliwie na los jutrzejszej walki. Trzeba było spieszyć. Noc się zbliżała

i lada moment ostatni obrońcy Loigny mogli być już wytopieni.

Jenerał de Sonis posłał po dywizję de Flandre w zamiarze uderzenia z nią i z całą swoją artylerją na tę straszliwą pozycję. Na nieszczęście z przyczyny oddalenia zapewne, jenerał de Flandre nie przybywał, i czas schodził kosztowny. Jenerał miał tylko pod ręką w tym momencie jeden pułk z dywizji, który powołał był z Teminiers, i umieścił koło Villepion dla zmiany wojsk wycieczonych 16 korpusu. Podjechał więc do tego pułku i usiłował podnieść ducha żołnierzy do miary przedsięwzięcia, jakie dokonać zamysłał. Nadaremnie! Ci nieszczęśliwi byli zupełnie zdemoralizowani. Od godziny leżąc na ziemi pod kulami patrzali na smutny obraz porażki, i poczucie rycerskiego męstwa zupełnie utracili. Posunęli się wprawdzie naprzód — lecz uszedłszy kroków kilka, cofnęli się w tył, odmawiając zejść z miejsca. Blizki rozpaczy jenerał de Sonis w nadziei, że przykład kilku mężnych potrafi ich pociągnąć do boju, podleciał konno do żuawów i rzekł do ich pułkownika:

Ci oto ludzie odmawiają iść za mną! —
Chodźcie! — Pokażemy im czego mogą do-
kazać chrześcijanie, kiedy ich mężne serce
ożywia!

Poczem obróciwszy się do żuawów:

— Niech żyje Francya! Niech żyje Pius IX!

— Naprzód!

Był to nasz zwykły okrzyk bojowy.

Pomiędzy zamkiem Villepion i Loigny
leży na przestrzeni 1.500 metrów, goła ró-
wnina nieco falista jak cały ten kraj. Za tą
równiną lasek, właściwiej gęstwina krzaczysta
długa od 200 do 300 metrów, głęboka od 20
do 30. Z prawej strony lasku droga z Fa-
verolles do Loigny, a na drodze wielka
ferma Villours. Za laskiem grunt zaczyna
się wznosić nieznacznie w przeciągu 300 me-
trów mniej więcej aż do Loigny wielkiej
osady porządnie zabudowanej, jak wszystkie
w Beaucji, z ogrodami do koła mieszkań.
Z tej strony jest to rzeczywiście pozycja obron-
na. Część mieszkań osady i wszystkie do niej
przystępy, były w rękę Niemców. Po obu
stronach pozycji stały na wyżynach ich ar-
maty. A ponieważ przewidywali, że Francuzi
ponowią swój atak, Niemcy postawili dwa

silne bataljony na fermie Villours, a także i w lasku. Obie te miejscowości są od strony Villepion naturalną obroną Loigny.

P. de Sonis, rozkazał jednej z baterji wesprzeć atak żuawów, a żuawi i mobile składający oddział pułkownika de Charette rozwinęli się frontem bojowym. Było tam na początek nie więcej, jak trzy kompanje żuawów. Reszta została z tyłu w asekuracji i rozwinięszy się wkrótce potem do ataku, poszła śladem pierwszych kompanji. Mobilów skierowano w prawo. Dwie kompanje wolnych strzelców 17 korpusu; kompanje strzelców z Blidy, i jedna z Tours, pod wodzą kapitana Hildebranda rozwinęły się na lewo frontu żuawów i poszły za niemi z męzną determinacją.

Za pierwszą linją tyraljerów, jechał konno p. de Sonis z adjutantem swoim, mając przy sobie pułkownika de Charette i jego ordynansa; a także porucznika Harscouet, komendant de Moncuit i de Troussures i kapitana de Ferron. Verthamon niósł sztandar. Ośmiuset ludzi nie więcej szło zuchwale na całą dywizję i na jej artylerję! Ale jenerał liczył na skutek przykładu w prze-

konaniu, że wszystkich mężstwem zapalili, i że jego 3 dywizja nadejdzie w porę. On i zuchy jego pełni byli ducha i nadziei.

Pułk owy co się sprzeniewierzył obowiązкови swemu, leżał sobie spokojnie pod zasłoną załomu gruntu. Rycerze nasi przebiegli koło niego. Jakże się to stało, że widok ich, tych ludzi nie zachęcił!...

Ta mała garstka tyraljerów posuwająca się śmiało naprzód, wydała się nieprzyjacielowi awangardą tylko. Puścił w nią gradem granatów co gęsto pękały koło żuawów szwanuku im jednak nie czyniły wielkiego.

Gdyby starzy żołnierze spokojni i w porządnym szyku żuawi posuwali się naprzód. I długo szli oni tak pod ogniem niemieckiej artylerji, lecz skoro dotarli do lasku, przyjęto ich straszliwym ogniem karabinowym, i wielkie straty ponieśli. Jeden z pierwszych padł de Verthamon, brocząc krwią swoją chorągiew co mu powierzona była. Jenerał de Sonis miał zgruchotane kolano. Komendanci de Troussures i de Moncuit, a także kapitan de Ferron padli jednocześnie. Hrabia de Bouille podniósł sztandar wypadły z ręki de Verthamon'a — a żuawi szli

naprzód — szli ciągle, bez wystrzału — potem otrzymawszy rozkaz z okrzykiem: „Niech żyje Pius IX! Niech żyje Francya!“ rzucili się do lasku na bagnety.

Atak był piorunujący. Przerażeni Prusacy rzucali się na ziemię oddając broń swoją. Insi bronili się rozpaczliwie. Rzeź była straszliwa. Pierzchnęli Niemcy nakoniec przed bohaterstwem żuawów. Uciekających ku wsi gonili tryumfujący żuawi. Wtedy to, wtedy, należało było podtrzymać ich. Ale nikt im ku pomocy nie przyszedł! Sami dotarli aż pod mury obwodowe ogrodów, pomiędzy domy napełnione Prusakami. Obydwa, de Bouille de Cazenove, de Traversay, padli podnosząc jedni po drugich chorągiew; porucznicy i kapitanowie de Boischevalier, Vetch, du Reau, de Castebois także. Koń pułkownika de Charette padł prześyty kulami—a sam on idąc do ataku z żuawami, aż pod wieś samą, został raniony.

Wzięto kilka najbliższych domów, i niektórzy oszańcowali się w nich. Lecz przerażeni zrazu huraganem napadu Prusacy powołali swoje rezerwy. Gdy nadeszły, powrócili, i ochłonawszy z przest్రachu, zaczęli ra-

chować małą liczbę atakujących. Massy nieprzyjaciół nadciągały tymczasem, oskrzydla-
jąc zewsząd żuawów. Pułkownik zakomende-
rował odwrót. Ruszono z miejsca wolnym
krokiem pod straszliwym ogniem na blizką
nader metę. Od wsi aż do lasu ziemia usła-
ną była żuawami. Te nieszczęsne szczątki od-
stępowały pomału do P a t a y unosząc swoich
rannych ilu unieść zdołali. Jeden z żuawów
sierżant de P a r m e n t i e r także raniony, wy-
niósł z boju ową sławną chorągiew Świę-
tego S e r c a zbroczoną krwią czterech ofiar,
i która stała się dla żuawów pamiątką i go-
dłem najczystsze-
go ich poświęcenia. W małej
liczbie żuawów co dotarli do L o i g n y byli
tacy, którzy przeżyć klęski nie zechcieli; i wi-
dziano, jak po wystrzelaniu wszystkich ładun-
ków swoich stanęli nieporuszeni, żeby otrzy-
mać cios śmiertelny.

Takim był ów sławny atak żuawów pod
L o i g n y przypominający I n k e r m a n i P a-
l e s t r o. Byłby i on wywalczył zwycięstwo,
żeby go choć dwa bataljony przynajmniej pod-
trzymały. Lecz cóż mogli zrobić więcej żuawi
papiezcy przeciw całej armji nieprzyjacielskiej
jak tylko dać przykład męstwa? Nie na je-

nerała spaść powinno oskarżenie, że ich w chwili stanowczej, rozpaczliwej do takiej powołał ofiary. Sam on poświęcił siebie na ich czele. Nie skutek daje sławę; i żuawi mieli dnia tego nieocenione szczęście przyczynić się według możliwości do chwały francuzkiego oręża. Niektórzy oficerowie zdolni decydować w tej materji, powiedzieli, że atakując jawnie i na długiej przestrzeni piechotę i artylerję pruską, żuawi dali przykład godny naśladowania.

Padli także śmiercią mężnych de Trussures, Piotr de Legrange, Wagner, de Quéré, Jan de Bellevue, Paweł de le Begassiere, Fernand de Ferron, dwaj Mauduit du Plessis, de Neyron, de Barry, de la Touche, de Saulnier, de Catherin, de la Brosse, du Bourg, de Suze, Houdet, de Villebois, de Pontourny—i wielu innych, co życie swoje położyli za Boga i Ojczyznę!

ROZDZIAŁ XIII.

Ruch armji loarskiej ku Paryżowi był wstrzymany pod Loigny. Niepodobna było odnowić nazajutrz walki z wojskiem tak uszkodzonym i to jeszcze przeciw połączonym armjom Wielkiego Księcia i Księcia Fryderyka Karola. Wydano zatem wojskom francuzkim rozkaz cofnięcia się na pozycje przed kilku dniami zajmowane, z tem wszakże żeby zasłonić Orleans.

Ale Prusacy odjęli możność wykonania tego planu, w dniu 3 Grudnia rozdzieliwszy armję naszą — co i spowodowało, że 15 kor-

pus pod naczelnym wodzem cofnął się ku Orleanowi, usiłując zasłonić to miasto — a 16 i 17 pod jenerałem Chanzy odstąpiły ku dolinie Loary.

Upadek ducha armji podczas tego odwrotu był tem zupełniejszy, że go wielkie poprzedziły nadzieje. Żuawi papieżcy szli przy rezerwie stanowiącej arjergardę armji.

Żuawi mieli spoczynek pierwszego dnia w Rozierés, a drugiego w Meung. Jenerał Guepratte tymczasowy dowódzca 17go korpusu, widząc ich w takim oplakanyim stanie do jakiego ich bój pod Loigny doprowadził — albowiem z pierwszego bataljonu zostało niewięcej jak 150 ludzi. Drugi batalion był prawie nie w lepszym stanie. Naczelnik 17 korpusu zauważał nader loicznie, że dla zreformowania się, 1 batalion nie mógł obejść się bez drugiego, kazał im więc maszerować pospółu do swego dépot w Poitiers. Obydwa te bataliony pod komendą le Gonidec'a wyruszyły też z Meung do Beaugency, a ztamtąd do Mer, zkąd się transportowym pociągiem do Poitiers dostały. Działo się to 7 grudnia.

Ustąpiwszy Prusakom plac boju musieliśmy zrzec się na nich także i opieki nad naszymi rannymi. Lecz oni mieli ich także nie mniej kilku tysięcy, a kraj okoliczny wycieńczony przechodem ogromnych armji był nader ubogi w środki. Same Loigny było w połowie spalone.

Tam jednak nie gdzieindziej zwalono całemi setkami w domach i stodołach bez słomy i nakrycia naszych biednych rannych umierających z głodu i zimna. Żaden by nie przeżył tych niewygód, gdyby Janville, Chartres i inne miasta nie pośpieszyły z pomocą; gdyby gorliwość i poświęcenie kilku wojskowych lekarzy nie przyczyniły się do ratunku tych nieszczęśliwych. Doktorowie dopóty pozostali na miejscu, dopóki nie urządzili ambulansu. Ludzie szlachetni, między nimi ksiądz le Bastard, nieśli gorliwą pomoc biednym żuawom opuszczonym. Większą ich część odwieziono wkrótce do miast sąsiednich Janville, Voves, Chartres i Orléans.

W tych smutnych dniach jeden pomiędzy wszystkimi zasłużył wdzięczność żuawów i wielu innych żołnierzy. Był to proboszcz wsi

Loigny ksiądz Theuré, który swoje ciasne i ubogie probostwo na krwawy szpital zamienił. Tam położono pułkownika de Charette, kapitana de Ferron, kilku żuawów i generała de Sonis. Poczciwy proboszcz pozbawiał siebie wszystkiego z radością byle swym biednym chorym dogodzić; i trzeba było słyszeć jego samego, kiedy cześć swoją dla generała słowy natchnionemi wyrażał, podziwiając tego bohatera istnie świętego, który błogosławił Boga w tej samej chwili, kiedy mu chirurg amputował nogę.

Żuawi papieżcy dawali także przykład tej cichej i pogodnej rezygnacji pośród najdotkliwszych cierpień, oraz tej nadludzkiej siły, która z wiary wypływa i która jest najpierwszą nagrodą poświęcenia. Wszyscy ci, którzy ich doglądali, mogliby przytoczyć niejednen rys męstwa ich i pobożności. Wspomnę o jednym. W ambulansie Loigny leżał prosty żuaw nazwiskiem Thebault, któremu wypadło uciąć nogę, bo mu ją kula strzaskała. Będąc sam lekarzem, pojmował on dobrze stan swój i nikt skargi jego nie słyszał. Kiedy go chirurg odwiedził dla uprzedzenia o smutnej operacji, a bojąc się przerazić chorego zwlekał

z wymówieniem ostatniego słowa, mężny Thebault rzekł doń:

— Nie róbże tyle ceremonji doktorze! — chcesz mi uciąć nogę? Wiem o tem i jestem gotów. Zrób mi wszakże jedną przysługę. Ukłęknij i zmówmy razem modlitwę — a po skończonej operacji pomodlimy się jeszcze.

I doktor spełnił prośbę pacjenta.

Według przyjętego zwyczaju, nieprzyjaciel użył chłopów do pozbierania i pogrzebania zabitych. Nikt nie mógł niestety rozpoznać żuawów i pogrzebać ich jakby należało. Dar-mo usiłowali przybyli krewni i przyjaciele odszukać w ambulansie Loigny, lub na smętarzu tych, których stratę opłakiwali. Prusacy nie przepuszczali nikogo przez swoje linje i byli tą razą nieubłagani. Daremnie jeden z naszych pułkowych kapłanów ojciec de Gerlache, nie zważając na stan własnego niezdrowia, jeździł do Niemiec, dla wyjed-nania pozwolenia zbadać ambulanse i mogiły żuawów papieżkich; jednak nie dopiął swe-go celu.

Wiele familji francuzkich nie mogły więc odszukać szczątków synów swoich chwalebnie poległych pod Loigny. W dwóch głębokich

dołach pochowano żuawów papieżkich. Leżą wszyscy razem niezapomnieni, nie, ale pogrzebani bez honorów wojskowych, aż do czasu, kiedy stanie nad nimi pomnik godnych sławy ¹⁾).

Niektórzy jednak byli szczęśliwsi. Nie mogąc sam zbadać pobożwiska dla rozpoznania żuawów, pułkownik de Charette kazał odszukać przynajmniej oficerów zabitych. Wkrótce też przyniesiono ciało komendanta de Troussures, kapitana de Gastebois, porucznika Vetch i podoficera Józefa de Vogué. Pułkownik de Charette kazał wykopać grobową jamę, gdzie ich krewni znaleźli. Chociaż raniony chciał on być świadkiem żałobnej ceremonji. Powłókł się więc cierpiący na cmentarz wiejski Loigny, gdzie tyle krwi wylanej, tyle szczątków ciał zgruchotanych świadczyły o bohaterskiej obronie tych których nazwałem, i nad mogiłą których modlił się pochylony i płakał. Bo w tej mogile spoczęli nietylko jego wierni i mężni towarzysze jak Vetch i de Vogué; spoczęli dwaj przyjaciele Ferdynand de Troussures i Albert de Gastebois, których oglądał raz ostatni.

¹⁾ Pomnik ten już wystawiono.

Przed sześcią laty, kiedy zdawało się, że posiadłości Stolicy Świętej zagwarantowane zostały przez Francję, pułk żuawów papieżkich oczekiwał w milczeniu pory działania.

Żuawi trzymali garnizony w pięknych miasteczkach koło Rzymu pośród okolicy pełnej wdzięku, jakby stworzonej naumyślnie dla beczynności i rozkoszy. A jednak nietakie było życie nasze. Garnizon żuawów był szkołą wojenną nieustannem zajętą ćwiczeniem. Tam się kształcili podoficerowie i ci, którzy dążyli do awansu. Fernand de Troussures kierował tą szkołą z głęboką świadomością rzeczy i z nieugętą surowością. Surowszym był jednak dla siebie niżeli dla drugich.

Charakter tej pięknej duszy zajaśniał w całym blasku w chwili, kiedy pod krzyżowym ogniem nieprzyjacielskich baterji żuawi ruszyli całą linją do ataku, on całując jenerała de Sonis, rzekł:

— Jenerale! o! jakżeś dobry, że nas na taką ucztę prowadzisz!

— I ledwie chwil kilka upłynęło, Bóg go z niej uniósł, żeby go wynagrodzić za tyle zasług sprawie Jego oddanych.

O kilka kroków od niego padł drugi szermierz Kościoła Albert de Gastebois, którego ten tylko by nie kochał kto nie znał. Rzadko się spotyka tyle razem przymiotów w duszy człowieka. Żywość umysłu, wzniosłość charakteru, przedziwna tkliwość serca, wszystkie te zalety posiadał jakby nie wiedząc o nich, bo je cień skromności skrywał. W salonie rozmowa jego była pełną wdzięku i dowcipu. Na stanowisku wojskowym służył surowy w pośród ubóstwiających go żuawów.

Podczas straszliwej cholery w 1867 roku w Albano widziano, z jakim poświęceniem pielęgnował cholerycznych. W częstych utarczkach z Garybaldczykami patrzył mężnie w oczy śmierci. To też kiedy pod Loigny trzema kulami porażony padał, do jednego z sierżantów Maurycego de Lavalette co go porwał w swoje objęcia rzekł:

— Powiedz mojej matce, że dziś przyjąłem komunię świętą.

Aliści ledwie te słowa domówił, przeszły go jeszcze dwie kule — i skonał.

O! ileż to łez popłynęło na tych mogiłach Loigny! Ile matek stroskanych pozostawiających

stało! Jakich synów Kościoła i Ojczyzny śmierć wyrwała z objęć nieskończonej miłości! Chciałbym ich nazwać po imieniu — lecz na co? Wszyscy godni tej świętej chorągwi pod którą walczyli, mimo różnicy wieku i charakteru, wszyscy podobni do siebie! W pokoju czy w ogniu zadziwiającej pobożności pełni błagali Boga nieustannie o palmę męczeństwa.

Kwiat naszych szeregów został skoszony w tym boju straszliwym. Francja wie, że tam padli najlepsi jej synowie, pełni dla niej miłości i poświęcenia.

ROZDZIAŁ XIV.

Wracam jeszcze do 3go batalionu w 21 korpusie, który przybył 27 Listopada z Mans do Parigné-l'Évêque, oddzieliwszy się na czas niejaki od starszych swoich kolegów — i doznał takiegoż przyjęcia w armji jak i oni. Jenerał Jaurés okazał żuawom papieżkim tyleż względu ile jenerał d'e Sonis. Przykomenderował ich natymias do swojej rezerwy, złożonej z dwóch batalionów strzelców i z kilku szwadronów wyborowych pod dowództwem p. Effantin majora 6 pułku dragonów.

Przekonany, że nie będzie atakowany, bo Prusacy napierali na Orleans, generał wyruszył w zamiarze wsparcia armji loarskiej. Wszystkie dywizje otrzymały rozkaz maszerowania przez Vendôme ku lasom Marchenoir. Rezerwa posunęła się przez Grand-Lucé i Saint-Calais.

Dnia 5 Grudnia, wszystkie dywizje 21go korpusu zajęły pozycje swoje na zachód puszczy Marchenoir, w kierunku linji od południa do północy, formując lewe skrzydło armji loarskiej, która miała rozpocząć swój marsz odwrotny. 3 batalion żuawów papieżkich łączył się tedy z tą armją, w tej samej chwili, kiedy ją dwa pierwsze opuszczały. A więc nie spotkały się z sobą.

Główna kwatera 21 korpusu pozostała w Marchenoir i od tej chwili straż przy niej jedni tylko żuawi trzymali.

Był to zaszczyt wyłączny, jaki im robił generał Jaurés; lecz przez to postradali oni inny, będąc usuniętymi od czynnego udziału w wielkich bojach, które się miały odbywać, a w których największa część dywizji 21 korpusu była zaangażowana.

Dnia 6 Grudnia zaczęła się owa straszliwa czterodniowa bitwa, w której 2 armja oparła się wszystkim siłom Wielkiego księcia i księcia Fryderyka Karola, nie utraciwszy ani jednej z pozycji swoich. Jenerał Chanzy, podniósł tam swoją cześć rycerską wysoko. Potrafił miernemi wcale wojskami, dzielną wykonać obronę.

W pierwszym dniu żuawi papieżcy slyszeli w oddaleniu armatnie strzały, lecz nie otrzymali rozkazu do marszu.

Kapitan Couessin, zastępujący miejsce komendanta batalionu, który nie lubił zostawiać swoich żuawów w bezczynności, kazał im robić ćwiczenia tyraljerskie. W czasie tego, jenerał Jaurés wyszedł z kilku oficerami z głównej kwatery i pochwalił kapitana Couesin.

— Brawo kapitanie! — rzekł doń — kto manewruje przy huku armat, ten umie używać swego czasu. Lecz zachowaj swe siły na jutro.

I rzeczywiście rezerwa 21 korkusu posunęła się nazajutrz do Lorges, żeby być gotową wejść na bojową linję. Co do żuawów, ci wrócili biwakować z głównym sztabem w Pléssis-l'Échelle.

Dnia 9 Grudnia walka była zawzięta. Prusacy atakowali ogromnie 21 korpus. Żuawi i strzelcy stali od ranka na pozycji w Lorges przy rezerwowych baterjach i mogli z poblizkiego wzgórza widzieć wszystkie przejścia wielkiej bitwy, która się przed nimi rozwijała.

Jenerał Jaurés znajdował się osobiście w Poisly, gdzie się biła jedna z jego dywizji. Ku wieczorowi gdy się coraz wyraźniej uwydatniał nacisk nieprzyjaciela na tę wioskę, przyjechał oficer do rezerwy po baterję kartaczownic, za którą pospieszyli i żuawi. Gdy się zbliżyli do Poisly, jenerał wyjechał na przeciw nich.

— A moi żuawi! — zawołał — nie będziecie się teraz uskarżać, że was na nieprzyjaciela nie posyłają!

Granaty zaczęły padać koło nich. Oczekiwali komendy do ataku.

Couessin kazał rozwinać sztandar, z haftowanym wizerunkiem Matki Boskiej.

Gdy to obaczył jenerał — rzekł:

— Piękną macie chorągiew, która wam szczęście przyniesie.

Pozbawieni świętej chorągwi kościoła, żuawi chcieli przynajmniej walczyć pod go-

dłem religijnem. Wiara dała im swoje знамя. Jedni polecili siebie opiece Jezusa, drudzy Matki Jego; wszyscy wierzyli, że z nieba tylko mogli się spodziewać pomocy.

Lecz żuawi nie posunęli się dalej. Nieprzyjaciel został odparty bez nich. Wrócili tedy na swoje biwaki pod Lorges, wraz z baterją swoją.

Nazajutrz byli oni także skazani na smutną rolę bezczynnych widzów batalji, która ugruntowała stanowczo zwycięstwo Niemców. Armja loarska (2) zaczęła swój odwrót prawem skrzydłem. Co do 21 korpusu, ten nie zszedł z pozycji swoich aż 12 Grudnia, kierując się na Fréteval. Wilją dnia tego, kapitan de Falaiseau ¹⁾ z górską baterją swoją przybył z Poitiers i połączył się z 3 bataljonem.

Bolesnem było dla żuawów uczestniczyć w tym odwrocie, nie dawszy ani jednego wystrzału. Skarżyli się generałowi Jaurés, który im na to odpowiedział:

— Jesteście gwardją moją. Pójdziecie na nieprzyjaciela, kiedy pójdę i ja z moim sztabem.

1) Kapitan artylerji papieżkiej.



Wszak muszę zachować na moment krytyczny żołnierzy, na których najwięcej liczyć mogę.

Myliłby się bardzo, ktoby myślał, że ten wyłączny przywilej 3 batalionu w 21 korpusie obudzał zawiść innych pułków; wcale nie. Żuawi papieżcy żyli w najlepszych stosunkach z wojskami, z temi zwłaszcza, co najlepiej swój obowiązek dopełniały. Wszyscy oficerowie sprzyjali im za przykład karności jaki dawali i zdarzało się nieraz żuawom słyszeć żołnierzy, kiedy mijając ich mówili do siebie:

— Ci ludzie mają w sobie coś takiego, czego inni nie mają.

Szlachetna to zaiste i poruszająca rzecz ta karność wojskowa, gdy się nie opiera na obawie kary; gdy jest miłowaną przez tych, co jej przestrzegają; a natchniona przez tych, co mają prawo wymagać jej. Często bywało w Rzymie i we Francyi, w garnizonie, czy podczas kampanji, zwyczaje nasze budziły podziw wojsk, co żyły z nami pospołu. Patrzyły jak na rzecz niezwykłą na koleżeństwo poufne naszych oficerów z podwładnymi, z którymi obcowali i wiedli rozmowę, jakby zapominając stopni swoich, o których młodszy winni byli tylko pamiętać. Popu-

larność takowa nie przyczyniła jednak najmniejszego szwanku dyscyplinie. Ona tylko robiła posłuszeństwo przyjemniejszym i łatwiejszym. Był to hołd oddany równości wszystkich ochotników w ich poświęceniu się jednej i tejże sprawie, i jestem daleki od twierdzenia, że przykład ten dałby się naśladować gdzieindziej bez niebezpieczeństwa. Jedyne wnioski jakie się z niego wysnuć daje jest ten, że łatwiej daleko kierować wojskiem, które zagrzewa wiara chrześcijańska, i że wiara ta podnosi rycerskiego ducha.

Żuawi papieżcy byli jeszcze świadkami boju pod Fréteval, nie uczestnicząc w nim wszakże. Poczem rozpoczęli znowu swoje smutne marsze ku zachodowi, przy odległych wystrzałach armatnich.

3ci batalion przybył d. 20 Grudnia do wsi Sargé, o półtorej mili na północ od Mans, i pozostał tam przy głównej kwaterze.

2ga armja loarska zajęła pozycje około Mans, zakreślając na wschód tego miasta obszerne półkole, którego lewe skrzydło formował 21 korpus.

ROZDZIAŁ XV.

Dnia 6 Stycznia obie armje niemieckie, wielkiego księcia Meklemburskiego, i księcia Frydryka-Karola, ruszywszy z miejsca skombinowanym ruchem ku zachodowi (pierwszy na prawo, drugi w lewo), zaczęli przec na przednie straże armji loarskiej.

Jawnem było, że Prusacy kusili się o Mans.

Chcieli już rozprawić się ostatecznie z armją, która dążyła ciągle do posiłkowania stolicy, i woleli atakować ją na dalszej mecie, niżeli oczekiwać aż się zbliży, a to dla zabez-

pieczenia sobie możności wydania drugiej bitwy Francuzom pod samemi już murami Paryża, gdyby się pierwsza nie udała.

Według tejże myśli, generał Chanzy nie chciał także oczekiwać Niemców, i wydał rozkaz atakowania głowy ich kolumn, gdzieby się nie okazały. Lecz manewry te nie osiągnęły celu. Francuzkie awangardy zostały kolejno odparte, i 9 Stycznia wieczorem 2 armja zmuszoną była pozostać na pozycjach, które broniły przystępu do Mans. Z prawej strony był 16 korpus, w centrze 17, a na lewo 11.

W tymże dniu 1 bataljon żuawów papieżkich, otrzymał rozkaz generała Jaurés, opuścić Mans, i pociągnąć na nocleg do Ivre l'Evéque, gdzie się miał złączyć naza jutrz z rezerwą 21 korpusu. Ivre, jest to wieś znaczna na prawym brzegu Huisn'y, o pięć kilometrów niemal od Mans. 1 bataljon żuawów współ z bataljonem Côtes-du-Nord, który się z nim od batalji pod Loigny nie rozłączył, przybył do Ivre i zajął kwaterę w zamku Arches na lewym brzegu Huisn'y. Uszczuplony skutkiem chorób

panujących w armji, miał we froncie nie więcej jak 430 ludzi.

Nazajutrz rano 1 bataljon żuawów wstąpił do Ivré, i czekał tam na przybycie 3go bataljonu, który opuścił swoje kwatery w Sargé z jenerałem Jaurés, i spieszył zająć pozycję z lewej strony placu bitwy. Ale jenerał Gougéard, komendant 4 dywizji 21 korpusu, któremu rozkazano bronić Huisn'y przed Ivré wspólnie z 2 dywizją 17 korpusu skarżył się jenerałowi Jaurés że mu odjęto najlepsze wojska dla wzmocnienia dywizji Rousseau manewrującej na skrajnej lewej stronie. Prosił zatem jenerała Jaurés, żeby mu zostawił tymczasowo 1 bataljon żuawów papieżkich, a także bataljon Côtes-du-Nord. Jenerał zgodził się na tę prośbę jego i dwa bataljony żuawów znowu zostały rozdzielone z sobą, w sam dzień bitwy. Prawdziwie myśleć można, że podczas całej tej kampanji los jakiś nieprzewyciężony skazał żuawów papieżkich być zawsze rozdzielonymi i walczyć małemi oddziałami, kiedy walcząc razem wszyscy, mogliby niezrównanie większe przynieść korzyści. 3 bataljon, poszedł więc

sam jeden z generałem Jaurés, do Montfort, a 1 pozostał w Ivre-l'Évêque.

Jenerał Chanzy, rozkazał na 10 stycznia, te same skombinowane ruchy wojsk swoich, które się dnia poprzedzającego nie udały. Gdyby miały za podstawę dobre pozycje i były zgodniej wykonane, ruchy te udałyby się były niezawodnie. Ale dywizja Paris (2, 17 korpusu) posłana w pomoc dywizji Gougeard wiodącej atak drogą paryzką i Saint-Calais, wróciwszy wielce uszkodzoną wilią dnia tego z bitwy pod Ardenay, nie ruszyła się nawet z płaszczyzny Auvours, której obronę jej powierzono. Jenerał Gougeard nie zrażając się tem, przedsięwziął ruch zaczepny po drodze Saint-Calais, który do niczego nie posłużył, bo wspartym nie był. Nieruchomość dywizji Paris, była przyczyną, że nieprzyjaciel zajął wieś Changé, pomimo energicznej obrony pułkownika Ribell.

Około godziny 11 jenerał Gougeard przeprowadził się przez Huisn'ę. Miał z sobą dwa bataljony mobilów bretońskich, żuawów papieżkich, oddział linjowy, dwa działa 4 kalibrowe, dwie kartaczońnice amerykańskie,

i pluton jazdy dla awangardy. Żuawi szli na czele kolumny. Jenerał pociągnął drogą Saint-Calais. O pół godziny od punktu przecięcia drogi paryzkiej, odkryto Prusaków, skutkiem czego żuawi papiezcy otrzymali rozkaz rozwinać się w szyku bojowym, na dystans kolumny, i czekać nieprzyjaciela.

Po obu stronach drogi ciągnęły się wielkie sosnowe lasy. Żuawi rozsypali się w nich tyraljerami; dwie kompanje (1, 2) na prawo, dwie drugie (3 i 4) na lewo; dwie ostatnie zostały w assekuracji na brzegu drogi.

Jenerał Gougear d kazał postawić swe działa na baterji ponad drogą; przygotował resztę wojska swego do boju i czekał.

Wkrótce ukazała się głowa kolumny niemieckiej na drodze, która w tem miejscu idzie prosto. Przyjęto ją kartaczownicami — ona odpowiedziała armatami. Jednocześnie linja żuawów papiezkich rozwinięta na prawo od drogi rozpoczęła ogień. Lewe jej skrzydło poza drogą nie widząc nieprzyjaciela, nie strzelało. A do tego było ono rozdzielone od swych kolegów działających z prawej strony bojem artylerji, który rozcinał na dwie połowy linję tyraljerów. Jenerał postrzegł, że miał

do czynienia z siłami przeważnemi, zwłaszcza artylerją. Ponieważ droga paryzka nie była obsadzoną, mógł więc być obkoczonym z lewej — nie chcąc więc narażać się na niebezpieczeństwo wdając się w bój nierówny, postrzelawszy z armat niespełna pół godziny wprzągnął konie do dział i zaczął się cofać. Kazano także żuawom papieżkim ustępywać.

Jedne tylko dwie kompanje żuawów prawej strony, do których przyłączyły się podczas akcji kompanje w assekuracji pozostałe, widziały nieprzyjaciela. Dowodził nimi komendant de Moncuit. Stosownie do rozkazu jenerała cofnęły się na prawo w kierunku Ivre-l'Evêque.

Na nieszczęście oficer posłany z rozkazem odwrotu do komendanta żuawów, nie spostrzegł kompanji rozwiniętych w lesie, na lewo od drogi, komendant zaś myślał, że były uwiadomione o rozkazie jenerała, i że następnie złączą się w marszu. Stało się jednak inaczej. Nie wiedząc o niczem te dwie kompanje, pozostały nieruchome na linii tyraljerów, oczekując nadejścia nieprzyjaciela, i nie myśląc nawet o odwrocie. Przy nich była jeszcze jedna kompanja należąca do 25 pułku

linjowego, z dywizji Gougéard, którą im posłał generał na wstępie walki, i która biła się przy nich.

Artyllerja pruska ustawiona koło fermy Saint-Hubert ostrzeliwała drogę podłużnie i ściagała swemi granatami odwrót generała Gougéard. Piechota posunęła się naprzód, a lewe ich skrzydło, widząc oddalających się tyraljerów komendanta de Moncuit, zakreśliło ruch obchodowy na prawo. Oddział francuzki pozostawszy sam jeden na pozycji, ujrzał się nagle w obec nieprzyjaciela, który się gotował atakować go z frontu i obejść. Z dwóch kompanji żuawów papieżkich jedną dowodził kapitan de Fabry, drugą porucznik Benoist. Kompanja linjowa miała energicznego oficera na czele, który obiecał p. Fabry, że go nie odstąpi i zostanie pod jego rozkazami.

Drobny oddziałek oczekiwał nieustraszenie ataku nieprzyjaciela, a gdy się przybliżył przyjął go żywym karabinowym ogniem. Niemcy dwadzieścia razy liczniejsi, odpowiedzieli straszliwemi salwy, które raziły żuawów wzdłuż i z frontu, a jednak poruszyć z miejsca nie zdołały.

Ten gwałtowny bój trwał prawie pół godziny i był krwawym dla stron obu.

Kapitan de Fabry, przekonawszy się na koniec, że się od nikogo nie mógł spodziewać pomocy, i widząc się zupełnie prawie otoczonym przez linje nieprzyjacielskie, musiał dać hasło do odwrotu lewym flankiem, trzymając się lasu. Przebył tedy las ów przezszywany na wylot granatami nieprzyjacielskimi, przedarł się przez dwa niemieckie korpusy, i dotarł do Ivre-l'Éveque wieczorem na czele swoich dwóch kompanji, które straciły dnia tego z frontu 34 swoich rannych i zabitych.

Bitwa pod Saint-Hubert, na nic nie posłużyła niestety! — Lecz wielką to była sławą zaiste dla drobnego hufca 250 ludzi, że się opierał całej brygadzie.

W kilka dni potem dowiedziano się o pruskiego oficera, że w tej jednej utarczce nieprzyjaciel stracił 150 żołnierzy i kilku oficerów.

Dzieło niemieckie o wojnie francuzko-niemieckiej przez Rüstowa, tak się odzywa o tej bitwie:

„12 brygada (Bismark) przybyła po południu do Saint-Hubert, przez la Coquilliére. Spotkała tam Francuzów, i wciągnięta była w długą walkę w lesie...”

Ta długa walka, w którą wciągnięta była pruska brygada, był to opór 250 ludzi!

Żuawi papieżcy i mobile Côtes-du-Nord, otrzymali tegoż wieczora rozkaz od generała Gougeard, strzedz mostu na Huisn'y na drodze zagrożonej przez nieprzyjaciela.

ROZDZIAŁ XVI.

.... Pomimo strat poniesionych wilją, armja francuzka zajmowała 11 Stycznia tak mocne pozycje około Mans, że mogła być pewną powodzenia. I rzeczywiście nie zważając na rozmaite zmienności walki, zwycięstwo zostało przy niej do wieczora. Jej prawy flank (korpusy 16 i 17) bronił całego rzędu pozycji na południo-wschód od Mans, zaczawszy od Sarthy, aż do Ivre-l'Evêque; lewy flank (21 korpus) zakrywał stronę północno-wschodnią, a w centrze broniły wyżyny Auvours i Ivre-l'Evêque, dywizja Paris

(2, 17 korpusu) oraz dywizja Gougeard pod głównem dowództwem jenerała Colomb. Trzy korpusy pruskie pod osobistą komendą księcia Frydryka Karola, manewrowały przeciwko linjom francuzkim. Bitwa wszczęła się od ranka gwałtowną kanonadą, która wypadła dość pomyślnie dla Francuzów, albowiem baterje ich górowały pozycją swoją nad nieprzyjacielskimi. Lecz Niemcy nie dali się tem zrazić. Z większą energją jeszcze poprowadzili atak, jakby chcąc skończyć odrazu. Piechota ich uderzyła po kilka razy na pozycje nasze lewego i prawego skrzydła, lecz nadaremnie. W centrum lepiej się im powiodło.

Zmusiwszy wojska dywizji Gougeard ustąpić ze wsi Champagné, kolumny nieprzyjacielskie wdarły się na spadzistości wyżyny Auvours, i zaczęły wypierać ztamtąd dywizję Paris, której była powierzona obrona tego miejsca.

Wyżyna Auvours jest kluczem pozycji Mans. Panująca nad wszystkimi wyniosłościami sąsiednimi, i zabezpieczona z trzech stron korytem Huisn'y, wyżyna podłużnego kształtu i obszerna, dominuje na daleką metę

żelaznej drodze paryzkiej, i wszystkim drogom prowadzącym do Mans od zachodu. Francuzi wzniesli tam wał dla swoich baterji i wykopali transzée dla zabezpieczenia tyraljerów.

Jednym niedostatkiem tej wybornej pozycji było to, że wszędzie prawie obwarowana stromemi pochyłościami lasem okrytymi, łatwo jest dostępną od wsi Champagné, w tym właśnie punkcie, na który miał nieprzyjaciel uderzyć.

Wsparta swemi trzema bataljonami dywizyjnymi, i dwoma rezerwy 17 korpusu, dywizja Paris nie była jednak w sile do obronienia tej obszernej wyżyny i to tem bardziej, że w bojach poprzednich wiele ludzi utraciła. Naciśnięta z frontu potężnymi kolumny nieprzyjaciela, przeszywana z boku na wylot granatami pruskich baterji, dywizja ta ustępując stopniowo przed Niemcami, wydała im nakoniec w ręce ową wyżynę. Stanawszy na niej mocną nogą i utwierdziwszy się przy pomocy przybywających co chwila posiłków, Niemcy wyparli zupełnie Francuzów ku Ivre-l'Évêque. Działo się to o godzinie 3.

Żuawi papieżcy, których zmienili na straży mostu Ivre wolni strzelcy z Fontainebleau, czekali tymczasem we wsi ustawivszy broń w kozły, i nie myśląc wcale być w ogniu dnia tego, bo na cóż miano ich potrzebować kiedy rzeczy szły pomyślnie. Znaczna część dywizji Gougard była rozproszoną w pobliżu dla strzeżenia brzegów Huisn'y; sam zaś generał znajdował się w Ivre.

Była godzina 3 kiedy generał powołał 1 bataljon do siebie do Montfort i miał już właśnie wystąpić do marszu, gdy się nagle zaczęły ukazywać tłumy żołnierstwa dywizji Paris bezładnie ustępującego do Ivre, która to osada leży u spodu wyżyny Auvours, z drugiej strony Huisn'y. Smutny widok przedstawiała wtedy dywizja Paris. Zbiegała ona pierzchając w nieporządku z pochyłości Auvours. Piechota jej i armaty stłoczone w tłum uciekający sromotnie, sparły się u małego mostka usiłując dostać się do Ivre. Widząc to generał Colomb, rozkazał generałowi Gougard zgromadzić ile się da żołnierzy, i wyrwać koniecznie z rąk nieprzyjaciela wyżynę Auvours.

Od strony Ivre pozycja ta jest najmniej dostępną. Pochyłości jej są nader strome, gęsto zarosłe u spodu, poprzecinane kamieniami przegrody gruntów uprawnych; pełne drzew, płotów i krzaków. A na tych przeszkodach miejscowych leżała gęsta warstwa śniegu, okrywając wklęsłości, rowy i czyniąc niepodobnym prawie dostęp tych wyżyn. Masy pruskiej piechoty strzegły szczytu tej pozycji, ukryte pomiędzy zagrodami, domami i obronnemi wały, które usypali Francuzi, i które miały tą razą służyć przeciw nim samym. Bitwa była przegrana, jeżeli się nie uda odebrać pozycji.

Na rozkaz generała Gougard, żuawi papiezcy przerznęli się lewem skrzydłem swoim przez tłumy uciekających i przebyli mostek. W ślad za nimi, poszły dwie kompanje bataljonu Cotes-du-Nord. Generał Gougard z całą energją jakiej takie niebezpieczeństwo wymagało, usiłował zatrzymać pierzchającą dywizję Paris, pociągnąć ją za sobą, lecz go tylko pół bataljona mobilów Gers'u posłuchało. Drżący od oburzenia, przybiegł do żuawów i rzekł:

— Panowie! Idźmy za Boga! i Ojczyznę! Ratunek armji wymaga!

Żuawi rozwinęli się w pierwszej linji. Mobile za nimi. I ten to hufiec słaby ze swoim jenerałem na czele, pchnął się naprzód szybkim krokiem na zdobycie wyżyn Auvours.

Wdarli się na pochyłości pod ogniem Prusaków, nie zatrzymując się dla wystrzału w odwet. Podczas marszu przyłączyło się do nich kilkudziesięciu żołnierzy rozmaitej broni z dywizji Paris, i między innymi, jedna kompanja i bataljonu strzelców pozostałych w ukryciu wydmy ziemnej, z komendantem swoim Tarillone. W miarę tego jak postępowali atakujący, wzrastał się ogień nieprzyjaciela, a gdy się zbliżyli do szczytu, bój stał się straszliwym.

Sześć kul ugodziło konia jenerała Gougard. Żuawów prowadzili komendant de Moncuit, śmiały i niewzruszony, i adjutant-major Lallemand, oficer rzadkiej przytomności umysłu i prawdziwie świetny w dniu walki. Linja atakujących rozciągnęła się szeroko dla objęcia frontu pozycji, i odbywała mnogie cząstkowe boje na punktach przeszkód

któremi grunt był najeżony. Lewe skrzydło usiłowało nadaremnie przekroczyć parapety wielkiej reduty zajętej przez nieprzyjaciela — lecz centr żuawów potrafił zdobyć pozycję. Tam to, poza domami na płaskości zasadzonej drzewami, na szczycie pozycji, walka była najzawziętszą. Przez całą godzinę szarpano siebie wzajemnie, kłóto i siekano tysiącnymi ciosy. Niemcy ukrywali się w gęstwinie zarosli i za naspą urządzoną dla tyraljerów, z kąd strzelali do żuawów w upor idących na bagnety. Tam poległo ich wielu, a między nimi i kilku oficerów mianowicie: kapitan du Bourg, jeden z najstarszych i najlepszych żołnierzy; kapitan Belon weteran z pod Castelfidardo; kapitan de Bellevue, co się okrył sławą pod Cercotes i pod Loigny; wszyscy trzej byli porażeni odrazu w pierwszych szeregach. Widziano tam zadziwiające czyny męstwa. Jeden kapłan ksiądz Fouqueray, którego brat był żuawem, znajdował się przy bataljonie w zastępstwie wielobnego ojca Doussot. Usiłowano zatrzymać go z tyłu w dali od pola walki, lecz skoro tylko postrzegł padających żuawów, pobiegł naprzód pod gradem kul, i był zabity

na poległym kapitanie de Bellevue, którego dysponował na śmierć.

Porucznik Garnier, którego cała sekcja żuawów poległa, zwoływał rozprószonych mobilów i strzelców, i kiedy ich wiódł na nieprzyjaciela, padł z przeszytą piersią.

Nad wieczorem żuawi zostali nakoniec panami pozycji i nieprzyjaciel ustępywał przed nimi. Starał się wszakże obejść ich na prawo, do czego dawała mu możność większa stromość wyżyny w tem miejscu. Od samego zaczęcia bitwy kompanja porucznika B é n o i s t stała tam w obserwacyi—lecz pomimo energii jej komendanta, i usiłowań męztwa, utrzymać nieprzyjaciela nie potrafiła, bo sama wilją wiele ucierpiała. B é n o i s t był raniony, wielu z jego komendy padło i Niemcy zaczęli brać górę. Żuawi walczący jeszcze na szczycie pozycji, wielce się zdziwili, gdy kule poczęły uderzać w nich z prawej strony. Myśleli, że to było skutkiem jakiegoś błędu wojsk posiłkowych. Komendant de Moncuit posłał tedy kapitana L a l l e m a n d z kilku ludźmi dla przekonania się o stanie rzeczy. Noc zapadała. Kapitan L a l l e m a n d napotkawszy w pewnej odległości oddział strzelający w jego

stronę, nie mógł z powodu ciemności rozpoznać jego mundurów. Myślał, że to byli mobile, i krzyknął:

— Nie strzelajcie! — Jesteśmy Francuzi!

— I my także! — odpowiedział głos z oddziału.

— Jakiego pułku?

— 51 marszowego.

Lallemand zbliżył się — lecz mu zawołano o kilka kroków:

— Poddaj się!

— Nigdy! — rzekł kapitan poznawszy nieprzyjaciela.

Salwa strzałów przeleciała koło niego, ale go ominęła.

Z założonemi rękami na piersi, spojrzawszy on w oczy Prusakom i krzyknął:

— Niezręczni!

Poczem zwróciwszy się nazad, jakby miał cały bataljon za sobą, zakomenderował głośno:

— Ognia!

Żuawi dali ognia — a nieprzyjaciel pomieszany ustąpił.

Wyżyna Auvours była więc odebraną. Żuawi papiezcy zajęli w centrze wszystkie

panujące pozycje, a z innych oddalali się Niemcy dążąc do Champagné. Pierwszy bataljon żuawów przywrócił więc armji zwycięztwo, które jej jedna chwila wydrzeć miała.

Zwycięztwo dnia tego zdawało się decydującem i opowiadają, że książę Frydryk-Karol straciwszy nadzieję przełamania linii Mans, nakazał tegoż wieczora swojej armji ogólny odwrót. Czemuż stało się tak po dwóch godzinach, że zamęt jakiś fatalny, przestraszony paniczny bretońskich mobilów wydały ważną pozycję la Tuilerie w ręce nieprzyjaciela w tej samej chwili, kiedy odstąpić zamysłał? Było to jedno z tych niefortunnych zdarzeń, jakie od samego początku tej wojny podkopywały pomyślność Francji!

Lecz, jeżeli zwycięztwo 11 Stycznia stało się bezkorzystnem nazajutrz, było to zawsze zwycięztwo, i wiedziała armja, komu się cześć onego należała. Nad wieczór, generał Jaurés przybył do Montfort i odwiedził 3 bataljon żuawów stojący w rezerwie przy baterjach. Wstąpiwszy do grona zebranych oficerów, rzekł:

— Panowie! — Wasz 1 bataljon bił się dzielnie pod Ivre. Straty jego były wielkie,

to prawda, lecz i zasługa jego w obec Francji wielka. — Nie użalajcie się na bezczynność waszą. — Przyjdzie kolej i na was!

Uszedłszy kilka kroków z p. Couëssin generał powtórzył:

— Wasz 1 bataljon świetnie się odznaczył. Gdyby nie on, Prusacy byłiby już może o tej porze w Mans.

Do tego przychylnego świadectwa p. de Jaurés, pozwolę sobie dodać niemniej pochlebne generała Chanzy. Mówiąc o 1 bataljonie zawołał:

— Żuawi papieżcy okazali się bohaterami!

Jenerał Gougéard, który prowadził atak na pozycję Auvours ze zwykłą sobie nieustraszonnością pełną rycerskiego zapału, pisał o żuawach papieżkich: „że będzie to dlań wieczną chlubą, że miał pod swoją komen-dą takich ludzi.“

1 bataljon żuawów papieżkich pozostał na placu, który zdobył w boju i pokrył swemi poległymi i rannymi. Około godziny 9tej nadeszły wojska i zmieniły go. Znękani trudem żuawi powrócili do Ivre i rozłożyli się biwakiem przede wsią. Niestety połowa tylko

powróciła tych, co z niej przed kilku godzinami wyszli! Oprócz wyż pomienionych oficerów, otrzymali rany porucznicy: le Bailly i Bonvalet. Pomędzy zabitymi byli: Józef de Vaubernier, Feligonde mężny i miły, Lemarié bretończyk, który przyniósł był do nas do Rzymu surowe cechy swej heroicznej rasy; Pelletier, de Geoffre i dwaj Fockedej, bracia prześliczni, którzy zostawili u nas tak czystą pamięć swego męstwa i swej bogobojności. Mobile Côtes-du-Nord stracili także połowę swego kompletu i pięciu oficerów. Ranni z pod Auvours byli szczęśliwsi od rannych z pod Loigny. Też nocą byli przewiezieni do Mans. Tam ich przyjęli przyjaciele do swoich domów i pielęgowali troskliwie. Nie mogę się powstrzymać od nazwania niektórych z tych czcigodnych przyjaciół cierpiącej ludzkości: p. Goujon i Veillard, a zwłaszcza wielebnego ojca Dulac przełożonego Jezuitów takiej miłosiernej życzliwości dla naszych żołnierzy. Największą część umarłych pogrzebano na cmentarzach Ivre i Champagné. Znaleziono ich tam w późniejszym czasie i pomieszczono w grobowcu klasztoru Jezuitów, Świętego Krzyża

w Mans. Nazajutrz po bitwie, pruscy oficerowie weszli do tego klasztoru i widzieli w sali ciała trzech kapitanów żuawów, wilją poległych. Na ten widok odkryli głowy z uszanowaniem oddając hołd męztwu tych żołnierzy Papieża, których nazwisko nawet nie było im znane!

ROZDZIAŁ XVII.

Dnia 12 Stycznia o godz. 4 zrana szczątki 1 bataljonu żuawów, nie odpocząwszy dostatecznie po trudach dnia poprzedzającego, weszły na Auvours dla straży baterji, dywizji Gougéard. Wiele atoli zaszło zmian od dnia wczorajszego. Wyżyny la Tuillerie zdobyte zeszłej nocy na mobilach, były w ręku Niemców, którzy z tej pozycji (na południowachód Mans) mogli ciskać swoje granaty na miasto. Od samego ranka cała armja była w rejteradzie w celu przejścia Sarthy w różnych punktach. Była godz. 9 kiedy opusz-

czano pozycję Auvours. Wszystkie drogi idące na wschód zawałone były parkami i artylerją. Jenerał z obawy, żeby nieprzyjaciel nie przeszkodził temu odwrotowi zajął wieś Ivre silnym oddziałem piechoty. Byli w nim także i żuawi papiezcy. Ale Prusacy, czy nieświadomi ruchów naszych, czy znużeni po tylu bitwach, ograniczyli się tem tylko, że weszli do Mans od przedmieścia Pontlieue. Armja nasza mogła więc przejść Sarthę spokojnie.

O południu żuawi papiezcy wymaszerowali z Ivre do Neuville po drodze okrytej śniegiem i gołoledzią. Eskortowali dwie baterje. O godzinie 8 przebyli Sarthę w Neuville, a o 11 wieczór spotkali się w Guerche z 3 bataljonem.

Ten ostatni nie był w czynności; ale mało brakło, żeby nie został wciągnięty do rozprawy. Wilją dnia tego, o godz. 7 wieczorem, wysłał go jenerał Jaurés do Sainte-Corneille, któremu zagrażał nieprzyjaciel. Nazajutrz rano dywizja Collin zamieniła 3ci batalion, który pociągnął do Sévigné l'Éveque. Potem dywizja była atakowaną i odpartą aż do punktu przecięcia dróg Sévi-

gné, Mans, Bonnetable. Na szczęście stała tam mocna dywizja Villeneuve, która stawiała opór aż do nocy i wyrzuciła z frontu 5,000 Prusaków.

Podczas tej bitwy był jeden moment tak wielce krytyczny, że generał Jaurés podjechał do p. Couessin, komendanta żuawów papieżkich i rzekł doń:

— Nadeszła chwila. Jeżeli się poddamy — zginiemy! Zajmij pozycję koło wsi i broń się do upadłego!

3ci batalion rozwinął się o pół mili za dywizją Villeneuve, przed Savigné i czekał. Ale generał Villeneuve, oparł się stanowczo parciu nieprzyjaciela — i odwrót armji pociągnął dalej spokojnie.

W Guerche nastąpiło połączenie obu bataljonów, smutne jak zwykle w podobnych razach, kiedy się szuka nadaremnie w szeregach starych kolegów i przyjaciół. Generał Jaurés wcielił do swojej rezerwy 1 batalion i mobilów Cotes - du - Nord. O godzinie 3 zrana rozpoczęto znowu ruch na wschód, żeby stanąć przed nocą w Sille-le-Guil-laume.

Kto widział tę rejteradę, pamięta zapewne całą jej okropność. Obawiając się być odciętym, generał Jaurés szedł otoczony żuawami papieżkimi, którym wieszował ich wytrwałości w takiej niedoli i trudzie, i których stawiał za wzór znękanym wojskom.

Pluton flankierów ¹⁾ zostający przy 21 korpusie, oddał podczas tej rejterady najważniejsze usługi. Najchętniej używał generał Jaurés tych nieustraszonych jeźdźców do rozwożenia rozkazów po drogach niebezpiecznych i śliskich od gołoledzi. Najwięcej mówiono o jednym z podoficerów hrabi de Givervilles, jako o najdzielniejszym. Nikt lepiej od niego nie potrafił zmylić nieprzyjacielskich straży wałęsających się po kraju.

Dnia 14 odpoczęto trochę w Sillé-le-Guillaume; ale nazajutrz pokazali się Prusacy i bitwa się rozpoczęła.

Dywizje Rousseau i Villeneuve stały dzielny opór od rana do wieczora i w kilku punktach pobiły nieprzyjaciela.

Pobici pod Sillé, Prusacy zaniechali pogoni i 21 korpus przybył do Mayenne, gdzie i żuawi zostali przy nim.

¹⁾ Uformowany z kawalerzystów papieżkich Francuzów.

Gdy się to działo, pułkownik de Charette awansowany na generała brygady, wyszedł 14 Stycznia z Poitiers z batalionem żuawów świeżo przeformowanym i przybył do Rennes, gdzie się miała zebrać cała legja. Przygotowano w dworcu kolei żelaznej wspólną zakąskę dla oficerów i żuawów 2 batalionu, podczas której uczczono pana de Charette'a należnym jemu hołdem.

Jenerał Jaurés nalegał na p. de Charette'a, żeby mu zostawił 3 batalion żuawów papieżkich. Jenerał de Charette odmówił stanowczo dając za przyczynę rozkazy Ministra. P. Jaurés musiał więc poprzestać na tem. Przed odejściem żuawów odbył przegląd w Mayenne i wyraził żuawom podziękowanie swoje, a razem i żał, że się z nimi rozstawał, mówiąc że był zmuszonym puścić ich.

Poczem ogłosił rozkaz dzienny do żuawów papieżkich następujący:

ROZKAZ DZIENNY.

Mayenne dnia 27 Stycznia.

Oficerowie, podoficerowie, żołnierze
Ochotników Zachodu (Żuawi
papieżcy).

Rozkaz ministra wojny odbiera 21 korpusowi 3 batalion.

„Rozłączając się z wami z najgłębszym żalem, dziękuje wam za męstwo wasze, za karność i poświęcenie, któregoście stale dowodzili.

„W bitwach naszych, a także i w marszach, jedne tylko miałem dla was pochwały. Dla 21 korpusu byliście razem przykładem i siłą.

„Unieście w inne strony te szlachetne przymioty, które imię wasze podniosły tak wysoko, lecz mam nadzieję, że zachowacie pamięć przywiązania i pobratymstwa broni z naczelnikiem, który wam przewodził, a także i z żołnierzami, obok których walczyliście pospołu.

Niechaj was Bóg strzeże i prowadzi do pomyślności!.

Jenerał głównodowodzący 21 korpusem
Jaurés.

W oryginale fracuzkim brzmi jak następuje:

ORDRE DU JOUR.

Mayenne, 27 janvier.

Officiers, sous-officiers et soldats

des Volontaires de l'Ouest,
(Les Zouaves Pontificaux).

„Un ordre du ministre de la guerre enleva au 21 corps le 3^e bataillon.

„En me séparant de vous avec le plus profond regret, je tiens à vous remercier du courage, de la discipline et du dévouement dont vous avez toujours fait preuve.

„Dans nos combats comme dans nos marches je n'ai jamais eu que des éloges à vous adresser, et vous étiez pour le 21 corps un exemple aussi bien qu'une force.

„Vous porterez ailleurs les nobles qualités qui ont élevé si haut votre réputation: mais vous conserverez, je l'espère, un souvenir d'affection et de confraternité d'armes pour le chef qui vous a commandés et pour les soldats avec lesquels vous avez combattu.

Que Dieu vous garde et vous donne le succès!

Le général commandant en Chef le 21 corps

„Jaurés.“

*

Dnia 27 Stycznia trzy bataliony żuawów połączyły się nakoniec w Rennes. i zreformował się na nowo drugi raz. Wakanse oficerskie w kadrach napełniły się nową promocją ministra wojny.

Dnia 24 Stycznia dekret ministerjalny konferował generałowi de Charette dowództwo dywizji, liczącej pod bronią 14,000. Jądrem onej były bataliony żuawów papieżkich.

Dnia 15 Lutego dywizja de Charette'a opuściła Rennes i pociągnęła na linię Mayenny, dla zajęcia pozycji których jej obronę powierzono.

W Mayenne stanęła główna kwatera, a przy niej cała legja żuawów. Dywizja rozłożyła się około miasta, częścią na biwakach, częścią na kwaterach w najważniejszych punktach.

Dnia 26 Lutego, kiedy zawieszenie broni przedłużonem zostało, dywizja cofnęła się ku Fougères, gdzie się mieściła główna kwatera. Dywizja zajęła obronne pozycje na północ i południe Fougères, trzymając w ręku wszystkie drogi od Ernée do Saint-Hilaire.

Po wkroczeniu Prusaków do Paryża i zawarciu pokoju, dywizja jenerała de Charet-

te'a została rozwiązana. Jedni tylko żuawi zostali na stopie wojennej, stanęli garnizorem w Rennes i nie brali żadnego udziału w krwawych bitwach między Wersalczykami a komuną. Jenerał de Charette był z nimi. Gdy armja wersalska oczyściła Paryż od komuny, i gdy się następnie pokój zaczął ustalać we Francji, przybył do Rennes z ramienia ministra wojny, jenerał de Place dla porozumienia się z p. de Charette. Proponował mu przeorganizowanie żuawów papieżkich na pułk regularny francuzki, w nagrodę zasług w tej wojnie położonych. Ze strony rządu było to nader pochlebnią propozycją. Lecz jenerał de Charette nie chciał rozwiązać tej ważnej kwestji bez poprzedniego naradzenia się z oficerami. Zebrał więc ich i zakomunikował im propozycję ministra. Nie zaniechał jednak przypomnieć im, że żuawi papieżcy poświęcili się obronie praw Stolicy Apostolskiej, i że następnie powinni zachować zupełną niepodległość swoją, żeby móżd podnieść znowu swój sztandar, kiedy tego polityczne okoliczności dozwolą. Dodał i to, że służąc ojczyźnie swojej dopełnili świętego obowiązku, ale że w czasie pokoju, cia-

śniej są związani z kościołem, niżeli z Francją. Następnie generał wytłómaczył, że mundur który nosimy nie jest naszą własnością, a należy do wszystkich w ogólności żuawów papieżkich całej katolickiej Europy; co jest powodem, że nie mamy prawa wcielać go do szeregów innej armji.

Po tych słowach generał wezwał oficerów, żeby wypowiedzieli swoje zdanie. Wotowano jednogłośnie. I proszono generała, żeby podziękował ministrowi, a propozycji jego nie przyjmował, jakkolwiek była pochlebna i korzystna.

Okoliczność ta nie oziębila bynajmniej przychylniej skłonności ministra dla żuawów. Uwiadomiony przez generała de Charette o przyczynach czyniących wcielenie żuawów do armji francuzkiej niepodobnem, minister p. de Cissey, podał zatem inną propozycję panu de Charette, mianowicie proponował translokację do francuzkich pułków oficerów i podoficerów w stopniach jakie w swoich szeregach piastowali. Lecz też same powody co i pierwszej nie dozwoliły żuawom zgodzić się na tę propozycję. Wszyscy odmówili, chociaż w tej kombinacji przez ministra

uchwalonej, niejeden z żuawów znalazłby nie-
mało świetnych korzyści przychylnych osobi-
stemu interesowi. Bogu jednemu wiadomo,
jak wielkiej dopełniali ofiary! Czynili ją dla
Niego i Jego sprawy!

Nic więc nie pozostawało rządowi jak
rozpuścić żuawów papieżkich. Była niedziela.
Po mszy świętej, podczas której najstarszy
kapelan, wielebny ojciec Daniel przemówił
rzewnie do zgromadzonych; trzy bataliony
żuawów stanęły czworobokiem na dziedzińcu
seminaryum, które im służyło za koszary.
Oficerowie otoczyli generała, i p. de Cha-
rette przeczytał donośnie rozkaz dzienny p.
de Cissey ministra wojny, a także rozkaz
dzienny legji, ogłaszający rozwiązanie żuawów.

ROZKAZ DLA LEGJI OCHOTNIKÓW ZACHODU.
(Żuawów papieżkich)

d. 13 Sierpnia 1871.

Jenerał poda do wiadomości Le-
gji następny rozkaz dzienny ministra
wojny.

Oficerowie, podoficerowie
i żołnierze.

W chwili, kiedy Francya była na-

padniętą i pogrążoną w niedoli, nie wahaliście się nieść jej ramię wasze, wasze serce i najdroższą krew waszą w ofierze.

Gdziekolwiek walczyła legja wasza szlachetna, a mianowicie pod Cercottes, Brou, Patay i Mans, wszędzie się odznaczyła w pierwszym szeregu mężstwem, poświęceniem i rycerskim zapalem swoim wobec nieprzyjaciela; a także karnością swoją i wzorowym duchem.

Pokazaliście przykład szlachetny, który wam cześć największą przynosi, wam! a także mężnemu generałowi de Charette, komendantowi waszemu i przewodzczy. Przeze mnie armja dziękuje wam za to!

Legja ma być rozwiązana. Rozstając się z wami, mam niezachwiane przekonanie, że Francya będzie mogła zawsze liczyć na mężstwo wasze i na waszą gotowość walczenia przeciw jej wewnętrznym i zewnętrznym nieprzyjaciołom. Minister wojny

podpisano: Jenerał de Cissey.

ORDRE DE LA LÉGION DES VOLONTAIRES DE
L'OUEST
(les Zouaves Pontificaux)
du 13 Aout 1871.

„Le général porte à la connaissance de la légion l'ordre du jour suivant du ministre de la guerre.

„Officiers, sous-officiers et soldats.

„Au moment où la France a été envahie et accablée sous le poids des malheurs, vous n'avez pas hésité à venir lui offrir votre bras, votre coeur et le meilleur de votre sang.

„Partout où votre belle légion a combattu, et principalement à Cercottes, à Brou, à Patay et au Mans, elle s'est distinguée au premier rang par son courage, son dévouement et son élan devant l'ennemi, aussi bien que par sa discipline et son excellent esprit.

„Vous avez montré un noble exemple qui vous fait le plus grand honneur, ainsi qu'au vaillant général de Charette, votre commandant et vo-

tre guide. L'armée vous en remercie par ma voix.

„La légion des Volontaires de l'Ouest (les zouaves pontificaux) va être licenciée, mais je me sépare de vous avec la profonde conviction, que la France pourra toujours compter sur votre valeur et sur votre dévouement contre les ennemis du dehors et contre ceux du dedans.

„Le ministre de la guerre,

„Signé: Général de Cissey.“

„Po tak chlubnem świadectwie, z tak wysokiego stanowiska pochodzącem, mógłbym dodać co więcej, coby znacznie onego nie osłabiło?

„Lecz minister nie sądził potrzebnem powiedzieć, że udzielił nam najpiękniejszej nagrody narodowej, wzywając nas do szeregów francuzkiej armji. Wielkie zaiste musiały być przyczyny, które nas zmusiły odmówić tego honoru.

„Aleśmy przybyli do Francji, jako żuawi papieżcy. Nie sądzimy się tedy uprawnionemi do zrzekania się niezależności naszej i wprowadzenia do armji francuzkiej munduru, który

nie do nas jednych należał. Prosiłem zatem o rozwiązanie legji.

„Powróćcie do waszych rodzin — lecz zadanie wasze nieskończone.

„Walczyliście jedni obok drugich na wielu pobojuwiskach. Pamiętajcie, że nie ma silniejszej spójni nad krew pospołu przelaną. Ona mocniejsza od przysięgi!

„Jeżeli się zdarzy, że się Francja znowu powoła do poświęcenia dzieci swoich, staniecie i wy w pogotowiu. Minister liczy na to, a jam pewny tego.

„Bądźcie zdrowi, drodzy koledzy moi. Z bolejącem sercem rozstaję się z wami!“

„Trudno przerwać bez żalu byt jedena-stoletni, związany spółnictwem radości, cierpień i ofiary!

„Nie traćmy jednak otuchy! Dwie wielkie rzeczy pozostały nam jeszcze! Wiara w naszą sprawę, która jest sprawą kościoła i nadzieja tryumfu!

„Pozostańmy godnymi sprawy — Bóg nam da zwycięstwo!

„To, czego wam powiedzieć nie mogłem w moim rozkazie dziennym, kochani przyjaciele, to mianowicie to, żeście dali światu naj-

piękniejszy przykład wiary, poświęcenia i zupełnego wyrzeczenia się samolubnych celów.

„W 1860 r. w dniu oficjalnego uznania batalionu żuawów (późniejszego pułku) w dniu słynnym nazawsze w dziejach narodów katolickich, Ojciec św. wyrzekł:

— Nie zginiecie, bo jesteście obrońcami prawa, sprawiedliwości i prawdy!

„W smutnym czasie w jakim żyjemy, nie niespełnienie obowiązku jest najtrudniejszą rzeczą, lecz pojęcie onego dokładne. A ja szczerę się tem, że wam powiedzieć mogę, że pułk zawsze swego sumiennie dopełniał.

„Rozstajemy się dzisiaj dobrowolnie — żeby zachować swobodę i być gotowym na wezwanie Francji i Głowy Kościoła!

(Tu wzięwszy sztandar w rękę, rzekł:)

— I tu, w cieniu tego sztandaru, zbroczonego krwią najszlachetniejszych i najdroższych ofiar naszych, ja, generał, baron de Charette, który mam honor dowodzić wami, poświęcam legję ochotników zachodu, żuawów papieżkich, świętemu Sercu Jezusowemu!

— Bądźcie więc zdrowi, moi dobrzy i drodzy przyjaciele! Nie wiem jakie nam je-

szcze próby Pan Bóg przeznacza, ale to pewne, że w dniu przez Opatrzność naznaczonym, znowu się zjednoczymy dla położenia końca sprawie naszej. Liczę na was, jak i wy możecie liczyć na moje poświęcenie! Z całym wylaniem serca dziękuję wam, oficerom, podoficerom i żołnierzom; a wyłącznie tobie pułkowniku, za dowody przywiązania jakieście mi ciągle dawali przez 11 lat, nierozłącznie pospołu spędzonych!

— Rozstańmy się — lecz pozostajmy zjednoczeni sercem!

— Niech żyje Ojczyzna!

— Niech żyje Pius IXty!“

„Niech żyje Pius IXty! — było ostatnim naszym okrzykiem. Wyrazić niepodobna wrażenia z jakim słuchali żuawi tych pożegnalnych słów swojego ukochanego generała. Rzeczywiście my stanowiliśmy jedną familję; a węzły naszego starego przymierza, naszej niezrównanej przyjaźni, ścisnęły się jeszcze po bolesnych stratach, któremi dotknęła nasze szeregi ostatnia kampanja. Zdawało się nam, że powinni byliśmy żyć zawsze razem. Skoro więc nadeszła ostatnia chwila pożegnania,

ściskano sobie dłonie, całowano się i wszystkie źrenice we łzach tonęły.

Byłóż to ostatniem rozstaniem żuawów papieżkich? Bogu jednemu wiadomo!

Żuawi papieżcy rozeszli się z tą myślą, żeby połączyć się kiedyś i znów stanąć w obronie Kościoła świętego i ludu ujarzmionego przez najezdnicę.

Czas jednak zakończyć te karty przeszłości, wiejącej na mnie całą potęgą wspomnień, poruszającej duszę moją. Dotychczas są to tylko wspomnienia faktów rozwianych w przestrzeni — czcze zjawiska tego co było i być przestało. Lecz z tych atomów nowe powstaną zdarzenia! Z tej mglistej przeszłości wykwiśnie świat nowy, świetny, wspaniały! Już rosną, rosną i gromadzą się zewsząd katolickie zastępy, a które odnowią walkę, walkę olbrzymów, za Kościół święty i za Wolność Ludów ujarzmionych. I sprawa święta krwią ich męczeńską odrodzona, stanie jak skała, zajaśnieje jak słońce i przetrwa wieki.

Lecz dziś tęskno mi, tęskno po towarzyszach broni, z którymi dzieliło się trudy bo-

jowe i niebezpieczeństwa. Nie słyszę już szczęku
ich oręża, ani hasła trąbki. Martwo, głucho
dokoła — i smutno duszy mojej! smutno! —
Lecz ufam i wierzę św. Boga-rodzico Najuko-
chańsza Matko nasza, iż spuścisz mi promień
łaski Twojej, który rozproszy chmury ciemne
mroczące życie moje, pełne walk, cierpień
i zawodów, — a nim ujrzę wieczną Ojczy-
znę nieba — ujrzę jeszcze niejedną dzień po-
gody, pokoju i wesela, o ile to być może na
tej *lacrimarum valle*.

I. N o t a

do str. 162.

W pewien czas potem, dokumenta te za staraniem jenerała Kanclera wręczano lub odsyłano tym, którzy się po takowe zgłaszali. Dziwiło mię więc bardzo, że moich nie otrzymałem. Zadawałniałem się tylko dyplomem na krzyż, który zawsze przy sobie trzymam i świadectwem konsula Ojca świętego w Marsylii, które otrzymałem témczasowo, gdy przybyłem do Francyi po wzięciu Rzymu. Dopiero jeden z obywateli Wielk. księstwa Poznańskiego będąc we Lwowie wspomniał mi, że w owym to czasie przeprowiał się przez Poznańskie ktoś, który udawał się do kongresówki, gdzie podobno miał się żenić, a powracał jak twierdził z Rzymu, gdzie służył w żuawach przeszło lat pięć, jest to właśnie czas mojej służby,

gdyż oprócz hr. Romera, który był w żuawach najdłużej, żaden z innych Polaków nie doścignął tego czasu, gdyż już po nas się zaciągnęli. — On posiadał papiery podobno z mojem imieniem i nazwiskiem, a o ile sobie przypominam był przy moich papierach oprócz innych kawałków i piękny list ks. Heronima Kajsiewicza, pisany do promministra armii w on czas de Merodé'go polecający mię, gdy się zaciągałem do pułku żuawów dnia 28 Marca 1865 r. pod L. 1675. W którym to pułku zostawałem do 6 Października 1866 r., lecz gdy Francuzi we dwa miesiące potem opuścili Rzym, wstąpiłem powtórnie dnia 12 Grudnia 1866 r. pod L. 3.238, i już pozostałem do dnia 20 Września 1870 r.

Widoczna, że część papierów moich jest w posiadaniu osoby, która w podstępny i nieprawy sposób takowe sobie przywłaszczyła.

II. Nota.

Jak Ojciec św. kocha Polaków, to pomiędzy tylu dowodami jego miłości ku nam wspomnę, że zdarzało się nie raz, iż gdy wszedł do sali audyencyjonalnej, w której grupami klęczeli według narodowości członkowie różnych narodów; Pius IX jak tylko okiem rzucił po obecnych, zaraz poznał Polaków i idąc ku nim już zdaleka wołał: „*O! carissimi Polacchi, o! cari figlioli*, (O! najdrożsi Polacy, o! drodzy synowie), głaskał po głowach, po twarzy, pieścił, pocieszał, że Bóg o nas z pewnością nie zapomni, dawał ręce do

pocałowania usuwając swe nogi; i tak pocieszywszy i pobłogosławiwszy każdego z osobna, dopiero udawał się do innych narodowości, które się ze zdumieniem przypatrywały temu miłemu widokowi — lecz z nimi tak się nie pieścił. — Odchodząc już po skończonej audjencji, zwrócił się jeszcze do Polaków, kazawszy jednemu ze swoich przybocznych Monsignorów przynieść szkatułkę z medalikami, które zaczął rozdawać z prawdziwą miłością ewangeliczną, i jam otrzymał medaljonik z wyobrażeniem Najśw. Panny Maryi Niepokalanie poczętej, a który noszę zawsze na piersi. Oby on broniąc mię od wszego złego doprowadził tam, gdzie niema już smutku i boleści....

III, Nota.

Tak w roku 1867 w czasie jubileuszu Ojca św. jakoteż w roku 1870 w czasie ogłoszenia dogmatu nieomyślności. — Pius IX z powodu, iż było wielu biskupów starszków, zakazał bić z dział na zamku św. Michała Anioła, aby to nie robiło wrażenia na osoby słabych nerwów (a być może, że Ojciec św. robił to jedynie przez pokorę) lecz Pan Bóg za to kazał strzelać swoim armatom, — gdyż pomimo, że było pogodnie w czasie samego nabożeństwa, a na Concilium w czasie ogłoszenia dogmatu — nadciągnęły chmurki bez puszczenia kropli deszczu i zaczęły bić grzmotami przeszło godzinę, jakby całe baterie na komendę dawały salwy. Wszyscy byli zdziwieni i pamiętam dobrze, że kiedy się dowiedziano, iż Ojciec św. zakazał

strzelać, odzywano się powszechnie, „że z tego nic nie będzie, bo tak, jak w roku 1867 tak i teraz artylerya niebieska będzie bić salwy na cześć Piusa XI,“ co się też i stało.

Niedawne to czasy, a więc jest u nas w kraju wiele osób, którzy byli wtedy w Rzymie, zatem pamiętają te zdarzenia.

IV. Nota.

W roku 1870 w czasie świąt Wielkanocnych Ojciec św. jak i innych lat dawał błogosławieństwo z balkonu kościoła św. Piotra. Tysiące ludu rzymskiego, cudzoziemców i wojska uroczyste przybranego zapełniało obszerny plac i ulice przeciwległe. — Ach! żadne słowa nie zdołają wyrazić, żadne pióro opisać tej uroczystości — o! wtedy czuje się niejako, że się znajduje w przedsionku Nieba — a gdy ten widomy Namiestnik Syna Ojca Przedwiecznego zakreśli znak krzyża św. w powietrzu na cztery strony świata, powtarzając silnym dziwnie sympatycznym głosem słowa święte, wtenczas zapomina się zupełnie o tej biednej ziemi, zdaje się jakoby niebo rozwarło swe sklepienie i ukazało oczom duszy chwałę Najwyższego — a spokój i radość niewytłomaczona przejmuje całe jestestwo człowieka. Wtedy innowiercy znajdujący się tam przez ciekawość tylko, łkają, — i poważna twarz anglika zrasza się łzą — a jęk boleści i żalu wyrывa się z ust tego, który niedawno może bluźnił Bogu swemu lub zapomniał o Nim.

Zwiększa jeszcze urok tej uroczystości piękna pogodna natura. Kiedy Ojciec św. ostatnie słowa błogosławieństwa wyrzekł — powietrze zabrzmiało okrzykami radości, czci i uwielbienia połączone z hukiem armat i dzwonów kilkuset świątyń. W tym to roku zaraz po błogosławieństwie zakrył Pius IX dłońmi swoje oczy jakby płakał.

Czyby przeczuwał ten najlepszy Ojciec chrześcijaństwa, że już na rok przyszły wróg będzie deptał to miasto święte — a Watykan będzie więzieniem — a temu ludowi unoszącemu się dziś w okrzykach radości nie będzie już wolno się pomodlić uroczyście?...

V. Nota.

Wspomnę tu i o Jego Eminencyi kardynale Reischachu, jako o najszczerzym przyjacielu Polaków. Często bywałem u niego, całe godziny lubił rozmawiać o Polsce. — Umarł on w Szwajcaryi, tylko co przed rozpoczęciem Soboru, powszechnie żałowany przez wszystkich, a szczególnie przez Piusa IX tém bardziej, że był to mąż nadzwyczaj świątobliwy i świątły. On to przygotował pierwsze materyały do Concilium.

Zważywszy, że dziełko moje o Żuawach Piusa IX drukowane w roku 1872 jest więcej pamiętnikiem, niżeli przyczynkiem historycznym, zmieniłem pierwotną jego formę, poprawiłem i pomnożyłem znacznie, kładąc tytuł „Po za krajem“ jako właściwszy, dołączając zarazem niektóre recenzje tyjące się pierwszych Wspomnień moich.

Kurjer Poznański Nr. 204, 1872 r.

Książka pod tytułem: „Żuawi papieżcy etc.“ napisana przez p. Adama Morawskiego. Wydanie staranne, piękną ryciną ozdobione, i w sensie typograficznym dość poprawne. Treść tego dziełka, alias pamiętnika zawierającego nader ciekawe okresy przygód osobistych samego autora, jest pełną blasku i porównującego interesu. Styl jedrny wszędzie; w wielu

miejskach malowniczy, tchnie prawdą płynącą samorzutnie z ducha, co Boga, ludzkość i ojczyznę nad wszystko pokochał. Dziwne to więc i pocieszające zjawisko ta książka, istnie chrześcijańska, bohaterska, polska, wywołująca z głębi serca tyle uczuć, tyle szlacheckich zapałów! Żal tylko, że szanowny autor nie zechciał rozwinąć obszerniej przedmiotu i wszystkich bogactw onego nie odsłonił. A byłoby to rzeczą wielce pożyteczną obecnie. Ci, którzy widzą w katolicyzmie grób narodowego uczucia, niechby się o swoim błędzie gruntowniej przekonali, niechby przejrzeni, że nie katolicyzm zabija narodowość, lecz indyferentyzm religijny, wiodący spadkiem naturalnym do kosmopolityzmu. Żaden z papieżkich żuawów (a byli pomiędzy nimi z różnych stron świata) nie ostygł dla swej ojczyzny, chociaż krew swoją za sprawę kościoła przelewał. Przeciwnie, miłość rodziny i kraju rosła w nim i potęgowała się w miarę zapału, jakim się duch jego w obec nieprzyjaciół kościoła opromieniał. Każdy z tych rycerzy wiary walczył, cierpiał, umierał jako prawy katolik, a jednak nie przestawał być prawym synem i wielbicielem swej ziemi. Konając pod sztandarem papieżstwa, na polach cudzoziemskiej Italii, on słał myśl ostatnią odległej ojczyźnie swojej i błogosławił jej rzewnie w ostatniej przedśmiertnej modlitwie!

W ogólności, na każdej niemal karcie powyższego dziełka znajdzie czytelnik coś takiego, co go zajmie, zadziwi lub poruszy. Tu czyny zręczności, energii, męstwa albo militarne go talentu, owdzie rzewny dramat heroizmu i ofiary, szczytne przykłady szlache-

tności i cnoty. A obok tych okresów pełnych nauki i podniety, lekkie szkice auzońskiej natury, trafne opisy krajobrazów, ciekawe naracye o dziejowych zabytkach Romy, o ceremoniach wojskowych żuawów, o ich ćwiczeniach, przeglądach lub tryumfalnych owacyach. Nad tém wszystkiém panuje błogosławiąca postać Ojca św. i brzmi Jego ciepłe słowo spółczucia dla Polski, rzewne słowo modlitwy za Polskę.

Piękne zatem budujące i uroczyste są te karty wspomnień szanownego autora.

Kurjer Poznański 1872 r. Nr. 250, 151, 254.

Czasy nasze są niewątpliwie czasami panowania grubego materyalizmu. Materyalizm radby swoje wszechwładztwo wszędzie rozszerzyć, ciężarem swym przycięść wielki polot ducha, wszystko co podnioślejsze, co nad poziom sięga przytłumić. Zapewnienie sobie najwygodniejszego bytu materyalnego, o ile możności z jak najmniejszym trudem, z najmniejszym wysiłkiem potęg duchowych, stworzenie sobie nieba na ziemi, otóż cel marzeń ludzi dziewiętnastego wieku. Ztąd poezya zamilkła, rzadko jaki śpiew poety przedrze się przez ten mglisty tuman materyalizmu, co zacięzał na sercu, co spętał wyobraźnią, mało kto w niej smakuje, musi ona z goryczą oniemieć wśród warczenia kół maszyn, wśród poświstu lokomotyw, wśród wrzawy bankowej, wśród dymu kominów fabrycznych. Wśród tej materyalnej wrzawy i gonitwy, jeżeli się spotka z osobistością, z umysłem wyższym, z sercem gorę-

tszém, z wyobraźnią bujniejszą, z pragnieniem podnioslejszém, wita się ją jako anioła z innej sfery spadłego czuje się niewypowiedziany do niej pociąg, ale zarazem bojaźń ogarnia, aby i ten anioł nie zbrudził, nie pokalał serca swego szlachetnego pyłem materyalizmu, w jaki zagrzaźł nasz tyle sławiony XIX wiek, wiek przekipiałej cywilizacji i postępu.

Takie myśli i uczucia obudziły się w nas i w czasie czytania i po przeczytaniu dziełka pod tytułem: „Żuawi papieżcy.“¹⁾ Autor jego p. Adam Morawski, oficer z powstania 1863 r. i żuaw papieżki od r. 1865 do roku 1871. Mamy więc w autorze bohatera dwóch walk męczeńskich, za dwie wielkie idee: Ojczyzny i Kościoła. Autor więc należał do tej idealnej młodzieży naszej z roku 1863, co z całą śmiałością i pragnieniem męczeństwa za Ojczyznę, a bez nadziei zwycięstwa, jeno, aby okupić swą krwią szlachetną, swem poświęceniem miłosierdzie Boże, szła naprzeciw krwiożerczym zastępom nieprzyjaciół. Motorowie i kierownicy powstania 1863 r. ciężką niewątpliwie wzięli na sumienie swoje odpowiedzialność za nie, ale nie rzucajmy kamienia potępienia na tę szlachetną młodzież, co chciała przynajmniej na chwil kilka odetchnąć powietrzem wolności, co poniosła w ofierze to, co

¹⁾ O piękném dziełku tém daliśmy już swego czasu wiadomość nadesłaną nam z znakomitego pióra. Dziś uzupełniamy krótką tę wzmiankę szerszemi uwagami, z równie poważnego otrzymanemi źródła („Redakcyja Kurjera.“).

Z których to uwag ustępy zawarte w dziełku, wypuszczam.

(Wydawca.)

miała najdroższego, bo krew swą i życie swe; co ofiarą swego życia chciała okupić miłosierdzie Pana niebios dla nieszczęśliwej swej krainy. Nam dzisiaj na widok tylu strat, tylu ciosów spadłych na nas wskutek powstania ostatniego boleść zasiała serce, oczyma łzami zachodzą, ciężki jęk wydobywa się z głębi duszy, ale jeżeli wspomnimy, że takie czyste ofiary zanieśliśmy Panu, jakiś przynajmniej promień nadziei wstępuje w serce nasze, że Pan wysłucha i jęków naszych i wejrzy na ofiary nasze, które zgrzeszyły nierozsądkiem, ale nie brudną nieszlachetnością. W autorze dziełka w śliczną zgodę zlały się te dwa święte uczucia: przywiązanie do Ojczyzny i do Kościoła, jedno drugiemu nie tylko nie przeszkadza, ale owszem jedno drugie wspiera i uświęca, i pcha go na drogę poświęcenia dla tych dwóch wielkich idei. P. Morawski jest dowodem wyraźnym, że miłość kościoła nie tylko nie wyziębia przywiązania do Ojczyzny, ale takowe podnosi, uszlachetnia, idealizuje, że można być bardzo dobrym synem matki Kościoła, bo Kościół, ten reprezentant religii na zewnątrz żadnego uczucia ziemskiego, a więc i przywiązania do Ojczyzny, nigdy nie znosi, lecz owszem nadprzyrodzoną cechą uświęca. Ztąd hasłem autora jest: „*Pro Deo et Patria*,“ i to hasło, które powinno być hasłem każdego Polaka, prowadzi go do dwóch walk bohaterskich: do walki za Boga, za sprawę Kościoła, niezawisłość papieżstwa, a więc za sprawę Bożą, i do walki za Ojczyznę, której miłość Zbawiciel łzami swymi najświętszemi uświęcił. — Jakaż to zresztą świeżość serca, umysłu, wyo-

braźni maluje się w opowiadaniu autora, jakąż woń młodości, która nie wdaje się z zimnym rozsądkiem, lecz idzie za popędem szlachetnego serca, wieje z każdej kartki dzieła jego.

Wspomnienia p. Morawskiego rzeczywiście są orzeźwieniem niemałym dla umysłu i dla serca wśród tej osławionej fabryczno-bankowej atmosfery.

Autor objął swe opowiadanie w 14-tu rozdziałach; w sześciu pierwszych opowiada swe przybycie z Paryża do Rzymu celem wstąpienia do żuawów papieżkich, tych krzyżowców nowoczesnych, i pobyt w korpusie żuawów aż do zbrodniczego najazdu Rzymu przez wojska włoskie; w następnych rozdziałach opisuje walki żuawów papieżkich w czasie wojny francuzko-niemieckiej.

Wskutek powstania musiał autor opuścić z wielu naszej młodzieży kraj ojczysty, pożegnać rodzinę, zostawić co najdroższe sercu, z czem się jego wyobraźnia zrosła. Poszedł jeść chleb wygnańczy. Ale wśród zepsutego Paryża nie utracił autor świeżości uczuć dla Ojczyzny i Kościoła, zachował je oboje nieskalane, nie uczepił się też doktryn zgubnych, jakie nurtują już od kilkudziesięciu lat społeczeństwo francuzkie, a jakimi i wiele naszych umysłów się zaraziło. — Dusza jego pragnęła poświęcenia, a w sercu swém obok uczucia Ojczyzny znalazł drugie święte uczucie miłości Boga i miłości ku Kościołowi, który jest rzecznikiem jedynie prawowitym sprawy Bożej na ziemi. — Zostaje żuawem papieżkim.

.....

Kończąc nasze sprawozdanie o dziełku autora, przepraszamy go, żeśmy nie mogli oprzeć się chęci przytoczenia ustępów zajmujących z jego opowiadania, które sądzimy orzeźwieniem będą dla naszych czytelników wśród tej posuchy ogólnej oraz pozwalamy sobie wdzięczność autorowi wyrazić naszą za skreślenie w nader zajmujący sposób tych chwil pełnych poświęcenia, które pozostaną mu zapewne najdroższymi chwilami w ciągu całego życia, a dla potomności opowiadanie jego będzie dowodem, że i Polska przez synów swoich szlachetnych wzięła udział w obronie wielkiej sprawy Kościoła.

Wyjątek z Tygodnika Ilustrowanego Warszawskiego
z dnia 28 Grudnia 1872 r.

...Książka „Żuawi papieżcy“ napisana przez Adama Morawskiego. Jest to w części pamiętnik wrażeń osobistych autora, w części opis historyczny kolei, jakie w ciągu kilkoletniego swego istnienia we Włoszech jako część armii papieżkiej, a następnie podczas wojny prusko-francuzkiej, przechodziła owa garstka ochotników rozmaitej narodowości, którzy z różnych stron świata, z różnych krajów spieszyli do Rzymu, ofiarować usługi swe papieżowi.

Monografia to zajmująca, nałożona żywym kolorytem, pisana z uczuciem tchnącym prawdą przekonań ożywiających autora.— Dotąd mało komu znane były czynności tego pułku ochotniczego, który pod nazwą żuawów papieżkich w wojnie mianowicie prusko-fran-

cuzkiej w wielu potyczkach i bitwach odznaczył się walecznością, wzbudzającą podziw nawet u Francuzów.

Otóż dla historyka chcącego poznać szczegółowo działania armii francuzkiej południowej, tudzież dzieje ostatnich wypadków we Włoszech, od bitwy pod Mentaną aż do zajęcia Rzymu przez wojska króla włoskiego, książka p. Morawskiego będzie pożądanym źródłem, z którego dowie się niejednego zajmującego szczegółu do charakterystyki owych wypadków, którego napróżno szukałby gdzieindziej.

„Czas“ 14 Września 1872 r.

Im głębiej zmateryalizowana Europa grzęźnie w brutalnym militarystyce, tem bardziej zaciera się i znika pasmo rycerskości i bohaterstwa chrześcijańskiego. Wojny dzisiejsze to wielkie zbrojne gminowalności, bez wyższego hasła i zasady wzniecającej zapal i poświęcenie, to gra żywiołów kierowanych fatalizmem polityki siły, co gruchocze wszystko w swoim pochodzie nie zostawiając śladów męstwa osobistego, lub poświęcenia dla zasady, sprawy i chorągwi. Jednych wiedzie do zwycięstwa mechaniczna siła karności, matematyka strategii obliczająca środki i zapewniająca z góry warunki powodzenia; drugich rozprasza popłoch klęski, i nie wiadomo czemu się bardziej dziwić czy powodzeniem bez chwały i bez poświęcenia, czy klęskom i pogromom z hańbą i z tym strachem panicznym, co każe poddawać armie krociove, otwierać miasta i całe kraje, porzucać na pobojowisku sztandary...

Tem więcej od tego tła kataklizmów militarnych odbijać muszą epizody rycerskości chrześcijańskiej, epizody wyjątkowe walecznej obrony prawa, poświęcenia dla sprawy, wierności sztandarowi, godne stanąć obok bohaterstwa krzyżowców, bo z tego samego źródła wiary biorące początek. Epizody te będące fenomenem w dzisiejszej epoce, nie brzmią na nutę zwyciężką, chwałą ich przegrana, bohaterstwem dotrwanie do końca mężne i wierne. Można o tych rycerzach powiedzieć słowami naszego wieszczka: „Nieśmiertelni klęską.“ Fenomenów takiego chrześcijańskiego bohaterstwa mamy kilka w epoce zmateryalizowania wojny. W nieszczęsnych dziejach 1863 r. było wiele podobnych objawów poświęcenia i waleczności, i to tam, gdzie poczytano za powinność stanąć do walki nierównej, bez nadziei, tam gdzie uczucie narodowe zespoliło się z niezachwianą i niczem niezamąconą wiarą, gdzie nie dosięgały wyobrażenia rewolucyjne, albo wreszcie gdzie pchnięto jak na Litwie do rozpacznej walki nieświadomych położenia prostaczków, chcących bronić wiary i ojczyzny.

Już bez przymieszki rewolucyjnych sprężyn, bez zbroceń szalonego porywu z całym przekonaniem o przegranej, ale w chęci zadokumentowania krwią wierności zasadzie i przekonaniu, stają w obronie niezawisłości Stolicy Apostolskiej po dwakroć szeregi ochotników wszystkich narodów, poświęceniem dla sprawy kościoła złączone. Ta dwukrotna obrona Rzymu w roku 1860 i 1867, w drugiej kampanii uwieńczona nawet niespodziewanym zwycięstwem pod Mentaną, a następnie dzieje legionu żuawów papieskich w obronie Francji

i 1870 r. stanowią wątek bohaterstwa chrześcijańskiego w epoce największych wojen, jakich świat kiedykolwiek miał widowisko.

Waleczność i poświęcenie tego szczupłego zastępu tak pod Rzymem, jak we Francyi nawet ze strony najprzeciwniejszej opinii nie ulega już zaprzeczeniu. Zastęp ludzi przekonania i wiary wobec potwornego militaryzmu dzisiejszego, rehabilituje pojęcie wojny, gdyż ona w obronie prawa i zasady podniesiona stanowi przeciwieństwo tego militaryzmu, który zbroi całe masy ludu i wiedzie je na zagładę narodów. W tych szczupłych szeregach, nie siła organizacyjna, nie wyższość broni, nie sztuka strategii, nie żądza zaboru i pewność zwycięstwa, ale wyższy chrześcijański duch wiary, prawa, sprawiedliwości, poświęcenia i obrony dodaje męstwa.

Nieliczny kontyngens do tego zastępu obrońców Stolicy Śtej dostarczyła Polska, nieliczny zwłaszcza, gdy go porównamy z tą hojnością, z jaką ofiarowaliśmy krew naszą za wszystkie sprawy obce, które albo nas wcale nie obchodziły, albo się okazały w skutkach wręcz przeciwne interesom naszego narodu.

A jednak nigdzie bliższe, bardziej pokrewne naszej sprawie nie były w grze interesa, jak tam gdzie chodziło o niepodległość Stolicy Apostolskiej. Lecz myśmy zwykle byli popychani do udziału w awantur-
niczych przedsięwzięciach, do mieszania się w sprawy obce mamidlami nadziei, fantazyą, która nam w chaosie politycznym świata przyszłość ukazywała. Tu potrzeba było ścisłych zasad, gorącej wiary i tego po-

święcenia, które obywa się nawet bez nadziei powodzenia, a domaga się dotrwania do końca, obrony zasady, bohaterkiej klęski. Nic nie przemawiało do fantazyi, nic nie rokowało herostratowego podpalenia świata, z któregoby Polska jako feniks z popiołów miała wybłysnąć, ale natomiast przemawiała sprawa sumienia katolickiego, wzywała krzywdę tego, który sam jeden krzywd naszych się upominał i jest jedyną moralną naszą podporą.

To też wprawdzie nieliczni, ale stanęli synowie katolickiej Polski w tym szeregu obok szlachty i ludu wierzącego z Bretanii, obok ochotników katolickich z Holandyi, Belgii, Niemiec, Hiszpanii i południowej Ameryki.

Książka, o której pojawieniu się czujemy obowiązek zawiadomić czytelników, jest pamiętnikiem uczestnika ostatniej wojny w obronie Rzymu. Młody autor w krótkim swem życiu doświadczył wiele, bo przebył z bronią w ręku powstanie 1863 r. i rok 1867 pod Rzymem. Wyniósł z kraju gorącą wiarę i przywiązanie do kościoła, obok równie gorącego patryotyzmu. Opowiada nam też z zapałem szlachetnej duszy szczegóły tej dramatycznej kampanii nowożytnych rycerzy krzyża, ukazuje nam to wojsko, tak różnym duchem od dzisiejszych armij, co miało w sobie coś zakonnego i rycerskiego. A słuchając tego zajmującego i malowniczego opowiadania, tchnącego wiarą i gorącym przekonaniem, prawdą i prostotą, pogodzić się można z stuleciem, które jeśli obala wielkie i święte sprawy, daje im takich obrońców, które jeśli niweczy

szlachetne uczucia, to je także wznieca, jeśli zamienia całe ludy na masy zbrojne i bezmyślne zdążające na zagładę innych, nawiązuje także zerwany wątek bohaterstwa chrześcijańskiego.

Opowiadanie p. Morawskiego jestto jedyne świadectwo wyszłe z pod polskiej ręki o tej walce, tak odrębnej przez swój religijny charakter. Zajmie przeto książka p. Morawskiego miejsce w literaturze pamiętników z epoki, kiedy nas prądy świata w tak przeciwnie porywały kierunki, a ze względu na sprawę i szlachetność walki, zajmie zaszczytne miejsce.

Gorącość uczuć autora, styl jego zbyt może czyni kwiecistym. Opowiadanie zyskałoby na większej prostocie formy, skoro rzecz już tak piękna sama z siebie. Lecz jeśli ośmielamy się zrobić zarzut zbytnej wykwintności formy, to nie ma przesady pod względem treści.

Przegląd Lwowski z dnia 1 Października 1872.

Wydał pan Adam Morawski, b. oficer i żuaw papieżki, swoje wspomnienia p. t. Żuawi Papieżcy w Rzymie i w wojnie francuzkiej.

Autor należał do tej szczupłej garstki szlachetnej młodzi, co krew swoją poświęcała sprawie zagrożonego kościoła i mężnie stawiała czoło najezdnikom Stolicy Piotrowej. Opisuje z młodzieńczym zapałem kilka epizodów z życia tych nieustraszonych, którzy bandom

Garibaldegó, wojskom piemontckim, a w ostatniej wojnie francuzkiej i Prusakom nieraz dawali we znaki.

Urzędowe raporta francuzkie, dołączone na końcu książki, najlepsze dają świadectwo o męztwie i duchu tego szczupłego hufca, który zapałem religijnym, karnością i męztwem — raczej podobny do średniowiecznych rycerzy, niżeli do żołnierzy nowoczesnych armii. Pierwsza to u nas książka jeśli się nie mylimy, przedstawiająca nam tych nowoczesnych bohaterów chrześcijaństwa.

Kurenda (l. 2141) Metrop. obr. łac. Lwowskiego 1872 r.

Korpus Żuawów zajmował w armii Ojca św. wyjątkowe i nader chlubne stanowisko. Złożony z młodzieży duszą i sercem katolickiej rozmaitych krajów i narodów, liczył w swoim gronie wielu z najznakomitszych rodzin. Karność, męztwo, a przytem gorąca pobożność, przywiązanie do Ojca św., poświęcenie się dla sprawy kościoła i czystość obyczajów — jak przystało na obrońców tak świętej sprawy — zjednały żuawom szczególne względy Ojca św., szacunek w całej ówczesnej publiczności rzymskiej, która podziwiała w nich one, dziś niestety tak rzadkie w szeregach wojskowych, przymioty.

Dzieje ich zajmować będą jedną z najpiękniejszych kart w historii kościoła. Owóz jeden z niewielu tych rodaków naszych, którzy mieli zaszczyt i szczęście służyć w tym korpusie p. Adam Morawski, wydał

obecnie o nim dziełko pełne ciekawych, a u nas prawie zupełnie nieznanych szczegółów, ujmujących prostotą, budujących tym duchem poświęcenia i gorącej wiary, jakim tchnie całe to pismo, p. n. Żuawi Papięcy przez Adama Morawskiego.

